

СЕРИЯ

1954

1954

СЕРИЯ

СЕРИЯ



NOWY ZBIÓR

P O E Z Y J

A. ŻDŹARSKIEGO,

TOM II.



Miej serce! i patrzaj w serce!

Mickiewicz.

W PŁOCKU,
DRUKIEM KAROLA KULIGA.

1 8 3 8.



272030

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Wydawnictwo Państwowe

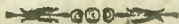
WARSZAWA

1881

DOBRYM
C O R K O M

Autor poświęca

Tom II.



W. G. B. & C. O. M.

W. G. B. & C. O. M.

W. G. B. & C. O. M.

W. G. B. & C. O. M.

WNUCZKA,

CZYLI

P o j e d n a n i e
z Rodziną,

Komedyja w czterech częściach,

oryginalnie napisana.

O S O B Y.

DOBROCKI, wdowiec w podeszłym wieku.

BOJOSŁAW, zięć jego.

ALDONA, żona Bojosława, córka
Dobrockiego.

LUDWINIA, córka Aldony, z pierwszego
małżeństwa.

LEONTYNA, córka Bojosława.

BOJOMIR, mąż Leontyny.

CNOTLIWSKI, stary szatny Bojosława.

MAŁGORZATA, stara kucharka
Dobrockiego.

LIZALSKI, stary kawaler.

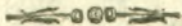
FILIP, sługa Lizalskiego.

BORUTA, syn Wojta gminy. } Konkurenci

SOBUŚ, syn Organisty. } o Ludwinię.

Dwie panny służące.

*Rzecz dzieje się częścią w Warszawie, częścią
w Mokotowie, i na gościńcu
pod Mokotowem.*



K O M E D Y A.

W N U C Z K A.

Część Pierwsza.

ODDZIAŁ I.

BOJOSŁAW. ALDONA. LIZALSKI.

(*Aldona siedzi na kanapie, z książką w ręku, Bojosław stoi przed żoną, z założonemi rękami; a Lizalski siedząc dalej na krześle, rozparty, poziewa, i chłodzi się, już kapeluszem, już chustką.*)

L I Z A L S K I.

Co za upał okropny! bez końca, bez tamy:
Na honor dzisiaj stopni dwadzieścia sześć mamy.
My młodzież w takich czasach jeszcześmy
nie żyli. (Do Aldony.)

A, proszę, jak też panię zabawia *Buili*?

A L D O N A.

Powieść *la petite Gouvernante* kończę właśnie teraz.

(*Obracając się z czuciem do męża.*)

Nad jej piękną osnową zapłakałam nieraz:
Czyś ją czytał, kochanku?

BOJOSZAW (podchwycony.)

Płod pięknego piora,
Znam ją; ale mnie gniewa ten starzec prze-
kora,
Niewzruszony *Dorykur*, zrzęda, jakich mało.

L I Z A L S K I.

Bo nie wiem, co się pani w niej tak spodobało!

A L D O N A.

Kto ma zdanie podobne, ten chyba nie czuje,
Z jaką on miłość dzieci lubością maluje!
Prawdziwy pisarz serca, bez żadnej przesady;
Który z własnego czucia wybiera przykłady.

L I Z A L S K I.

Hem!... tedy... ale.... bo to... a!... (*Uderza
się w głowę.*) co to za głowa!

Bodajże cię!.... to tedy o *Builim* mowa?
Hem, to, to co innego, to pisarz wzorowy!
Wszystkie jego powieści są tęgiej osnowy,
Tak... śmieszne... tkliwe... smaczne o! nie-
raz płakałem,

Z jakim swoje zdarzenia rozwija zapalem!
Hem, to pisarz wzorowy, wzorowy, powiadam,
Ja go nad krocie innych cenię, i przekładam.

BOJOSZAW.

Com też sobie pomyślał! jak dziwne mniemanie!

Oto, żeby tu można zrobić porównanie....

LIZALSKI.

A, a, podobno zgadłem....

BOJOSZAW (tykając go w ramie.)

Przepraszam acana.

(D o ż o n y.)

Dorykur i Dobrocki to para dobrana.

A L D O N A (nieco z unięsieniem)

Mężu! on moim Ojcem!

BOJOSZAW (uprzejmie.)

Wiem o tem; a przecie

To jest rzecz niestychana, i szczególna w świecie:

Uwziął się, widzę, na mnie, i pokoj mi truje;
Nie sądził bowiem, kochanie, że tego nie czuję.
Ta niezgoda w rodzeństwie zgorszyła już wielu.

LIZALSKI (przerywa.)

Zgadłbym, że to się dzieje w jakimś dziwnym celu.

BOJOSZAW.

Acan znowu przeszkadzasz. Tak, jest, moja żono,
Bynajmniej tu za naszą nie obstaję stroną.

Ale przypomnij sobie, kto skorszy do zgody,
 Przypomnij, jakie pierwszy czynilem zachody:
 Przepraszałem go szczerze, by nie miał urazy;
 Ty pisałaś najczulsze listy kilka razy.

Jak przy samem rozstaniu staruszek powiedział;
 Że odtąd wieczny będzie między nami prze-
 dział,

Tak, święcie dotrzymuje, niczem go nie wzruszę.

L I Z A L S K I.

Pan Bojosław do zgody skłonnniejszą ma duszę.

A L D O N A.

Chodziło mu o wnuczkę: szosty rok upływa,
 Jak Ojciec w domu naszym, niestety! niebywa.
 Nawet go nie widziałam, od nieszczęsnej chwili,
 Kiedyśmy się z nim, mężu, gorzko rozłączyli.

B O J O S Ł A W.

Powiedz sama, kto winny?

A L D O N A.

Ja może najwięcej.

Zaniedbałam pisywać od kilku miesięcy;

Ach! Ojciec, daruj córce, znasz jej przywią-
 zanie:

Zawsze miłość ku tobie, w mem sercu zostanie!

Sama siebie obwiniam, żem mogła; na chwilę,
Wielkiego świata wrzawie dać się złudzić tyle;
I zaniedbać najdroższej dla mnie powinności.

LIZALSKI (poziwa.)

A! ktoż zaś nie zna pani dla Ojca miłości?

BOJOSZAW.

Jednem słowem staruszek wymaga za wiele;
Jednak wkrótce nastąpi mej corki wesele:
Najpierwszego w rodzinie Dziadka nie pomnę;
Niechaj pobłogosławi naszą Leontynę.
Mamy wtenczas najlepszą doświadczenia porę.

LIZALSKI

(wstając nagle niby z gniewem.)

A resztę moi państwo ja na siebie biorę.

A LDONA.

Dawno nie mowiliśmy o dobrej Ludwice.

LIZALSKI (z uniesieniem dziwaczny.)

Schodźcie się tu, i bierzcie przykład, wy,
Rodzice!

BOJOSZAW.

Czyliż jej źle w Pultusku, gdzie kończy nauki?
Lepiejby sam Dobrocki nie umieścił wnuki:
Chcę jej dać w każdym razie mej łaski dowody.

LIZALSKI.

Radzę państwu zbytecznej ująć jej swobody;
 Uważałem w niej dumę, i śmiałość naganną;
 Jak to będzie dać kiedyś, pyszniąc się już
 panną.

A L D O N A.

Co z myśli, to i z głowy; nie trzeba odwlekać.
 Gdy nam Bog tego szczęścia pozwolił doczekać;
 Ze wkrótce za mąż idzie droga Leontyna;
 Niech mi bolesnych uczuć ślub jej nie wspo-
 mina:

Cnotliwski niech Ludwikę z Pułtuska sprowadzi;
 Tak ci tkliwa małżonka, tak ci Matka radzi.

B O J O S Ł A W (z rozważką.)

Tak; ale to niewcześnie, jak na zaślubiny;
 Szkoda jednej dla nauk marnować godziny.
 Proszę cię także o to, ażeby Ludwika
 Nazbyt się nie stroiła: niechaj nie przywyka
 Do próżnej dla jej miejsca szkodliwej ozdoby;
 Cożby to pomyślały rozsądne osoby;
 Ze córka, nieujmując, prostego ślaehcica,
 Ktorą nieco rozsądku z pięknnością zaszczyca,
 (I to jeszcze ta piękność dosyć pospolita),
 Śmie równać się z paniami? Gdy pora zawita,
 Pomyślimy i o niej: teraz niech wie o tem;
 Że świat wielki omamia szkodliwym zawrotem;

Że ten ciężko przyplaci śmiechu godną pro-
żność,

Kto się pnie zbyt wysoko, i nad wszelką
możność.

A teraz przysposobię wszystko do wesela.

Trzeba nam niejednego prosić przyjaciela.

Chciałbym, i to jest moje życzenie jedyne,

Całą na ten dzień ważny zgromadzić rodzinę.

Niech się wszystko odbędzie suto, i wesolo;

Lecz niech na mnie Dobrocki wypogodzi czoło;

Świadczę się Niebem, jeżeli niebłagam go o to:

L I Z A Ł S K I.

Dobrocki da się wzruszyć stałością, i cnotą.

Ale jaki też urząd obejmę weselny?

Wszakem ja od rodziny waszej nieoddzielny.

I nie wątpię, że, kiedy kocham was nad życie;

Mnie, i mnie najpierwszego pewnie zaprosicie.

Nie to moją zaletą, że zjem, i wypiję.

(Ś m i e j e s i ę.)

Lubię zjeść, wypić dobrze, i z tem się nie
kryję,

Jednakże nie dlatego, na honor! broń Boże!

(I to już nie wiem komu do głowy przyjść może),

Niedlatego się wpraszam na corki wesele;

(Z miną oznajmującą nadzieję.)

Że tam będzie i picia, i jedzenia wiele.

Broń Boże! i wołałbym, wołałbym, w istocie,
Wierny mojemu zdaniu, i przyjętej cnocie,
Choćbyście i prosili, grzecznie się wyprosić,
Gdyby kto nierozsądny ważył się to głosić.

B O J O Ś Ł A W.

O tem nie ma co mówić, nie proszę dwa razy.

L I Z A Ł S K I

(niziuckno kłaniając się Bojostławowi.)

Przyjmuję, i wykonam tak święte rozkazy.
Tylkoż jeden warunek przynajmniej położę:
Proźnować mi się nie chce, nie, to być nie
może;

Abym w czasie wesela został bez urzędu.
Otoż sam się mianuję, bez żadnego względu;
Mistrzem ceremonii, mistrzem obrzędowym:
I, aby was oswoić z tym urzędem nowym,
Zgadnijcież, nad czem pragnę jaknajpilniej
czuwać?

*(Zastanawia się nieco, uśmiecha, potem
z pewną radością mowi)*

Drzwi gościom pokazywać i stolki przysuwać.

(Bojostław z żoną uśmiechają się.)

BOJOSŁAW.

I owszem, jeśli taka jest wola acana.

(*D o ż o n y.*)

Na chwilę ze mną wyjdiesz.

(*Bierze ją pod rękę.*)

ODDZIAŁ II.

LIBAŁSKI (*z uśmiechem szyderskim.*)

Jak para dobrana!

Że mnie też zawsze bogi do wielkich pro-
wadzą,

Ktorzy się mnie we wszystkim, jak wyroczeni,
radzą.

Gdzie małżeństwo pod ręką, już mnie tam
wokuja;

I beze mnie na jotę nic nie ukartują.

Gdzie ślub, i tam być muszę, i tam, gdzie są
chrzciny;

Beze mnie być nie mogą żadne imieniny.

Gdy wejde, wszyscy milczą, gdy siedzę, to samo:

A czy mówię z mężczyzną, czy się bawię
z damą;

Każdy mi się usuwa, i na bok uchodzi,

W mniemaniu, że niegrzecznie w czem kolwiek
przeszkodzi;

Ale, jak to uważam, z ciekawością słucha,
 I, choćby też ukradkiem, nie żałuje ucha.
 Ale, bo mają kogo uszanować we mnie;
 W rozumie, kto bądź ze mną wiodłby spor
 daremnie;

Tyle książek czytałem, że strach wspomnieć
 o tem;

Innemuby to głowy stało się zawrotem!

A jakie ja od wszystkich mam poszanowanie!
 Szczególniej się też na mnie znają wielkie
 panie;

I niejedna w mych zasług wielkiem rozumieniu!

(Z uśmiechem zadowolenienia.)

Powie mi czasem, acan, klepnie po ramieniu.

ODDZIAŁ III.

CNOTLIWSKI. LIZALSKI.

CNOTLIWSKI.

Myślałem, że tu państwo. *(Chce odejść.)*

LIZALSKI.

Cnotliwski kochany,
 Zatrzymaj się, Cnotliwsiu, tyś mi dobrze znany;
 Z tobą rozmawiać lubię, z tobą mówić miło;
 Do ciebie mnie tajemną coś pociąga siłą.

(Bierze go za rękę.)

Powiedz mi, u Łudwini czy też dawno byłeś?
 A widzisz, jak przede mną troskliwie taiteś;
 Taiteś.....

CNOTLIWSKI. *(na stronie.)*

Co? miałżeby?... nie, nie; żadną miarą...
 Chciał mnie tylko zagadnąć.

LIZALSKI.

Jakąż to ofiarą,
 Jakim darem okupić takie poświęcenie!
 Może sądzisz, ja nie wiem?

CNOTLIWSKI.

O! i pewno, że nie;
 Bo cożbyś pan mógł wiedzieć?

LIZALSKI.

Jestem przenikliwy;
 A że ja wiem o wszystkim, nie są żadne dziwy.
 Naprzykład..... widzisz tedy....

CNOTLIWSKI.

Tak, to nie są dziwy;
 Przyznaję, że w tym razie pan bardzo szczę-
 śliwy.

Bo co to jest za rozkosz, gdy jaki jegomość
 Udaje wszystkich rzeczy dokładną wiadomość,
 Kiedy się cieszy z tego, a przecie nic nie wie.

L I Z A L S K I.

Masz szczęście, moj kochany, że nie jestem
w gniewie.

CNOTLIWSKI.

Prawda! i dzięki Bogu!

L I Z A L S K I.

Tak, tak, dziękuj Bogu,
Zem rozgniewać się prędko nie przejął nałogu.

CNOTLIWSKI.

Wszystko to prawda; ale mam przed sobą drogę,
Dlatego z panem długo rozmawiać nie mogę.

L I Z A L S K I.

Drogę.... wiem, jaką drogę; pewno do Lu-
dwini. (Śmiejąc się.)

Powiedz mi, czy w naukach dobry postęp czyni?

CNOTLIWSKI (na stronie)

Czy mi go.... ale sędzę, że tylko udaje.

(G ł o ś n o.)

Pan wie, że w takie rzeczy wcale się nie wdaje.
O naukach nie mówię, bom nie jest uczony:
Dlatego nie zakrawam na wysokie tony.

Umieć czytać, i pisać, przytym dobrze służyć;
 Rad z tego, co mi Niebo pozwoliło użyć.
 Chociaż mam swoje troski, i doznaję trudów;
 Jednak żyję spokojnie, a żyję bez nudów.
 I pewno nie mieniałbym z tymi mego stanu,
 Co polatawszy głowę, przy uczonym panu,
 Chcą za mędrkow uchodzić. Tak jednego
 znałem;
 Z wielkim zawsze po książkach przewracał
 zapałem;
 A potym coś gryzmolił, wtym go pan pod-
 chwycił;
 Czy wie pan, co on robił? oto dramę klecił.

L I Z A L S K I.

Tylkoż tego nie stosuj do mego lokaja;
 Wolę okrzesanego, niżeli mazgaja.

C N O T L I A S K I.

Nie przeczę, i dla tego panu ustępuję.
 Otoż i pański Filip. (Odchodzi.)

O D D Z I A Ł I V.

L I Z A L S K I. F I L I P.

F I L I P.

Szczęście, że znajduję....

LIZALSKI (przerywając.)

A czytałeś tę książkę, com ci ją dał rano?

FILIP.

Ale ja po pieniądze, pa.....

LIZALSKI (przerywając.)

Jak napisaną!

Trudno znaleźć podobnej.

FILIP.

Coż mi z tego, panie!

Alboż mi da pieniądze książki przeczytanie?

Otom głodny, obdarty, jak lampart, i bosy.
 Poki mi lepsze trochę świeciły się losy,
 Pokim, skąd mógł wytrząsnął grosinę jakową;
 Poty czytałem książki, i kręciłem głową.
 Już mi brakło conceptow, a doskwiera bieda;
 Żebyś umarł, skamieniał, nikt szeląga nie da.
 J nacożbym zaciągał, chyba na te dziury.

(Pokazuje na podarte rękawy.)

A ja zaś nie mam, panie, tak słabej natury;
 Żebym, gdy mi potrzeba, nakrotko pożyczal,
 A kwoty pożyczonej nigdy nie wyliczał;
 Przeto, radź pan, zmiluj się.

L I Z A L S K I (*zamyśla się.*)

Wszystko się jednoczy....

Patrz!...

(*Zamyśla się.*)

F I L I P.

Tak, ja będę patrzył, i natężę oczy,
Byleś pan dał pieniędzy.

L I Z A L S K I.

A testament stryja,
Co to dla nas pieniążki, jak zbija, tak zbija
Hę! i toż nic u ciebie!

F I L I P.

Ej! co mi tam po nim!

L I Z A L S K I.

Prawda, że oba dawno ostatkami gonim.

F I L I P.

Tak, pan może ostatkiem, ja cierpię goliznę,
Biedak, ledwie tu czasem po talerzu liznę.
Oj, panie, już się pewno nie wygrabię z nędzy;
Jeżeli co od pana nie chapnę pieniędzy.

L I Z A L S K I (*z rozważą.*)

Słuchajno!

F I L I P.

Słucham, panie.

L I Z A Ł S K I.

Czytasz przecie książki?....

F I L I P (przerywając)

A w którychże to, panie, znalazłbym pieniądze?
 Tylko mów pan, a prędko, zaraz po nie biegnę,
 I jak bryś, albo przy nich, albo na nich
 legnę;
 Ażebym mi kto pierwszy pieniędzy nie zcapił.

L I Z A Ł S K I.

A pfe! nie mów mi o tem.

F I L I P.

Jakżem się poszkapił!
 Ej; pan mnie tylko zwodzi, i wywija młynka!
 A mnie z głodu po gębie cikliwość robi
 ślinka.
 Oj! panie, daj pieniędzy: wszak służę rok
 drugi,
 Nie miałeś, i nie znajdziesz poczciwszego sługi:
 Czekam, i czekam, proszę, i pokornie proszę;
 A zawsze obietnice o zakład odnoszę.

LIZALSKI.

Otoś głupi, i kwita: będziesz miał pieniądze,
 Tylko nieco pohamuj te łapczywe żądze.
 A ja mówię, żeś głupi, i nie bez powodu:
 Coż to, nie znasz mojego znaczenia, i rodu?
 Hrabia Lizalski, hrabia, dawnej armatury!
 Teraz oczy do gory! i uszy do gory!
 Gdy tylko powiesz, gapiu, żeś jest moim
 sługą,
 Będziesz jadł, pił po dziurki.

F I L I P.

Powtarzam to długo:

Ale, bo tylko, panie, niech pan się nie gniewa;
 (Prawda, że to ja czasem głupi, jak cholewa,
 A zwłaszcza, kiedym głodny;) ale tak się dzieje,
 Że się każdy w tym domu z obu nas naśmieję!
 Oj! naśmieję do woli, aż to słuchać nudno,
 A ująć się, i fuknąć dla biedaka trudno.
 Pan mówi, mnie szanują, oj! nie prawda, panie;
 Ciekawym, kto zna dla nas to poszanowanie?
 Tylkoć tu zęby suszą, tylko zawsze chychy;
 Prawda, że to są skutki tej nieznośnej pychy;
 Wszyscy dmą, jakby czarci, z głowami do gory;
 A na mnie ledwie z łaski zakwasi się który,
 Ledwie człeka okrąży, zdaleka i bokiem;
 Bo wiem, że mnie łaskawem nie uraczy okiem.

LIZALSKI.

Wiem, już wiem, skąd pochodzi oziębłość dla
ciebie.

F I L I P.

Tylko mnie, panie, ratuj, w ostatniej potrzebie.

LIZALSKI

Tys niezgrabny, nie umiesz pochlebiać nikomu,
I prawdziwie wstyd wielki robisz mi w tym
domu.

Mnie tu wszyscy szanują, co zecheć, mam
pewnie;

Lecz w tobie tyle ruchu, co w nieczułem
drewnie.

Gdybyś im nadskakiwał, im się aplikował,
Pewniebyś tu nie jedno zjadł, wypił, i schował.

F I L I P.

Oj! panie, już tu schował tyle jaki taki,
Żebym się nie pożywił i na niuch tabaki.

LIZALSKI.

Gamuń jesteś, gap jesteś, i tylko dziwaczysz;
Nadskakuj, a jak radzę, niedługo zobaczysz.
Nadewszystko podsłuchuj Cnotliwskiego
wszędzie;

Gadaj im, czy to prawdą, czy to kłamstwem
będzie.

Oni go tu nie cierpią, wplątasz go w niesnaski,
A stąd będziesz miał u nich znaczenie, i łaski.

F I L I P.

Ależ, panie! to plotki; plotkami się brzydę;
I tych, co je roznoszą, z piekłem nie nawidzę.

E I Z A L S K I.

Bo widzisz, tyś nie pojął znaczenia wyrazu:
Jak można wszystko plotką nazywać od razu?
To, o czem ludzie mówią, (a mowa ozdoba),
Jak to sam wiesz, ma związek, splata się ze
sobą;

Potym, kiedy przechodzi usta drugie, trzecie,
I tak dalej i dalej.... plecie się, i plecie...
I stąd, rzecz jasna bardzo, zwykła bywać
plotka:

Ale za taką mowę kogoż hańba spotka?
Widzisz tedy, że plotką bawimy się wszyscy,
Panowie, nie panowie, wysocy, i niscy.

F I L I P.

Jużćie to pan mądrzejszy. Ale w mojej głowie...
Ha! toć mogą i słudzy, gdy mogą panowie.
Basta! usłucham pana; a jak będzie krzywo,
To i pana zaproszę na to kwaśne piwo.

(O d c h o d z i.)

ODDZIAŁ V.

L I Z A L S K I.

Przecież się wywinąłem. Ale co za głowa!
 U niego zawsze tylko o pieniądzech mowa.
 Jakby człowiek poczciwy żyć bez nich nie
 zdołał!

Ileż razy świat dziwny to zdanie obwołał:
 Pieniądze wszystko dają, po nich idzie cnota!
 O głowy do pozłoty! o nędzna hołota!
 Coż to są te pieniądze? oto kruszec, blaszka,
 Świecące bawidelko, bałamutna fraszka;
 Może im tylko ceny przydaje ozdoba;
 I dlatego ta fraszka ludziom się podoba:
 Dlatego nędzny chciwiec owe blaszki zbiera;
 Dlatego przy ich stosach czuwa blady sknera;
 Ale mędrca nie ludzi ta śmieszna mamona,
 On się bez niej obejdzie, i żądze pokona:
 Takim jestem, nic we mnie tych zasad nie
 zmieni;
 Dlatego wieczne pustki są w mojej kieszeni.

(P o c h w i l i.)

Ale czy to podobna, ażeby oboje
 Scierpić mogli tak długo nieobecność moję?
 Kiedy mnie opuścili, kiedy nie wezwany,
 Aby z nimi ułożył biesiadowe plany,

Jako znawca w tem wszystkim, co gustem
 oddycha;
 I we mnie też ślachtetna odzywa się pycha;
 Trzeba mi ich ukarać, i to doskonale,
 Aby ich lepiej zmartwić, i podwoić żale.
 Ale trzeba iść do nich, gdy mnie widzieć mają:
 A jak cię tam porządnie zawstydzą, wyłają?
 To się nisko pokłonisz, podziękujesz za to;
 I powiesz, że się cieszysz tą przysługą zapłatą;
 Wtedy pewno się zmartwią, i pewno prze-
 proszą;
 Staniesz się ich pieścidle, już będąc rozkoszą.
 (*Odchodzi.*)

ODDZIAŁ VI.

(*Zmiana sceny w ogród zarosły. Cnotliwski prowadzi za rękę drżącą Ludwinę: później, między drzewami klumbu gęstego, widać tylko głowę Filipowi: wszyscy mówią zcicha.*)

LUDWINIA, CNOTLIWSKI, FILIP.

CNOTLIWSKI.

Tu, tu bezpiecznie mówić, tu nikt nie pod-
 słucha!

FILIP (*wytykając głowę.*)

O! czemuż tu nie można dapożyczyć ucha!

LUDWINIA.

Ach! kochany Cnotliwski, jakąż lubą siłą
 Pociągają te miejsca: jakże mi tu miło!

Tum się rodziła, moje siły niemowlęce
 Najlepszego z dziaduniow tu wzmacniały ręce:
 Zdaje się, że głos jego ujmujący słyszę;
 Że go jeszcze całuję, u szyi mu wiszę;
 Że w tem najmiłszem dla mnie w życiu oma-
 mieniu,

Uśmiecha się, i wnuczkę woła po imieniu!
 Że mnie tuli do siebie, powtarza pieszczoty;
 Że mnie czulem wezwaniem prowadzi do
 cnoty!

O! luba wiosno życia! o wieku dziecinny!
 Wiekcu słodkich nadziei, cichy, i niewinny,
 Ty, jak strumień, spokojny, ty, jak strumień
 czysty,

Przebiegasz strojną łączkę, i smużek kwiecisty;
 Choć go przypadkiem zmaci jeden rzut kamyka,
 Wnet się dno wypogadza, i nawałność znika.
 Jakżebyś teraz chętnie wrocila w te lata,
 W których drogiego Ojca dotknęła mnie strata!
 Ale mamże się smucić przeszłości obrazem!
 Często łzami jej pamięć oblaliśmy razem!
 Teraz muszę ci odkryć cel mego przybycia.
 Wiesz, że kiedy mi Niebo wzięło dawcę życia,
 Z Matką czuwał nade mną dziadunio kochany;
 I dotąd uczuć jego nie doznaję zmiany:
 Dopytuje się o mnie; ty mi jego słowa,
 Ty i listy przynosisz często z Mokotowa.

W nich się czasem od żalu na Matkę mą
wstrzyma;
Ale z przykrością zawsze wspomina ojczyzna.

CNOTLIWSKI.

Oj! prawda, pan Bojosław... to mnie tylko
rani;
Że nie chciałbym przed czasem wystawić go
pani.

LUDWINIA.

Nie myślę o nienawiść ojczyzna obwiniać,
I stroskanemu sercu żalości przyczyniać:
Ale wszakże dziadunio godzien przywiązania;
I chociaż się tak dawno do zgody nie skłania;
Jednak jest Ojcem Matki, Ojcem jego żony:
Nie byłby honor zięcia w niczem pokrzywdzony,
Gdyby przeprosił Ojca, i tem zmazał winę;
Zwłaszcza, że do urazy dał mu sam przyczynę.
Chciałabym, moj Cnotliwsiu, znaleźć jaki sposób;
Ażeby tyle godnych i miłych mi osob
Nic więcej nie różniło; o to Nieba proszę,
By jeszcze złało na mnie te serca rozkosze;
Ale mi nie przychodzą dotąd środki żadne.
Nieraz tak myślę, pojde i do nog im padnę:
Na me łyzy, i błagania nie będą nieczuli,
Chybaby się nazawsze z litości wyzuli.
Jednak tę myśl natychmiast uwaga odmienią;
Że wcale jest oddzielny ich sposób myślenia.

Ojczym w zdaniu zacięty, często poznać daje;
 Że za nim wielu innych daleko zostaje;
 Mimo to jest otwarty, nie cierpi obłudy;
 Prędkość może wojenne wpoili węń trudy.
 Przez nią nawyknał widzieć spełnione rozkazy;
 Dlatego widząc opor, nie szczędzi obrazy;
 Dziadulo, wzor dobroci, ta poczciwa dusza,
 I sercem, i obejściem do miłości zmusza.
 Wnuczka Ludwinia, jego pociechą jedyną;
 Dla niej mu łyzy radości, dla niej tylko płyną.
 (Ach! takich, jak dziadulo, na świecie jest mało!)
 Chciał, aby jej na niczem w domu nie zbywało.
 Otoż kłotni przyczyna. Już to od lat sześciu,
 Jak świat pragnie jedności po zięciu i teściu:
 Gdybym ich zbliżyć mogła, i skłonić do zgody,
 Nie byłoby piękniejszej dla serca nagrody.

CNOTLIWSKI.

O miłości dziecinnej, wzorze doskonały!
 Ileż w tobie jaśniej je prawdziwych cnot
 chwały;
 Jakże się szczycę z tego, że i moje dłonie,
 Tulily cię, pieściły, żeś na mojem łonie,
 Zabawiała się nieraz. Pełne łez me oczy,
 Gdy mi stanie na myśli ten obraz uroczy;
 Gdy dziś mogę okazać radość nieudolną,
 I kiedy mi tę rękę ucałować wolno!
 (*Całuje, i oblewa łzami rece Ludwini.*)

Ach! nie gardź, pani, hołdem, od starego sługi.
 W tym domu przepędziłem lat mych szereg
 długi,

Wszystko mnie tu obchodzi; ale ty najwięcej:
 Znając ciebie od samej pory niemowlęcej,
 W tobie mam żywy obraz nieboszczyka pana;
 A dziś, jakże mnie boli! ty z domu wygnana!
 Jakby w tobie widziano jakie bądź przeszkody.
 I chcesz jeszcze okazać miłości dowody,
 Temu, co ciebie wyгнаł? O najdroższa pani,
 Niechaj mi, kto bądź, śmiałość wymawia, i gani;
 Ja tę dobroć nadludzką nazywam prawdziwie,
 Za taką ją uwielbiam, i tobie się dziwię.

LUDWINIA.

Już się ja, moj Cnotliwski, na losy nie żalę;
 Kto przeszedł ich koleje, ten je znosi stale.
 Chociaż jeszcze niewiele na tym świecie żyłam
 Lecz się z duszą spokojną cierpieć nauczyłam.
 Niebo czuwa nade mną, i dosyć mi na tem;
 Jakżeby człowiek nie miał być w zgodzie ze
 światem?

Ludźmi jesteśmy; przeto znosić się nawzajem,
 Wybaczać sobie, naszym niech będzie zwy-
 czajem.

Wyznaję, żem jest winna mojemu losowi,
 To, co dziś moje szczęście, i chlubę stanowi.
 Nie wymagam od ludzi nadzwyczajnych rzeczy:

Są zdrożności, i temu nikt pewno nie przeczy;
Ale więcej nad niemi tkliwie ubolewam,
Jak się na samych ludzi oburzam, i gniewam.

CNOTLIWSKI.

Niech cię Niebo za takie serce błogosławi!
To Niebo, co nam wkrótce twe szczęście
objawi.

Ale pojąć nie mogę, skąd masz tę cierpliwość,
Że znosisz bez utyskow Leontyny żywość!

LUDWINIA.

Ona jest siostrą moją!

CNOTLIWSKI.

Tym bardziej mnie boli.

LUDWINIA.

Zostawmy to, zostawmy Opatrzności woli.
Moja siostra mnie kocha, ode mnie kochana.
Jeżeli jest w myślach naszych jakowa
odmiana,

Zawsze się czucia nasze tkliwie rozumieją;
A ja przecie tą słodką oddecham nadzieją;
Ze gdy mnie pozna lepiej serce Leontyny,
Nie będzie miała żadnej naowczas przyczyny,
Tę żywość, jak ją zowiesz, dla mnie okazywać.

CNOTLIWSKI.

Otoż nie scierpię dłużej, nie mogę ukrywać;
 Że Ludwini za dobroć źle się wyplacają;
 Tak, ja tego nie zmilczę, chociaż oni tają;
 Ja, bez wszelkiej ogrodki, tę zdradę wyjawię;
 Ze już im bliskość twoja szkodzi i w War-
 szawie;

I jeżeli się nie mylę, dobra nasza pani,
 Co pannie Leontynie nic a nic nie zgani,
 Z żalem na to przystała: a ledwie nie zgadnę;
 Że do tego powody nie skłoniły żadne,
 Procz jednego życzenia panny Leontyny.

LUDWINIA.

Proszę cię nie przypisuj mojej siostrze winy.

CNOTLIWSKI.

Otoż chcą cię zagrzebać w pultuskim klasz-
 torze.

LUDWINIA.

Właśnie pragnę Warszawę opuścić w tej porze,
 W której się ubiegają za próżności dymem:
 Słyszałam to, że moja Matka wraz z ojczymem,
 Chcą siostrę wydać za mąż tego karnawału...

CNOTLIWSKI (przerywając.)

Tak, tak, i ty ich, pani, trwożysz niepomalu!

Czy słuszna ta uwaga, nie pragnę w to
wchodzić;

Lecz ja sobie wygnanie potrafię osłodzić,
Będę się z tego cieszyć, żem im trosk ujęła.

(Z radością, i żywym uniesieniem.)

Jeszcze mnie jedną myślą Opatrzność na-
tchnęła;

Tak, przy twojej pomocy wykonać ją mogę,
I ty się pewno ze mną wyprawisz w tę drogę.
O! najdroższy dziaduniu!..... ach! w dwoja-
kim względzie,

Serce moje radością napawać się będzie;
Ojczym zajmie się wolniej Leontyny losem;
Ja pojdem z woli Nieba za serca odgłosem:
A jeżeli ten zamysł do skutku przywiode,
Najmilszą w mojem życiu pozyskam nagrodę.

CNOTLIWSKI *(gniew udając.)*

Jak widzę, źle się wybrał; ale bo w istocie,
Ledwie pomyśleć można o tak pięknej cencie.
Ha, coż mnie tam do tego: zrobię, co kazano,
Miej się pani ku drodze, i to bardzo rano.
Jutroś pani w Pułtusk, pożegnaj Warszawkę;
Z łaski dobrej siostruni pojedziesz na odstawkę.

Już nie wiem, co mam mówić, już nie wiem,
co mówię;

Tak mi się różne myśli błakają po głowie!
I złym, i żal mi ciebie, łzy mi z oczu płyną.

LUDWINIA.

W nich mają nieszczęśliwi pociechę jedyną;
Ale nie smuć się, nie smuć, kiedym ja we-
soła,

I pozganiaj te marszczki z pochmurnego czoła.
Oto śmieję się, Cnotliwsiu. Tak, jutro jedziemy,
Pojdę rzeczy ułożyć.

CNOTLIWSKI (z przerywaniem.)

Tak, jutro jedziemy;

Dalibog pęknę z żalu, stoję tu, jak niemy.
Ale powiedz mi pani, otwarcie, i śmiało;
(Bo chciałbym jej przychylić Nieba duszą całą);
Czy pani dobrze u mnie, w tym skromnym
pobycie?

I czyli moja żona?... bo ja nawet życie.
Poświęciłbym dla pani.

LUDWINIA.

Moj poczciwy Janie,

Znam ja do mej rodziny twoje przywiązanie;
Znam serce, które dla mnie poświęca się tyle;
I najmilej mi schodzą w twoim domu chwile.

Jednak ja się obawiam o ciebie jedynie,
 Choć to miejsce odludne niejeden ominie;
 Może mnie kto przypadkiem odkryć w tej
 ustroni;

Wtedy któż cię przed gniewem ojczyma za-
 słoni?

Żeś mnie dotąd nie odwiozł, czem się to
 wymowi?

CNOTLIWSKI.

Otoż miły mi opór temu rozkazowi.

Kocz nieboszczyka pana posłać miano z panną;

Ale że on zajęty jazdą nieustanną;

(Bo to bez końca bałe, wieczory, obiady,
 I aż głowa zaboli od takiej parady.....);

Otoż nając kazali na Pradze dorożkę,

I odwieść, (z przeproszeniem), jak ubogą
 służkę;

Prawda, żem nie usłuchał... to niech wszystko
 stracę.

LUDWINIA *(całując go w czoło.)*

Teraz ci tylko łzami wdzięczności zapłacę....

Ale bądź mi spokojny... nic nie będzie z jazdy.

Czuję wpływ dobreczynny mej nadziei gwiazdy:

Pojdź do żony, z nią spólnie naradzić się trzeba;

A skutek upragniony zdaj na łaskę Nieba.

Koniec części I.

Część Druga.

Okolica Mokotowa.

ODDZIAŁ I.

DOBROCKI, MALGORZATA,

*(z tygielkiem, i paczką tabaki, z niecierpliwos-
ścią obchodzi pana wokóło, po kilkarazy, i nie
śmie mu przerwać.)*

DOBROCKI.

(Czyta gazetę przez okulary.)

Czegoż moja Malgosia kręci się tak żwawo?
I śiak i tak, od rana, i w lewo, i w prawo?

MALGORZATA.

Wszak to dziś imieniny twoje, dobry panie;
Myszę smaczne śniadanko zrobić na wiązanie.

DOBROCKI,

A coż mi tam sporządzisz?

MALGORZATA.

Co pan lubi rzewnie.

DOBROCKI (z radością.)

Jajecznica z szczypiorkiem uraczysz mnie
pewnie.

MALGORZATA,

(z roztargnieniem, i nieśmiałością, pochodzącą
z radości.)

Co pan tylko rozkaże. A teraz, nieśmiało,
Chciałabym pana prosić o rzecz bardzo małą.
Oto dziś imieniny pana dobrodzieja;
Muszę panu winszować... od pana Macieja...
Tak..... od pana Macieja.... o Boże! o Boże!
Że się też nie mej głowy uczepić nie może!

DOBROCKI.

I słucham cię, i słucham, a nic nie rozumiem.

MALGORZATA.

Niechże mnie pan nie wstydzi..... i tak mało
umiem.

Ale nim powinszuję, i zrobię przysmaczki;
Niech pan tym czasem przyjmie ołówek ta-
baczki,

Tabaczki wyśmienitej; ten dar niebogaty;
Ale, że daje z serca, przyjm od Malgorzaty;
Mogłci byś mieć bogatszy.....

DOBROCKI (wzdycha.)

MAŁGORZATA.

Teraz, dobry panie,
Niech ci powiem spokojnie to powinszowanie.

(Za każdym wyrazem krzaka, i przypomina sobie.)

Żyj wesoły i czerstwy, żyj w najdłuższe lata,
Tego ci dziś, i zawsze, życzy Małgorzata.

DOBROCKI.

Brawo! brawo! Małgosiu, to mi tak jest miło,
Jak gdyby najuczeńszą oracyą było.

MAŁGORZATA.

Z serca to powiedziałam; więc przyjmij życziwie.

DOBROCKI.

Dziś najweselszy jestem, odżyłem prawdziwie.
Słuchaj, Małgosiu, dawniej przyszła mi myśl
pewna:

Dziś tu do nas przybędzie Cnotliwskiego krewna:
Będzie ci mogła ulżyć koło mnie w usługach;
Jużem też i osiwiiał, często cię wynudzę;
Musisz prawda wybaczyć, jak panu staremu;
Ale i ty, Małgosiu, nie masz sił po temu.

Abym ci się wywdzięczył, przyszła na mnie
pora:

Cnotliwski krewnę swoją polecał mi wczora;
Potrzeba ci pomocy, ugodzę ją przeto.

(Wiem że poczciwość jego rodziny zaletą);
Niech tylko ma przymioty, jakie widzę w tobie;
A pewno w mych usługach nie uprzykrzy
sobie.

Ty zaś, choć mnie Bog wcześniej powoła do
siebie, (Ze łzami.)

Bądź pewna, że nie będziesz w służenia po-
trzebie.

Dziękuję ci, Małgosiu, za dobre życzenia.

*(Tu jakiś mały chłopczyna wniósł piękny
wazonik, ze stucznemi, różami, postawił przed
panem Dobrockim, pokłonił się, i odszedł.)*

To kwiaty pani Szowo, godne uwielbienia.

*(Wstaje, i spostrzega zwinięty papier, przy-
wiązany do kwiatów.)*

A ten papier co znaczy? Ach! to od Ludwini,
Jej pamięć sercu memu lubą rozkosz czyni;
Już tak dawno Aniola tego nie widziałem:
Z jakimżebym ją teraz oglądał zapałem!
Chociaż noc zwolna przyćmienia osłabione oczy,
Wskazałby mi ją pewnie ten powab uroczy,

Ta niewinność, ta wszystkich ujmująca
skromność.

Jakżeby czuł moj domek Ludwini przyto-
mność!

Wydarli ją okrutni, wydarli mnie razem
Tę rozkosz, bym się cieszył w niej Ojca
obrazem:

Czegożbym nie dał za to, byłem ją oglądał;
Ale nie zezwolili, bom ja tego żądał.

(Bierze karteczkę do ręki.)

W tem się piśmie jej dusza cnotliwa i stała,
Dla milego dziadunia z rzewnością wylała.

(C z y t a.)

„O najdroższy dziaduniu! gdy te słowa kryślę,

„Nie czuję się z radości, bo o tobie myślę.

„Ale je przerywają niekiedy westchnienia;

„Że ci nie osobiście składam te życzenia.

„Błagam Nieba za ciebie, za rodzinę całą;

„Aby w nią tkliwsze czucia, i żal szczery wlało:

„Nie tracę tej nadziei, nią jedynic żyję.

„Ty wiesz, jak serce wnuczki wdzięcznym
czuciem bije;

„Przyjmij więc jej życzenia, bo z serca po-
chodzą:

„Niech ci przykrą pamiątkę do czasu osłodzą!”

(Płacze, i łzy ociera.)

Mogę bez rozrzewnienia te wyrazy czytać?
A córka nawet o mnie nie raczy się spytać!

(Sposstrzega inny papier z drugiej strony, przywiązany, a w nim list od córki.)

Byłbym więc tak niesłusznie posądził niebogę.

(Odkłada list na stoliku.)

Lecz nie! teraz jej listu otworzyć nie mogę:
Bojosław moim zięciem; ona córką moją;
Oboje, jak powietrza, mnie widzieć się boją.

MARGORZATA.

Otobyś pan nie gdyrał, przeszedł się w ogródzie,
Tam ja panu za chwilkę dam śniadanko
w chłodzie.

DOBROCKI.

Dobrze, moja Malgosiu, usłacham twej rady.

(Bierze list ze stolika, laskę, i kapelusz.)

Poszukasz mnie w gęstwinie dzikiej promenady.

(Przystępując do okna.)

Jaka świeżość w powietrzu, korzystajmy
z chwili:

Niechaj wieczor dni moich ten ranek umili.

(Odchodzi.)

ODDZIAŁ II.

MALGORZATA.

Jakie też to pocziwe to panisko mojej
 Odtąd w jego usługach gorliwość podwoję.
 Będę go najlepszemi przysmaczkami pasta;
 Do każdego przyłożę i jajek, i masła.
 Ale ja gadu, gadu, a tu próżna rynka:
 Prędzej, zwiń się, Malgosiu! dalej do kominka!

*(Spostrzega wchodzącą Ludwinię,
 i Cnotliwskiego.)*

I któż znowu tak rano? tego trzeba właśnie!

(Krzatając się.)

A pewnie na kominku ogień mi przygaśnie.

*(Dyga Ludwini, i Cnotliwskiemu, po
 kilka razy.)*

ODDZIAŁ III.

LUDWINIA. CNOTLIWSKI. MALGORZATA.

LUDWINIA.

(W gorseciku i spodniczce)

Dosyć tego, Malgosiu: a gdzie jest dziadulo?
 Niechaj go ręce moje do serca przytulą!

MAŁGORZATA (do Cnotliwskiego.)

Jakieś tam o dziadulu prawi banaluki.

(Miarkuje się.)

Prawda, mój pan, dziadunio, bo i on ma wnuki.

CNOTLIWSKI,

(przerywając, do ucha Ludwini.)

Pięknie panna Ludwika dotrzymuje słowa:
A gdzież poprzedni układ? gdzie nasza umowa,
Trzeba się zastosować do swego ubioru.

(Prędko, i z uśmiechem, do Małgorzaty.)

Małgosia nam za wiele wyrządza honoru.
Ja tu przyprowadziłem jedną z moich kre-
wnych:

Nieboga w kilku latach doznała strat rzewnych;
Umarł jej dobry Ojciec; a słaba macocha,
Jakkolwiek własną córkę nieobludnie kocha;
Ulega ojczymowi: i to się już stało,
Ze na sierotę w domu uważano mało.
Widząc, jak po dniach całych zalewa się łzami,
Rzekłem sobie: wszak służba nikogo nie plami;
Winien pracować na chleb komu Bog dał ręce:
I ja poczeiwie służę, i krewnę gdzie wkręcę;
Jest wierną i cnotliwą, robiąc w czola pocie,
Znajdzie majątek w pracy, a nagrodę w cnotcie.

W tych myślach zatopiony, przyszedłem do
pana;

Wnet mi się z ust wymknęło, Małgosiu kochana;
Ze mam krewną wieśniaczkę, jak róża ru-
mianą,

Dziewczynę zwinną, zgrabną, z poczciwości
znaną,

Niewyseką, nieniską, (do pokoju zda się).

(Obraca ją wkoło.)

Jednem słowem pulchniutką, i ładną Joasię:

Wasz pan prosił mnie o nią, do małej posługi;

Lecz, że ja nieczasowy, upłynął czas długi,

Nim się z nią mogłem przywlec: oto ją dziś
macie;

Ręczę, że się spodoba dobrej Małgorzacie.

MAŁGORZATA *(z kwaśną miną)*

Nie wiem, czy nam się przyda, bo za młoda
trochę;

A te piętnastolatki zwykły bywać płocze,

Strzelać oczkiem na chłopcow, mieć wylotow
siła,

Ustawnie z domu pryskać; i jam taką była.

CNOTLIWSKI.

We wszystkim jest powolną, zdrowej rady
słucha,

I nigdy na próżności nie nadstawia ucha:

Wiem ja, że w doświadczenie młody niebogaty;
Dlatego bardzo proszę pani Małgorzaty;
Ażeby drugą Matką była dla Joasi.

MAŁGORZATA.

Ale bo to nicpotem ci mężczyźni nasi.
Naprzykład pan Boruta, walny to młodzieniec;
Ale przyznam się, czasem i z niego szalenięć;
Nie przejdzie, żeby jakiej nie wyrządził psoty,
Onby zawsze Joasi mudził czas roboty.

CNOTLIWSKI.

Ale ja się spodziewam, że taka mistrzyni,
Jak Małgosia, co zechce, z Joasi uczyni;
A przeto wam powierzam moją siostrzenicę.
(*Tu słyhać głos P. Dobrockiego, za widownią.*)
Hej! Małgosiu, Małgosiu, dajno jajecznicę!

MAŁGORZATA.

Aj! aj! cożem zrobiła? Bywajcie mi zdrowi:
(*Odchodzi.*)

ODDZIAŁ IV.

LUDWINIA. CNOTLIWSKI.

CNOTLIWSKI.

Już na niewinny podstęp jesteśmy gotowi:
Tylko panny Ludwiki bardzo proszę o to,
Aby ciągle mówiła z nieśmiałą prostotą;

Dla dobrej Małgorzaty nieszczędząc grzeczności;
 A kiedy odpowiedź przyjdzie Jegomości,
 Niechże panna Ludwika potłumi swą tkliwość;
 I niechaj się nie wyda przez jakąbądź ży-
 wość.

Małgorzata nie pozna, skoro nie poznała:
 Dla dziadula się także inną wnuczka stała,
 Podrosła o poł głowy, nieco poważniejsza;
 Dawno jej też nie widział.

LUDWINIA.

O to wszystko mniejsza;
 Lecz pierwszy jego widok jakże mnie poruszył!
 Ileż miłych przypomnień obudzi w mej duszy!
 Czuję, że święty ogień przeniknie mnie całą:
 Dla kogoż jego serce rzewniej się wylało?
 Dla mnie, drogi Cnotliwski: ach! wdzięczno-
 ścią pałam!
 Najlepszego z dziaduniów dawno nie widziałam!
 I ty chcesz, abym jeszcze obojętną była?
 I rękę jego szanownych łzami nie zrosiła?
 Muszę to zrobić!

CNOTLIWSKI.

Serca ulegniesz potrzebie;
 Ale tem uniesieniem pewno wydasz siebie;
 Przeto czułość z ukryciem tak trzeba pogodzić,
 Aby temu podejściu w niczem nie zaszkodzić.

Ale miejmy ostrożność, i stańmy osobno;
Dziadunio z Małgorzatą zbliża się podobno.

(*Tu Ludwinia doznała mocnego wzruszenia: jednak staje niedaleko Cnotliwskiego, ze spuszczonei rękami, i spuszczoną głową. Widać, jak się pasuje z uczuciem, i chciałaby dalej postąpić.*)

ODDZIAŁ V.

DAWNI. DOBROCKI. MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.

(*Prowadzi P. Dobrockiego pod rękę.*)

Otoż owa dziewczynka... ale pan niech pomni;
Ze to czasem mężczyźni trochę są nieskromni;
Ze tu niebezpieczeństwo.....

DOBROCKI (*przerywa łagodnie.*)

Cnotliwsiu kochany...
Myśl moję zrozumiałeś.

MAŁGORZATA (*na boku.*)

Cnotliwsiu kochany.....
Już ja rozumiem wszystko, nie hito mnie
w ciemie. (*Patrzy na Ludwinie.*)

Patrzcie mi, jaka skromna, oczki spuszcza
w ziemię:

Oho! już się z mym panem przez ścianę spachali;
Prawdać to, w starym piecu zawsze djaból pali.

CNOTLIWSKI.

Chciałeś pan mojej krewnej; jesteśmy oboje:
 Nie powstydzę się pewnie za Joasię moję.
 Twarzyczka jej niczego, zwinna, i zgrabniutka.

MAŁGORZATA *(na boku.)*

Pan Cnotliwski nie dodał, że wielka filutka.

CNOTLIWSKI.

I coż? jakże się panu Joasia podoba?

MAŁGORZATA *(uprzedzając.)*

Z tych miluchnych twarzyczek nieraz w domu
 zgloba.

DOBROCKI.

Szkoda, że mnie zawodzi wzrok moj osta-
 biony. *(Kładzie okulary.)*

MAŁGORZATA *(na boku.)*

Zakochał się, już nie wie, z ktorej zacząć
 strony.

DOBROCKI.

Witam cię, moje dziecię!

*(Ludwinia robi niski ukłon.)**(Do Cnotliwskiego.)*

Ona jeszcze młoda.

CNOTLIWSKI.

Ochota najslabszemu sił, i mocy doda.

DOBROCKI.

Widać, że nieboraczka nigdzie nie służyła.

MAŁGORZATA (na boku)

Jeszcze ją uczyć! pan Bog karę na mnie zsyła.

DOBROCKI,

*(głaszcząc Ludwinię pod brodę.)*Nic nie szkodzi, Joasiu, nie boj się, bądź
śmiałą;Wszystkich taki początek, umieć nic, lub mało.
Reszta przyjdzie za czasem, przy dobrej
ochocie,

Byleby człowiek zawsze pamiętał o cnocie.

MAŁGORZATA (potrząsa głową)

*(Ludwinia posuwa się nagle kilka kroków do P. Dobrockiego, potym się miarkuje, i całuje go w rękę.)*O najdroższy dzia..... przebog! co za roztar-
gnienie!

Ach! darujcie mi państwo....

MAŁGORZATA.

Proszę unizenie!

Otoż mi ją widzicie! o płochę dziewczęta!

CNOTLIWSKI (z cicha)

Niechże panna Ludwika o słowie pamięta;

(Do Małgorzaty.)

Darujcie jej, darujcie, czyni to z prostoty!...

A ja wiem, że ma wiele do pracy ochoty.

MAŁGORZATA.

Czy też pończochy robić uczono Joasię?

Czy na praniu, i szyciu, lub na kuchni zna się?

DOBROCKI.

Za wiele na raz po niej wymagasz roboty.

LUDWINIA

(z niewinną prostotą.)

O! mnie, moja gosposiu, nie braknie ochoty,
Doutczyć się, czego bym jeszcze nie umiała.

MAŁGORZATA (na boku)

Patrzcie ją, jaka sobie rozmowna, i śmiała:
A jam tak uradziła w mym lichym rozumie,
Ze to niewinne dziewczę trzech zliczyć nie umie.

LUDWINIA.

(Zcicha, niecierpliwie, do Cnotliwskiego.)

Ja mu do nog upadnę, łzami je obleję!

CNOTLIWSKI.

(Podobnie z pośpiechem.)

Tak więc niech pani straci najlepszą nadzieję.

LUDWINIA.

Już zrobię, czego żadasz.

CNOTLIWSKI.

Przymuszać się trzeba.

DOBROCHA.

*(Głaszcze Ludwinię pod brodę.)*U mnie ci, moje dziecię, nie zabraknie chleba.
Ach! jak mi ona twarzą wnuczkę przypomina!

LUDWINIA.

(Zcicha, i na boku, do Cnotliwskiego.)

Serce się moje z żalu rozstawać zaczyna.

CNOTLIWSKI.

(Podobnie na boku, zcicha.)

Proszę, błagam, zaklinam!

DOBROCKI (do Małgorzaty.)

Tak więc naszą, Joasia, moja Małgorzato.

(Z czułością patrzy na Ludwinię.)

Ale kochaj to dziecię: czy ręcysz mi za to?
Niezbym wymagaj pracy, wszystko za nią
mowi.

(Bierze ją za rękę, i ogląda. Ludwinia ledwie
nie ucałowała ręki dziadunia.)

Jak delikatne rączki?

MAŁGORZATA,

(Chce odejść: na boku.)

Hę! bywajcie zdrowi.

Już się w swojej Joasi rozkochał nie lada;
A kochankom przeszkadzać wcale nie wypada.

DOBROCKI.

To dziewczę lepszych losow godne bez wąt-
pienia!

O wiem ja, jak fortuna dziwacznie się zmienia!

(Wpatruje się.)

Przypatrzno się, Małgosiu! przypatrz się, a
zbliska.

(Ach! ten widok łzy rzewne z mych oczu wy-
ciska!)

Przypatrz się, czy Joasia, twarzą, składem ciała,
 Ruchem nawet, pomimo, że trochę nieśmiała,
 Niepodobną zupełnie mej kochannj wnuce.
 Może stąd, że gdziekolwiek oczy moje zwrocę,
 Wszystko jej miły obraz mej duszy wystawia,
 I tysiąc lubych spomnień w umyśle odnawia.
 Gdyby nie to, że krewną Cnotliwski ją zowie,
 Przysięgłbym, że Ludwinię widzę w Moko-
 towie.

O Małgosiu, ta dziewczęcę dlatego jedynie;
 Że przypominać będzie drogą mi Ludwinię,
 W mym pokoju umieszczę, i tam szyć bieliznę,
 Tam robić ma pończochy, naprawiać starzyznę;
 Ja sam najpierwsze o niej będę miał staranie.

(W ciągu tej mowy Małgorzata swoje niespokojność różnemi wyrażała jestami, a Ludwinią rzewnie płakała, zastaniając sobie oczy fartuszkciem.)

CNOTLIWSKI.

Ach! czemże ci się za to wywdzięczymy, panie!

MAŁGORZATA.

Ależ się bez roboty nie obejdzie przecie!

LUDWINIA.

Wszystko wiernie wypełnię, sobądz rozka-
 żecie.

A czego też nie umiem, wam to będę wdzięczną;

Bo mi się wydajecie pocziwą, i zręczną.

(Małgorzata widocznie uradowana, wypogadza twarz swoją.)

Ale się nie gniewajcie, o to, co wam powiem;
Ze wasza zręczność prawie stała się przysłowiem.

(Małgorzata się chmurzy.)

Że was zowią gadulską, przytym skłonną lajać;

Ale ja nie przestanę pilności podwajać;

Ażeby wam dogodzić, wasz tryb w siebie przelać;

Będę nawet gosposię mile rozweselać.

O! bo co do śpiewania, tom ja nieleniwa,

A do tego wesola, i zawsze szczęśliwa.

(Ś p i e w a.)

Kto się poświęca dla cnoty,

Temu zdroj płynie wesela,

Nigdy nie dozna zgryzoty,

Wszystko mu pociech udziela.

Ześle wesolość sen miły,

Ześle swobodne marzenia,

Ciału da zdrowie i siły,

Sercu spokojność sumienia.

DOBROCKI

Dobrze, moje kochanie, będzie nam wesoło,
 I Małgorzata musi wypogodzić czoło:
 Ale bo też to nie dziw, nie dzisiejsza ona;
 Często i mnie jakowe zmartwienie pokona.

MALGORZATA.

Najczęściej, kiedy myślisz o niewdzięcznym
 zięciu,
 Który ci nie dał siedzieć, przy własnem dzie-
 cięciu; (Placze.)
 Nieczuły na krwi związki, i na stare lata:
 Ach! panie, dobrych Ojcow taka jest zapłata.

DOBROCKI.

(Rozrzewniony, ociera łzy chustką.)

Tylko mi nie becz, stara, bo ja się rozbeczę:
 Małgosiu, ja mym dzieciom wcale nie złorzeczę;
 I gdybym je tu ujrzał, wyznam to przed wami:
 Wzystko, wszystko przebaczę, uścisknę ze łzami.

LUDWINIA (placze.)

Co za dobry dziadunio!

CNOTLIWSKI (zagaduje.)

Tak, Ojciec kochany.

D O B R O C K I.

Przestańcie już odnawiać serca mego rany.
 Słuchaj, Małgosiu, rękę daj twojemu panu;
 Że niezważając na to, jakiego jest stanu,
 Będiesz mi się z Joasią gwałtownie obchodziła;
 Pamiętaj, aby zawsze w moim pokoju była!
 Lecz nie zabraniam tego, ażebyś w potrzebie,
 Tam, gdzie będę wymagał zwinniejszej od
 ciebie,

Nie miała użyć ręki poczciwej Joasi.
 Zobaczysz, stara Marto, ona cię zagasi;
 Boś ty już dawnej daty, tobie ciężą lata;
 Tak nam nie w świat obojgu, ale już ze świata.
 Niechaj łożko Joasi w komnacie mej będzie.

(Małgorzata kręci głową.)

Lecz, abyś pewną ulgę miała i w tym wzglę-
 dzie,
 Kiedy w nocy zawołam zbudzony słabością....

MAŁGORZATA *(przerywając.)*

Oj! prawda, że to nieraz bieda z Jegomością.
 Ustawnie ci na myśli te niewdzięczne dzieci;
 A szczególnie gdy miesiąc w swojej pełni
 świecici;
 To się zrywasz, to wołasz, to kładziesz, to
 wstajesz,
 I często Małgorzatę przez omyłkę łajesz.

O! jeżeli tylko cnoty z serca nie wygnali,
Nie wierzę, aby zawsze bez kłopotu spali.

DOBROCKI.

Tylko mi nie przerywaj: otoż będzie spała...

MAŁGORZATA *(przerywając.)*

Jużem ja to, moj panie, dwa razy słyszała.

DOBROCKI *(trochę urażony.)*

No, proszę, ta mi baba mówić nie pozwoli:
Jak ciebie od paplania gęba nie zaboli?
Otoż sypiać w komnacie będziecie obiedwie.

MAŁGORZATA *(spokojniej.)*

Otoż teraz dopiero pocieszył mnie ledwie;
Bo też to, panie odpuść! czego mu się chciało?
O znam ja, znam się dobrze, co czarno, co
biało.

DOBROCKI.

Przecież, abym ja mówił pozwól mi łaskawie,
A zatym ile razy noc bezsennie trawię,
Nie potrzebuję ciebie, chrap ty sobie, stara.
Choć to dla niej cokolwiek przytrudna ofiara,
Niech mi wstanie Joasia, z nią będę gawędził.

MAŁGORZATA *(do siebie.)*

Proszę, onby maie dla niej może i wypędził:

O! nic z tego, nic z tego. *(Głośno.)*

Ja nie sypiam wiele;
Może mnie pan obudzić, i zawołać śmieie;
Te młodki smacznie chrapią, im potrzebne
spanie.

DOBROCKI *(do Małgorzaty.)*

Mogłabyś sobie trochę odpocząć, kochanie.

MAŁGORZATA *(prędko.)*

O! mnie to nic nie szkodzi, gdyby conoc
było;
Czuwać, panie, dla ciebie, zawsze mi jest
miło.

DOBROCKI.

A kiedy chcesz koniecznie, to zgoda, to
mniejsza;
Tylko, że to Joasia do usług zwinniejsza.

MAŁGORZATA. *(pod nosem.)*

A! zwinniejsza do usług: oho! proszę, proszę;
A tak, lepsze kokoszki, niż stare kokosze.
Coż robić? tak pan każe, trzeba go i słuchać.

DOBROCKI.

(Głaszcze Małgorzatę pod brodę.)

No, przecieś się raczyła, stara, udobruchać.

Otoż, aby wam żadnej zazdrości nie było,
Skoro czuwać nade mną tak ci zawsze miło;
Wstajecie sobie kolejno; a gdy która zaśnie....

MAŁGORZATA

O! jabym też zaspiała, ja zaspiała! właśnie!

LUDWINIA (z uczuciem, i ze łzami.)

Przy tobie, dobry panie, czas zejdzie tak mile,
Jakobym poświęciła dla Ojca te chwile.

CNOTLIWSKI (do ucha Ludwini.)

Otoż pannie Ludwice ślicznie się udaje.

DOBROCKI

Jeszcze mi jedno do was mówić pozostaje.
Czasem pod lipy mojej ulubionem cieniem,
Sen błogi siły starca pokrzepia wytechnieniem:
Niechaj wtedy Joasia przy mnie się znajduje;
Niech mi z robotką w ręku piosnki wyśpie-
wuje;
Aby mi się zdawało, że mnie anioł strzeże.

MAŁGORZATA (z uśmiechem.)

Prawda! ładny aniołek: i ja temu wierzę.

DOBROCKI

A widzisz, że ją kochasz; zgadłem, Małgorzato.
I coż tedy, Joasiu, czy przystajesz na to?

LUDWINIA

(z żywym uczuciem.)

Dla ciebie, dobry panie, wszystko, wszystko
zrobię;
Oby mi Bog pozwolił, żebym w każdej dobie,
Wkoło ciebie zgromadzić mogła pociech
krocie;
I z nich wieniec najmiłszy uwiała twej cnocie:
Co tylko piosnek umiem, będę je nuciła;
Niech Bog na skronie twoje sen, i pokój zsyła;
A mnie niechaj udzieli tej głosu lubości.....

(Chciała postąpić, i zatrzymuje się.)

MAŁGORZATA.

Tylko rzewliwych dumek nie nuć ięgomości;
Mając swoje zmartwienia, skłonny jest do
smutku.

LUDWINIA.

Gosposiu! co ja umiem zobaczycie w skutku.
Dumki moje wesole, i nuta wesola:
Niechaj powie moj krewny, jak z naszego siola,
Nie przepiszcie mnie żadna, mnie śpiewaczką
zwali.....

MAŁGORZATA

(w połowie, do siebie.)

Proszę, jak to stworzenie dowcipnie się
chwali.

DOBROCKI (do Cnotliwskiego.)

Bardzo ci wdzięczny jestem, za Joasę moję:
Zobaczysz, jak się wkrótce poznamy oboje.

MAŁGORZATA (krząka.)

Chwilę będzie jej przykro zostawać beze mnie;
Ja zaś kochać, jak córkę, będę ją wzajemnie.

MAŁGORZATA.

Ale mnie, moj jegomość, zadziwia niemało,
Jakto się tak dowcipnie na wsi wychowało?
Ileż tam widać głąbiów, choć były i fuki.

DOBROCKI.

Wszak się znajdą i w mieście uczone nieuki.

LUDWINIA.

Nie dziwcie się, gosposiu, już ja taka z młodu:
Wiem, że ze mną niewiele miano korowodu;
O! bom ja zawsze była niepoślednia sztuczka,
Wbiegu chybka, jak koza, a zwinna, jak fruczka;
A gdybyście wy na wsi byli mnie widzieli:
Tambyście do rozpuku pewno się uśmieli.
Oho! było mnie widzieć, skakałam przez
stolki;
A na trawie, to jak nie magałam koziolki.

MAŁGORZATA.

Koziolki? co? koziolki? a niechże Bog broń!

LUDWINIA.

A kiedy się rozpędzę, nikt mnie nie dogoni.

MARGARZATA.

Dogonią cię, dogonią, wiedzą to panowie.
 Lecz przeklęte koziolki utkwily mi w głowie:
 Niechże i tu koziolki żwawo magać zacznie;
 To żyj zdrow z koziolkami, dom pojdzie
 opacznie;
 A nuż mnie też obali, i koziolka magnę....

(W połowie do siebie.)

Oj! tego roztrzepańca niebardzo ja pragnę.

LUDWINIA.

A że mnie wszyscy lubią, są tego dowody:
 Niedawno nas napotkał mężczyzna dość młody;
 Lecz trochę dziadkowaty, skłonił mi się
 wdzięcznie,
 I skrobnał żwawo nogą, ale tak niezręcznie,
 Żem się na głos rozśmiała; on tem niezrażony,
 Coraz niższe, i niższe dawał mi ukłony;
 Wreście stanął, jak wryty, kapelusz uchylił,
 I na taki się koncept z uśmiechem wysilił:
 „Panienska sobie ładna, a mnie, jakby ułał;
 „Gdyby chciała, tobym ją, jak żonkę przy-
 tulał.

„Jestem syn Organisty, i z całą osobą,
 „Do usług, ma panienska Sobusia przed sobą.
 Po tych słowach my w swoją ruszyliśmy
 drogę;

A on jeszcze wtył cofnął do ukłonow nogę:
 I gdyśmy go mijali, on mą postać chwalił,
 Z ostatnim się ukłonem, jak długi, obalił.
 Z litościm nieboraczka z Cnotliwskim podniosła;
 Alem się też od śmiechu ledwie nie zanosła;
 Bo zabawną figurkę zrobił z siebie wtedy.

MAŁGORZATA.

Piękne politowanie! śmiać się z cudzej biedy.

DOBROCKI.

Że Joasia wesola, i coż ci to szkodzi?

MAŁGORZATA.

A! tak, niechajże sobie i na głowie chodzi.

LUDWINIA

(z radością, i roztargnieniem.)

Na głowie! w to mi grajcie! niebrak mi i tego.

MAŁGORZATA.

Ach! od tego szaleńca niech nas Nieba strzegą.

LUDWINIA.

I wy, moja gosposiu, będziecie ruchawszą,
Już ja was wpoł miesiąca wystrychnę na
 żwawszą;
Tylko się ot tak ze mną wkoło zakręcicie.

(Bierze Małgorzatę za ręce, i z nią tańczy wkoło.)

O! to zdrowie polepsza, to umacnia życie.

MAŁGORZATA

(ziając, zmordowana siada na ziemi.)

A bodajżeś! ach! dosyć..... już mi tchu nie
staje.

DOBROCKI *(śmieje się głośno.)*

To mi to wiejska żywość, to siły dodaje:
O! gdyby nie te lata, i jabym z nią skakał.

MAŁGORZATA.

Oto byś pan nade mną lepij się rozplakał.
Pewnie tego odleżę.

DOBROCKI *(śmiejąc się.)*

Nic ci się nie stanie.

(Zuśmiechem radosnym do Ludwini.)

Pojdź, niech cię ucałuję, pojdź, moje kochanie.

Tak mnie wesel, zabawiaj.

(Śmiejąc się głośno.)

Skakaj z Małgorzatą!
A Bog ci, moje dziecię, wynagrodzi za to.

MAŁGORZATA.

Wynagrodzi, jak umrę! Coż się panu dzieje?
(Do siebie.)

Niesposob! czas na niego, już stary szafęje.

DOBROCKI.

Ale bo ja powiadam, że ty będziesz zdrowa.

MAŁGORZATA.

Kiedy mnie na Powązki wezmą z Mokotowa.

DOBROCKI.

(Podnosi ją zabawnie.)

No, no, wstajże mi, babo, a zakręć się jeszcze.

LUDWINIA *(idzie ku niej.)*

Dalej w taniec, gosposiu, bo ja się nie pieszczę.

MAŁGORZATA *(uciekając.)*

A niech cię... jabym sobie chciała być na
świecie;

A ona w obertasach kości mi pogniecie.

Tańcujże sobie z panem, kiedy ci tak służy,
 Tańcuj, ale nie ze mną, tańcuj jak najdłużej.

DOBROCKI

(*zanosząc się od śmiechu.*)

Czekajże, sekutnico, potańcujesz trochy.
 Takto te stare baby zawsze robią fochy;
 Ale gdyby jej tylko w czubku zaszumiało,
 Oj! wiem, żeby się trzęsła, może i noc całą.

(*Udaje starą babę, podrygając.*)

I coż z nią mamy robić? niech sobie odpocznie;
 Teraz, o dzieci moje, poznaję widocznie,
 Że mi trzeba rozrywki: wnuczka moja miła,
 Ach! taby mnie, przecsuwam, najmilej bawiła.

(*Ze łzami, ociera oczy.*)

Ale kiedy tak z Niebios wypadło wyroku;
 Że jej biedny dziadunio nie mógł mieć przy
 boku;
 Ty Joasiu, co twarzą, co pogodnem czołem,
 Przypominasz Ludwinię, ty bądź mym aniołem;
 Ty mnie zawsze pocieszaj. A teraz, kochanie,
 Pojdź, i obejrzyj z nami ogrod, i mieszkanie.
 Trzeba wam posilenia; otoż i sęk nowy:
 Stara w gniewie, ależ go wybijem z jej głowy;
 Jednakże z tańca kwita, i na zawsze kwita.
 Uśmiejem się, jak stara z dąsem nas przywita.

Pozwoli pan dobrodziej, że w prostej osnowie,
Przed odejściem słow kilka z Joasią pomowię.
Dla krewnych, dziecię moje! wiesz, jakieś
daleka;

W Bogu więc, i w tym panu dziś twoja opieka.
Nauczyłaś się krzywdy cichem sercem znosić;
Ale nie przestań nigdy Boga o to prosić;
Aby ci dał cierpliwość, i w pracy ochotę.
Nie będziesz obciążana przez żadną robotę;
Bylebyś okazała szczerą pracowitość:
A pan będzie miał pewnie nad twym wie-
kiem litość.

Poznałem twoje serce, przeto jestem pewny;
Że śmiało ręczyć mogę, za tobą, jak krewny.
Polecam już to dziewczę twojej dobroci, panie;
A ty Joasiu! przyjmij tkliwe pożegnanie.

*(Rozstaje się z nią z uszanowaniem, tak je-
dnak, aby to nie zastanowiło P. Dobrockiego.)*

Koniec Części II.



Część Trzecia

ODDZIAŁ I.

S O B U Ś, M A Ł G O R Z A T A.

S O B U Ś.

Tere fere, i kuku, pieprzowe gomołki!
 Nie chcę ja mieć z wacpanią w tej racyi społki.
 Albożto proszę ze mnie śmieszna facyjata?
 Czy ja nie mam rozumu? czy ja nie znam świata?
 Hę, powiedzno! gosposiu, hę? i co wy na to?
 Przekonałem cię, ani mrumru, Malgorzato.

M A Ł G O R Z A T A.

Albo i nie przekonał, uczciwszy waszeci:
 Kiedy wasze, jak widzę, trzy po trzy mi kleci.
 Pan Dobrocki Joasi za waszeci nie da.

S O B U Ś (z gniewem.)

Gdy kto nie ma rozumu, to z nim wielka bieda:
 A czemuż to, hę? czemu? czemu? mow! hę?
 proszę?
 Czy ja głowy na karku, jak wszyscy, nie noszę?
 A coż mi to brakuje? hę? co mi brakuje?
 Ej! przestańcie, Malgosiu, z gniewu się nie
 czuję.

Coż to? he? ja? bywalec? ja? mocno uczony?
Ja zaś nie byłbym godny, he? ja? takiej żony?

MAŁGORZATA.

Dajcie mi święty pokój, przy mojej tam bidzie;
Mam ja sama co myśleć, oto i pan idzie.

(*Odchodzi.*)

ODDZIAŁ II.

DOBROCKI. SOBUS.

(*Sobus spostrzegłszy P. Dobrockiego, cofa się nabok.*)

DOBROCKI (*zamyślony.*)

Walna sobie dziewczyna, zwinne to, aż miło;
Ale się Małgorzacie trochę dokuczyło:
Wie ona, że to było w radości zapędzie;
Trzeba ją udobruchać, to i zgoda będzie.

S O B U S

(*chciałby go zagadnąć; wysuwa się naprzód,
znowu wtył cofa.*)

A ja..... bo to..... niby ja....

DOBROCKI.

Coś tu zabręczało?

(*Ogląda się; ale Sobus zachodzi mu z tyłu.*)

Coż to? wszak nie nie widzę: a! to mi się zdało.

S O B U Ś

(znowu, jak pierwszej, z uśmiechem.)

A ja tu jestem.

D O B R O C K I

Znowu!... to już jakaś mara.

S O B U Ś *(wtylc.)*Choćbym śmiało chciał mówić, coś mi szepce:
wara!

D O B R O C K I

*(sposstrzegając Sobusia.)*Czego tu chce ten jeśpan; on się do mnie
skrada.*(Idzie ku niemu, Sobuś chce zemknąć.)*

D O B R O C K I

*(chwytając go za kołnierz)*Hola! stojno, braciszku! kłamstwo nic nie nada:
Mów prawdę, co tu robisz? a niech się wać
zwija,

Bo inaczej to sobie zaśpiewamy z kija.

S O B U Ś.

Kiedym ja nic nie winion; ja nie złodziej
przecie.

DOBROCKI *(podnosi łaskę.)*

No, no! dalej! bo skutek poczujesz na grzbiecie.

S O B U Ś.

Ale bo ja tu przyszedł prosić o Joasię.

DOBROCKI.

O! bratku, to nie w swoim wybrałeś się czasie.

(Puszcza go, i wpatruje się w niego.)

Zda mi się, że znam ciebie!

S O B U Ś *(kłania się.)*

A tak ci, jegomość;

Mamy przecie ze sobą niedzisiaj znajomość.

DOBROCKI.

No, no, to więc pan Sobuś! proszę mi darować;
Ale po co też było po kątach się chować.

S O B U Ś *(z uśmiechem.)*

A kiedy bo się bałem wystrzelić z kopyta;
Ze proszę o Joasię, i proszę.... i kwita.

DOBROCKI *(uśmiecha się.)*

Było zaraz powiedzieć; wszak nie ma w tem grzechu.

S O B U Ś (kłania się)

Ale bo co to będzie po wsi całej śmiechu?

DOBROCKI.

I z czegoż to, moj miły?

S O B U Ś.

A! jak się dowiedzą;
Że się żenię z Joasią, to mnie pewno zjedzą:
O! zjedzą mnie z radości.

DOBROCKI.

Ależ, moj kochanku,
Widzę, że, jak o pewnem, mówisz bez ustanku;
Wszakże jej jeszcze nie znasz, ani ona ciebie.

S O B U Ś.

Oho! przepraszam, myśmy poznali już siebie:
Szła z jakimś jegomością, ja przed domem byłem,
I rozgi memu Ojcu na dzieci robiłem.
Piękneć to, mówię sobie, to boskie stworzenie;
Biegnę, patrzę jej w oczy, robię przymilenie;
Ona w śmiech ze mnie, ażem zawstydził się
trocha;
Alem sobie pomyślił: oho! już mnie kocha.
Tylkoż ten, co szedł przy niej stary burczy-
mucha,

Zawsze tej nieboraczce szeptał coś do ucha;
 A tak się na mnie boczył, tak oczy wywalił,
 Jakby w lesie rozbijał, abo sto wsi spalił;
 I widać nawet było, że łajał niebogę;
 Ale na to nie zważał, precz mu lażłem
 w drogę;

I patrzyłem się jeszcze na tego aniołka,
 Ażem z wielkiej miłości przewrocił koziółka.

DOBROCKI (z uśmiechem.)

To więc taka znajomość zaszła między wami!

S O B U Ś.

Oj! tak, a ja'm jej ledwie nie pejadł oczami.
 A teraz niech pan do niej za mną się przy-
 czyni,
 I powie, że mi trzeba w domu gospodyni;
 Ześmy od pana Boga dla siebie stworzeni;
 A niech też pan swą głową doda co uczeniej;
 Naprzykład, że ja jestem rozkoszną osoba.

DOBROCKI.

Jak tylko będzie można, przemówię za tobą.
 Ale całą tę sprawę zostawmy czasowi;
 Niech się także Joasia dobrze zastanowi;
 A skoro się poznacie tym lepiej oboje,
 Możecie zyskać słowo, i krewnych, i moje.

S O B U Ś.

Czekać, albo nie czekać; a ktoż mi to każe?
 Bo ja kiedy się na co, widzi pan, odważę;
 To już wiem, co ja robię, jak pan wiesz, że
 żyjesz.

D O B R O C K I.

Prawdać to; ale głową muru nie przebijesz.
 Joasia jeszcze młoda, i bez doświadczenia;
 Czas dopiero kobiety w stateczne zamienia.

S O B U Ś.

A! co jej po rozumie, gdy ja go mieć będę;
 Juścić, gdyby dostała jakiego gawędę,
 Toby źle na tem wyszła, o źle, moj jegomość.
 Ja przecie, niechwaląc się, niejedną wiadomo-
 ść,
 Niejedną bo posiadam, znam ministranturę,
 I Bog wie co! mam strasznie chwytną na-
 turę;
 O! już my se oboje poradzim na świecie;
 A z takim, jak ja, mężem, czy to źle kobiecie?

D O B R O C K I (z uśmiechem.)

Bądź, jakbądź, na to jednak należy poczekać;
 Bo nierychło po czasie płakać, i narzekać.

S O B U Ś.

A może jegomości o majątek chodzi;
 O niech się nie frasuje oto pan dobodziej;

Boby dalibog zgłupiał, jakbym zaczął prawić:
Ale po co bajkami jegomości bawić?

Oto kiedy kto przyjdzie do nas, oczywiście,
Musi dobrze zadzwonić workiem organiście.

A (z przeproszeniem pana) memu Tatulkowi.
A na to co jegomość, chciałbym wiedzieć, powie,
Kiedy to zaczną znosić, i kurki, i gąski?

A co mowi maselko? co w zapust przekąski?

A gdy się rozstaniemy z żurem i z olejem,
To jaj, kielbas, i plackow od chłopkow nie-
przejem;

A co mówią obrywki z dziesięcin, od dzieci?
Wszystko to na Tatula, by grad jaki leci.

DOBROCKI (z uśmiechem.)

Kiedy tak, to do jutra odłożmy tę sprawę.

S O B U Ś.

Tylko byleby jutro nie poszło pod ławę.

DOBROCKI (z uśmiechem.)

Joasia ma krewnego, ten o niej stanowi;
Trzebać o siostrzenicę skłonić się stryjowi:
Wtenczas, jeśli małżeństwo do skutku podobne...

S O B U Ś.

(nagle przerywa, i pokazuje, jak się
będzie kłaniał.)

Już ja mu o Joasię ze sto razy skrobnę.

Ale bo, moj jegomość, ten dziewczak wart
tego;

Co to za ładna buzia, i nosek u niego!

Aj! trudno wypowiedzieć! a jakie ma oczy!

Jak błysnie na człowieka, to ledwie nie
zmroczy:

A gdzie tam! ledwie nie zje, moj jegomość,
niemi;

A jak idzie żwawiutko, aż dudni po ziemi:

A jakie zgrabne nożki, słowem, kieby gąska;

Dalipan, jakby ułał, to dla mnie przekąska!

Ale kiedy jegomość mówi o wujaszku,

To trzeba go poszukać, to nie ma baraśzku.

Taki, jak ja, chłopaczek, o więcej nie pyta;

(Śmieje się.)

Bo sobie zuch, i dobrze...

(Niezgrabny ukłon czyni.)

Kłania się, i... kwita.

(Odchodzi.)

ODDZIAŁ III.

DOBROCKI. LUDWINIA. MAŁGORZATA

(prowadzi za rękę Ludwinę, i Borutę.)

MAŁGORZATA.

A już też z tą Joasią i Boże skaranie!

Oto nowy konkurent.

(Pokazuje na Borutę, który do Ludwini stroi kopereczaki, całuje ją w rękę, i tym podobnie robi wiejskie miny.)

BORUTA. *(do Dobrockiego.)*

Najjaśniejszy panie!
Jeżeli mnie z Joasią ominie wesele;
To, jak mnie tu pan widzisz, w łeb sobie
wysrzelę!

MAŁGORZATA *(przestraszona.)*

Aj! co on wygaduje!

LUDWINIA *(do Boruty)*

Nie bojcie się tego:
Zwykle to są furyjki panicza młodego;
Ale zgoda! pomowmy, moj panie Boruto,
Czy wyprawisz wesele, i huczno. i suto?

BORUTA.

O! i jak jeszcze suto! wszyscy się zdumieją!
I jedzenie, i picie iść musi koleją:
Moj Tatulo na przepych z pompą się wysili;
Jegomość z Małgorzatą będą rej wodzili.
A i mnie też niczego, tociem przeszedł szkoły,
Jestem sobie nieglupi, jestem i wesoly.
Moj Tatulo, co prawda, zawsze mi to mowi:
Głupiś, synku! nie wierzę, oj nie! Tatulkowi;
On sobie tak żartuje, bo mu wolno przecie;
Ale państwo mnie wkrótce inaczej nazwiecie.

Prawda, zem uciekł ze szkoł: wszak wyznać
nie szkodzi?

Nie także w naszych czasach kierują się młodzi?

Z przeproszeniem, koledzy, mnie podobni
w kubek?

Naprzykład, ow ladaco, z naszej wsi Jakobek,

Chodził do szkoł, naprožno zabierając ławkę,

Aż wreście palnął sobie figla na zabawkę;

Jednak filut przewąchał, że z nim będzie
krucho,

Poradził się nog swoich, i drapnął na sucho.

Nie było go, nie było, bujał, świat poznawał,

Wrocil wkońcu do domu, mądrego udawał;

Prawił, lgał dziwne rzeczy, i nieraz tak było,

Że się nam aż od tego w głowach zamąciło!

A teraz wjakimś biurze burmistrzuje sobie,

I ani myśli o tem, co ja na wsi robię.

Raz go jakoś spotkałem; staje, wleeb się
skubię,

Wreście krzyknę z radości: jak się masz, Ja-
kobie!

Zdziwił się; nie znam, mówi, tego waryjata!

A ja: takąż to serca dobrego zapłata?

Wrzeszczałem; jemu jakby gębę kto zamazał;

Na dobitkę do kozy wpakować mnie kazał.

.
.
.
.
.
.

LUDWINIA.

To tedy waści zemną chce się niby żenić?
A nie mogibys z swej łaski tej myśli odmienić?

BORUTA.

Odmienić? co odmienić? co ona mi bredzi?
Alboż to moje serce na plecach wej siedzi?
Tylko mnie poznasz lepiej, Ludwiniu, ma
duszko,

To ci, dalibog, do mnie wyskoczy serduszko.

LUDWINIA (niby zamysłona.)

Otoż dwóch konkurentow, nie bez zalet oba.

BORUTA (z śmieszłą postawą.)

Który się też Joasi najwięcej podoba?
Czy synek bakałarza? czy syn wojta gminy?

DOBROCKI.

Ale ja, moj Boruto, mam różne przyczyny,
Ze wam obu nateraz Joasię odmowię.

LUDWINIA (z żywością.)

Oto, niechże tak będzie, ponieważ ponowie:
Oba tu rozwodzicie swe wielkie zasługi;
Czy godniejszy mej ręki, jeden albo drugi,

Los najlepiej okaże; kto pierwszy dobieży,
 Od miejsca, gdzie jesteśmy, tam, gdzie ka-
 mień leży,
 Ten już pewno Joasię za żonę dostanie.

D O B R U T A.

Dobrze! ślicznie! wybornie! przyjmuję wyzwanie.

O! już się ja nie boję mazgaja Sobusia;
 Bo mnie, kiedyś był chłopcem, chwaliła
 Matusia,

Ze, byłem tylko zechciał, i gracko się zwinął,
 A zjadł partykę chleba, tom i gęś wyminął.
 A teraz kłaniam państwu: dla siły nabrania,
 Muszę zmęczyć przynajmniej ze cztery śnia-
 dania.

(Kłania się najniezgrabniej, i odchodzi.)

ODDZIAŁ IV.

DOBROCKI. LUDWINIA. MAŁGORZATA.

DOBROCKI

(z uśmiechem, biorąc za rękę Joasię.)

Uśmiełem się do woli, Joasiu kochana:
 Bo jak się nie śmiać; jeszcze nie jesteś im
 znana,

A już dwóch zalotników o ciebie się kłania;
 Choć, wyznaję otwarcie, nie są do kochania.
 Ręczę, że jak posłyszysz i drugi i trzeci,
 To się do mej Joasi cała wioska zleci.
 Przecież nie trzeba mówić, że na te wybory,
 Choćby się zdarzył jaki, nie będę zaskory.
 Joasia tak mi wnuczkę przypomina drogą,
 Ze jej widokiem oczy napaść się nie mogą,

(Tu pan Dobrocki Ludwinę głaszcze po twarzy: a Małgorzata kręci się niespokojnie, i z niecierpliwością obraca u dołu swoje zapaskę.)

MAŁGORZATA *(do siebie)*

A jakże! juści widać na, co się zanosi;
 Wkrótce i sam jegomość o rączkę poprosi.

LUDWINIA

(zapominając się, z czułością całuje wrękę pana Dobrockiego.)

O najdroższy.... ach! daruj! daruj! dobry
 panie,
 Ze mi czasem na myśli dom rodzinny stanie:
 Nieboszczyka dziadunia wystawiałam sobie;
 Był właśnie w pańskim wieku: choć spoczy-
 wa w grobie,
 Droga mi pamięć jego, bo mnie kochał czule.

DOBROCKI (ściskając ją)

Niechaj cię, lube dziecko, do serca przytulę:
To druga moja wnuczka.

(Do Małgorzaty, śmiejąc się.)

A ty, stara Marto,

Nie myśl, (bo o tem nawet i myśleć nie
warto),

Zebym się miał pokochać: kręcisz mi się
trochy;

I stąd widzę, że jakieś napadły cię fochy.

A coż to? nie wiesz dotąd, że mam wnucz-
kę taką.

MAŁGORZATA. (z cicha)

Ale.... właśnie..... ot byle prawil ladajakø.
On się już do Joasi niepomalu bierze?

DOBROCKI.

A co tam bąkasz, stara?

MAŁGORZATA.

Chciałabym drzeć pierze:
Joasia mi potrzebna, niechby poszła ze mną.

DOBROCKI (nieco urażony)

Idź, i drzyj sobie sama; a mnie z nią przy-
jemno.

Tylko wprzody materac położ mi w ogrodzie,
 Tam ja sobie odpocznę, i podrzumię
 w chłodzie;

A Joasia gałązką niech muchy odgania.

(*Odchodzi.*)

(*Ludwinia zatrzymuje się, pogląda za Dobrockim z czułością, potym idzie za Małgorzatą.*)

MAŁGORZATA

(*po odejściu Dobrockiego.*)

Co tu jeszcze roboty! bielizna do prania,
 Cerowanie, zszywanie, znaczenie poszytej;
 A miałam poomiotać ściany i sufity;
 A kto dojrzy wieczerzy? Ha! coż począć
 z panem:

Śmiał się z tamtych, nareście on będzie
 wyśmianym.

Koniec Części III.



Część Czwarta.

(Altana, w niej sofa z poduszką. Pan Dobrocki siedzi w szlafroku sycowym, w szlafmocy; Ludwinia przy nim z robotką; na małym stoliku leży gałązka lipiny. Małgorzata, i Filip w głębi widowni, niepostrzeżeni, rozmawiają ciągle ze sobą, przyczym jedno drugie czasami wstrzymuje; Małgorzata Filipa za rękę, Filip Małgorzatę za spodnicę.)

ODDZIAŁ I.

DOBROCKI. LUDWINIA. MAŁGORZATA. FILIP.

DOBROCKI.

Otoż wolne powietrze! jak tu wszystko miłem!
W chłodzie, moje kochanie, na nowo odżyłem.
Umiesz ładne piosneczki, zaśpiewaj, kochanie:
Głos twój zawsze mnie wprawia w łagodne
dumanie.

LUDWINIA

Jakże pan każe śpiewać? smutno, czy wesolo?

DOBROCKI.

Smutek niech mija zdala jasne twoje czoło.

Śpiewaj co wesołego, ja będę spoczywał.

(Kładzie się na sofie.)

Pamiętam, że mi kiedyś czas mile upływał.

LUDWINIA *(śpiewa.)*

O radosny wieku młody!
 Wieku tańców i swobody,
 Dla ciebie kwitnie pociecha,
 Tobie się wszystko uśmiecha.

* * *

Obrazie milej natury,
 Godło czystego strumienia,
 Na twem czole nie ma chmury,
 W sercu żadnego strapienia.

* * *

Przebywaj tak życia drogi,
 A dojdiesz do cnoty celu,
 Tam, gdzie pokoj mieszka błogi,
 Przy swobodzie, i weselu.

(Mowi.)

Już spokojnie usypia, teraz, czucie moje,
 Rozplyń się, rozplyń, w tkliwości zdroje.
 Oto najlepszy dziadunio spoczywa:
 Ja go pilnuję! jak jestem szczęśliwa!

Czemuż zatrzymać nie mogę tchu w sobie?
 Budzi się jeszcze: ach! co ja zrobię?
 Jeszcze mi piosnkę zaśpiewać potrzeba;
 A wy, duchy szczęśliwe! sprowadźcie sen
 z Nieba!

(Ś p i e w a.)

Pastereczka jedna, sieroteczka biedna,
 Nie miała nikogo, coby nad niebogą,
 Miał politowanie, w jej sierocym stanie.

* * *

Za kawałek chleba, trzodki pilnowała,
 I tylko do Nieba, skargi posyłała:

* * *

„Matkę pogrzebiono; a jam opuszczoną,
 „Bez krewnych, bez domu, nieznana nikomu.

* * *

„Poki Matka żyła, zawszem u niej była;
 „Gdy umarła Matka, zniknęła i chatka.

* * *

„Trzodkę mi zabrano, z chatki mnie wygnano;
 „Po duiach całych płaczę, na życie tułacze.

* * *

„Jak sierotka żyję: i któż mnie okryje?
 „Kto w biedzie przytuli, ludzie tak nie czuli;

Słyszały ją dzieci, jak tam wyrzekała;
Przyszły na dzień trzeci, już martwa leżała.

• • •

I wzięły jej ciało, i doł wykopały,
Żebractwo płakało, dzieci ją chowały.

• • •

I wszystkie na grobie, paciorek zmowily,
I zeszyły w żałobie, z sieroty mogily.

*(Ludwinia wstaje na palcach, i przysuwa się
do pana Dobrockiego)*

Dzięki Niebu! już zasnął: o miłe wietrzyki!
Unoście ten włos śnieżny, unoście łagodnie:
Niech moj luby dziadunio spoczywa swo-
bodnie.

F I L I P *(z cicha.)*

Czy słyszysz, Małgorzato? Zdjęłażeś trzewiki?
Bo hałasu narobisz.

M A Ł G O R Z A T A *(z cicha, śmiejąc się).*

O trzewiki mniejsza:
Lecz ta skromna Joasia coraz, to zwinniejsza,
Ej! nie bito mnie w ciemie.

F I L I P *(zawsze cicho.)*

Co wy rozumiecie?
Ze się on w niej zakochał! a wszakci to,
dziecię!

MAŁGORZATA.

Ale, ale.... tak.... dziecię..... dziecię do
kochania.

F I L I P.

Ej! nie baj, Małgorzato, porzuć te gderania.
Zglupiejesz, jak ci powiem; aleś ty kobita...
Otożbyś rozgadała: nie powiem, i kwita.

(Odchodzi: Małgorzata trzyma go za rękę.)

MAŁGORZATA.

O! poczekajno, ptaszku, właśnie, żem kobita,
Nie wykręcisz się łatwo, nietak z nami kwita.

(Odchodzi z Filipem.)

L U D W I N I A.

O Boże! jaka chwila! czemżo ją oplacę?
Niech nazawsze i rod moj, i to imie stracę,
Bylebym tak dziaduniu przy tobie została;
Służyć ci, bawić ciebie, moja rozkosz cała!
Jakież teraz uczucie w mem sercu powstaje!
Zbliżę się..... tak, zbliżę się..... krew mi
prawo daje....

Dam mu pocałowanie;.... a gdy go przebudzę;
Powiem: daruj! dziaduniu, wnuczce.... twojej
śludze.

(Z najżywszem uczuciem tkliwości całuje pana Dobrockiego trzy razy w czoło. Pan Dobrocki budzi się nagle, i czoło ręką ogarnia, jakby muchę zganiał; Ludwinia siada na swoim miejscu pomieszana.)

DOBROCKI.

A! to mucha nielada: jakby ją przylepił.
Alem się wyśmienicie zdrzymnieniem po-
krzepił.
Joasiu! gdzie ty jesteś? o kochane dzicie!

(Wstaje, i głaszcze ją pod brodę.)

Ty! przy mnie! Bog ci za to nagrodzi so-
wicie.

Miałem sen do zdziwienia; tak mi się zdawało,
Jakbym widział przy sobie moją wnuczkę
małą.

Ona, jak ty, Joasiu, przy dziaduniu była:
Wtedy Niebo sen błogi łaskawie mi zsyła;
Zasypiam, a Ludwinia z miejsca swego wstanie,
I potrzykroć mi tkliwe daje całowanie.

Ach! Joasiu, snu tego najmiłsze obrazy,
Chciałbym, żeby mię eodzień bawiły sto razy.
Coż ty na to, Joasiu?

LUDWINIA.

Tak... ja... nie... ach!... panie!...

Tak... przyznam się... dziaduniu!... to po-
całowanie

Było moje... *(Pomieszana odchodzi.)*

DOBROCKI.

Stoj, dziewczę, stoj! nic to nie szkodzi.

(*Idzie za nią kilka kroków.*)

I czemuż pomieszana tak nagle odchodzi?
Przecież mię pocałować nie jest żadnym
grzechem.

ODDZIAŁ II.

DOBROCKI. MAŁGARZATA.

MAŁGORZATA (*dowcipnie.*)

Rzecz dziwna! czyś jegomość rozmawiał tu
z cchem?

DOBROCKI (*niezważając.*)

Coż ona sobie myśli? mnie, mnie, pocałować?
I coż w tem złego, proszę?

MAŁGORZATA.

Aha, czekajno wać!

Już się do pana bierze! fora, fora, z domu!
Proszę komu do głowy przyjśćby mogło? komu?
Niby to skromne, a tak, skromność niesłychana,
Umizgać się dziewczynie, a jeszcze do pana.
O! doniosę, doniosę, zaraz, jej krewnemu,
Niech zabierze gagatka, przytym powiem jemu,
Niech się cieszy: tak, powiem, o! bo odpuść
panie!...

Ale o zakład, wszakże tylko całowanie:

A juści, tak pan powie, a tak, i tam dalej;
A któż nie wie, że w starym piecu djabol
pali.

DOBROCKI *(jakby obudzony.)*

Czego ta sekutnica brzęczy mi, jak mucha?

MAŁGORZATA.

O! niechno się pan tylko nieco udobrucha.
Czy tu była Joasia? pytam z przeproszeniem,
Bo stąd niby uciekła, z wielkiem zadyszeniem,

DOBROCKI.

A tobie co do tego, burczymucho stara?

MAŁGORZATA.

O! ja wiem, że od tego, mnie, jak słudze, wara.

DOBROCKI.

Otoż, idź po Joasię, zaraz, idź mi po nią,
Pokim dobry!

MAŁGORZATA *(zcicha.)*

Coż robić? jeszcze się jej skłonię;
Boć to i panią moją będzie niezadługo;
A ja.... tak, ja..... do śmierci..... sługą,
tylko sługą;
Dziwić się tu młodemu, że w głowie zaświta;
Toć i starzy szaleją. *(Odchodzi.)*

DOBROCKI,

(*po odejściu Małgorzaty.*)

Dobra z niej kobita;
Ale gdera i gdera, aż głowa zaboli;
A koniecznie się musi wygadać do woli,
Boby zachorowała; i chociaż ją łaje,
Ja swoje, ona swoje, jak baje, tak baje.

ODDZIAŁ III.

DOBROCKI. LUDWINIA.

LUDWINIA (*z nieśmiałością*)

Przyszłam na rozkaz pański.

DOBROCKI.

Zbliż się, moje dziecię,
Boisz się, ja ci krzywdy nie uczynię przecie.
Zbliż się, i bądź mi śmielszą.

(*Ludwinia zbliża się.*)

LUDWINIA.

Ja przepraszam... pana,
Przepraszam tysiąc razy.

DOBROCKI.

Joasiu kochana,

Nie masz za co przeproszać, nie złego nie było;
 Żeś mnie pocałowała, to mi bardzo miło.
 W tym wieku moja wnuczka, tyś ją zastąpiła.

(Z uczuciem.)

O! gdyby przy dziaduniu, gdyby teraz była!
 A wkońcu widzisz przecie, nie jestem
 młokosem;
 Takim tylko całuski sprząta się przed nosem.

LUDWINIA.

Zapomniałam się... panie... dziadule moj
 drogi
 W tych latach, co pan jesteś.

DOBROCKI.

Nie miej, dziecię, trwogi:
 Ale po co tu znowu nasza stara idzie?
 A! jak się masz Cnotliwski?

ODDZIAŁ IV.

DOBROCKI LUDWINIA. CNOTLIWSKI. MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA *(z udanym smutkiem.)*

Otożeśmy w bidzie;
 Chcę nam zabrać Joasię, a tu pracy tyle!
 I panu z nią tak błogo upływały chwile:

D O B R O C K I.

Baj, stara, bo ci widno. (*Do Cnotliwskiego.*)

! coż nam przynosi
Nasz kochany Cnotliwski?

MAŁGORZATA (*z przyciskiem.*)

O Joalkę prosi.

CNOTLIWSKI (*z ukłonem.*)

Tak, panie, pan daruje na siostry wesele.

D O B R O C K I.

Ach! jakże się, moj drogi, z mą wnuczką roz-
dziele.

CNOTLIWSKI (*pomieszany.*)

Wnuczką? .. (*Miarkuje się.*) Lecz nie nadłu-
go, tylko na dni parę;

Niech pan dobrodziej dla niej zrobi tę ofiarę.

D O B R O C K I.

Odstąpisz mię, Joasiu?

LUDWINIA (*ze smutkiem.*)

Ta jest wola krewnych;
Lecz darujcie, nie mogę zatrzymać łez rze-
wnych!

MAŁGORZATA.

Oho! ktożby nie wiedział, czego ona płacze?

DOBROCKI (zaskłania oczy.)

Idź, Joasiu: a niech cię za dwa dni zobaczę;
Tyś mi się teraz wnuczką, ty stała Ludwinią!

CNOTLIWSKI.

O panie! dobre Nieba niechaj ci przyczynią
I lat, i zdrowia.

MAŁGORZATA.

Ter, ter, i gadu, i gadu;
A ja nie gotowego nie mam do obiadu!

(Odkazując się nieznacznie Ludwini.)

O! dałam ja waszeci! przystawilam stolka;
Już mi więcej nie będziesz udawać aniołka:
Wdomu bura sowita czeka jejmościankę.
Oj! będziesz mi tam miała weselną hulankę.

CNOTLIWSKI.

Joasiu, czas nam w drogę, jeszcześ niegotowa.

DOBROCKI. (ze łzami.)

Bywaj zdrowa, Joasiu: tak... bywaj mi
zdrowa.

Ucałuj rękę moję, ucałuj ze łzami.

(Ludwinia wzruszona, całuje rękę dziadunia, który ściska ją z uczuciem za głowę.)

Wszak prawda... nie nazawsze rozstajesz się z nami?

LUDWINIA.

Proszę Boga, ażebym najprędzej wrocila.

MAŁGORZATA

(zcicha do Cnotliwskiego.)

O! żyć bez niej nie może: patrzcie, jak mi miła:

Oto bierzcie ją zaraz, bo jak się rozbeczy,
To my tu dziwne jeszcze zobaczymy rzeczy.

(Bierze Cnotliwskiego za rękę, a ten Ludwinę, i tak wychodzą w milczeniu. Widać, że Ludwinia chciałaby ucałować rękę dziadunia, a dziadunio pragnąłby iść za nią.)

ODDZIAŁ V.

DOBROCKI.

Opuszcza mnie; ... a przecież niedługo powroci...
I kogożby nie ujął ten anioł dobroci?
Jakieś do niej niezwykle czuję przywiązanie...
A jeżeli się na zawsze u krewnych zostanie,

W miejscu siostry zamężnej? — Nie, tak się
nie godzi;

Nie, Joasiu, i serce pewno mnie nie zwodzi;
Powroczisz, kochaneczko, powroczisz mnie bawić;
Bog ci za to we wszystkim będzie błogosławić.
Otoż widząc, jak do niej przemawiam z za-
palem;

Mogłby kto myśleć płocho, że się zakochałem.
A gdzie tam? co zaś znowu? a gdzie podo-
bicństwo?

Byłoby to zabawne, dalipan, małżeństwo.

A jak stara Małgosia stroi mi korwety?

Mowiąc prawdę, Joasia ma swoje zalety;

Byłoby to na żonę dobrą kobiectiną,

Byłoby mej starości pociechą jedyną;

Ale wiek? stoj! mospanie, już tak nie uchodzi;

Takimi cukierkami niech się pieszczą
młodzi.

ODDZIAŁ VI.

DOBROCKI. MAŁGORZATA.

DOBROCKI.

Już powraca Małgosia, poczekajno, wasze;
Jeszcze się nie skończyło, teraz cię nastraszę,
I ucieszę się z ciebie. (*Siada, wzdycha, udaje
zakochanego, i zamysłonego.*)

MAŁGORZATA (z cicha.)

Co się panu stało?

DOBROCKI

(z niecierpliwością wstaje.)

Czy już poszła Joasia?

MAŁGORZATA.

Tylko się wyrwało;
Leci, jakby ją gonił.

DOBROCKI

Co ty prawisz, stara?

MAŁGORZATA (trochę z gniewem.)

Pan wie, że prawdę mówię.

DOBROCKI.

Jużci tobie wiaraj
A czyś sama widziała?

MAŁGORZATA (do siebie.)

Skrypuły przełamie;
Tak, muszę się odważyć, choć raz w życiu
skłamię.

(Głośno.)

Widziałam.... na me oczy. (Do siebie.) Toż
panu dam ducha.

A jak się dopytuje, jak ciekawie słucha!
Ani chybi, kocha ją, o! kocha ją stary.

DOBROCKI.

Malgosiu, twoim słowom bo ciężko dasz wiary.

MAŁGORZATA.

Wierz pan, alboli nie wierz, ja w to zawsze biję,
Ze wilk ciągnie do lasa: i dałabym szyję,
Ze Joasia nie wroci: (Do siebie.)

Bom jej dokuczyła,
I przed krewnym za swoje stolka przystawiła.

(Głośno.)

A gdzie zaś? ani myśleć: toć to udawało;
Ale temu do chłopcow tylko serce drgało.

DOBROCKI.

Co mówisz? kłamiesz, stara!

MAŁGORZATA.

Niechże i tak będzie;
A ja co panu mówię, wyznałabym wszędzie;
Że się kocha na zabój, że roj chłopcow za nią,
I za to ją dziewczęta niepomału ganią.

A teć wej odwidziny, niby to bez ale?
O! mow pan, co się zdaje, ja tego nie chwalcę.

DOBROCKI (do siebie.)

Biegła, jakby ją gonit? niewdzięczna! Lecz
jeszcze

Joasi w liczbie płochych zawczasu nie mieszczę.
Komuż miejsce rodzinne, komu dom niemity,
Ktorego ściany świadkiem naszej wiosny
były?

Gdzie nam wszystko najmiłsze odnawia
spomnienia,

I na pamięć przywodzi lat młodych marzenia?
Te sny w błogie ustronia mile nas przenoszą,
I są naszego serca niezbędną rozkoszą.

(Głośno.)

Nie mam za złe Joasi, że biegła z pośpiechem;
Alboż tęchnić do domu było kiedy grze-
chem?

Ale ona powroci, o to się nie boję,
I wkrótce, tak, za dwa dni mam Joasię moją.

MAŁGORZATA.

Aż i słuchać niemity, zawsze jedno wkóło.

DOBROCKI,

Coż to! krzywisz się, widzę? bądźże mi wesołą.

MAŁGORZATA (z dąsem.)

To kiedyć ta Joasia tak panu jest miła,
Niechżeby, skoro przyjdzie, i mnie zastąpiła.

DOBROCKI.

Otoż cię zlącać muszę, ty, stara, nie szalej;
Służyłaś przez lat tyle, służ u mnie i dalej.
Jam ci przyjął Joasię tylko do podręki,
Mysząc, że za tę ulgę złożysz panu dzięki.
Lecz, kiedy tak, żeby ci dowieść, stara Marto,
Iż ci jestem przychylny, boś tego jest warta;

(Małgorzata uśmiecha się, i okazuje radość.)

I przyjemnej rozrywki nawet się pozbawiam,
I dla ciebie jedynie Joasię odprawiam.

(Ściska ją za głowę, ze łzami.)

Zestarzałeś się u mnie, a na stare lata;
Miałażby cię ode mnie spotkać ta zapłata?
Przeżyliśmy lat tyle w rozmaitej doli;
Żyjmy jeszcze ze sobą, poki Bog dozwoli.
Al jabyś zaś to scierpiał! takżeś mię poznała?
Żebyś mi się na starość, gdzieś, Bog wie, tułała,

MAŁGORZATA (rozrzewniona.)

Daruj mi, dobry panie, żem była zazdrosną.

DOBROCKI (z uśmiechem.)

A może ci pazurki niedługo odrosną?

Ej, babo, przyznaj mi się! No, proszę?
mnie? komu?

Mnie posądzać? a jeszcze w moim własnym
domu?

Ja do kochania? co? ja? nie śmiać się tu, proszę?

MAŁGORZATA.

Pan wie, jak to zazdrosne te stare kokosze.

DOBROCKI.

Stare kokosze! ha, ha, prawdęś powiedziała;
Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, prawdęś po-
wiedziała.

MAŁGORZATA (śmieje się.)

Wartam tego, ha, ha, ha, będę się też śmiała.

DOBROCKI.

Bo skąd tobie ta zazdrość? ha, ha, ha, skąd,
proszę?

MAŁGORZATA (śmieje się.)

Oj! prawda ha, ha.

DOBROCKI.

Alc te stare kokoszel!
Ha, ha, ha, zazdrość! zazdrość! proszę uniżenie!

(Ociera chustka oczy.)

Dosyć tego, bohym się śmiał dziś nieskoń-
czenie.

MAŁGORZATA.

Otoż niech pan zapomni.

DOBROCKI *(uśmiecha się.)*

Przy zgodzie waruję,
Żeby znowu nie było....

MAŁGORZATA

A ja obiecuję,

I dotrzymam.

DOBROCKI.

To zgoda, tak, na wieki zgoda.
A teraz niech Małgosia kapelusz mi poda;
Laskę także. *(Małgosia podaje: pan Do-
brocki mowi dalej z uśmiechem.)*

Co robić? umizgać się idę.

MAŁGORZATA *(zafrasowana.)*

Dobrze mi tak: ja sobie splatałam te bidę.

DOBROCKI *(niby utyka.)*

Podeprzyj mię, Małgosiu. *(Niby kaszle.)*

Oj starość, nie radość. *(Śmiejąc się.)*

Pojdź ze mną do Joasi.

MAŁGORZATA

(bierze go pod rękę.)

Ej! panie, już załość...

DOBROCKI.

Otoż tak nam najlepiej; chociaż i tyś słabą,
Podeprzyj, jak bywało, podeprzyj mnie, babo.

MAŁGORZATA.

Już choćby tu Joasia wrocila sto razy....

Choć to bo ładne dziecko.... bez pańskiej
urazy....

To niech wraca...

DOBROCKI *(uśmiecha się.)*

Małgosia już na to pozwoli?

To niech wraca, będziemy śmiać się z nią do
woli.

MAŁGORZATA *(uśmiecha się.)*

I skakać?

DOBROCKI *(uśmiecha się.)*

Co? i skakać?

MAŁGORZATA.

Dla pana to zrobię,
Podskoczę z nią.

DOBRÓCKI *(śmieje się.)*

Ja z wami także skoczę sobie.
Ha, ha, ha, to mi walnie, ale i tam dalej;
Bobyśmy się z radości pono i zaśmiali.

*(Zwolna odchodzą: Małgorzata za rękę pro-
wadzi pana Dobrockiego.)*

ODDZIAŁ VII.

*(Rzecz dzieje się w pałacu Bojostawa, w poko-
ju do ubierania kobiet.)*

LUDWINIA. CNOTLIWSKI.

CNOTLIWSKI.

Otoż w miejscu jesteśmy: niechże pani spocznie.
Za godzinę bal będzie, i to nieodwłocznie;
Trzeba się pani przebrać; już wraca wesele.
Ale co tego, tego podobno za wiele;
Iść do ślubu bez siostry, bez tak dobrej siostry?
To złe serce.

LUDWINIA.

Cnotliwsiu, twój wyrok za ostry;
Nasza wina.... spóźnienie...

CNOTLIWSKI.

Oho! znam się na tem:
 Umyślnie tak zrobiono: gdybym tak żył
 z bratem;
 Tobym... niech i tak będzie... już zapomnieć
 wolę.
 A może panna siostra w tańczących kole,
 Ani myśli, że tutaj...

LUDWINIA.

Łamiesz przyrzeczenie,

CNOTLIWSKI *(ukrywając gniew.)*

Tak, tak, już nie nie powiem, o! doprawdy,
 że nie.
 Ale wydawać jedną, zapomnieć o drugiej:
 Dalibog, (choć to mało należy do służi),
 To niepięknie, niepięknie. Oj! komu się godzi,
 Gdyby mi wolno było!... bo tak nie uchodzi!
 Ale już nie nie powiem, nie, jakem poczciwy.
 O czasy! o zwyczaje! o świecie złośliwy!
 A jeszcze po to przybyć, by siostrę ubierać;
 A na co! jużci na bal; nie będę się spierać,
 Nie, nie; i wyznam szczerze, ja, niby gaduła;
 Że i siostra, i Matka dla panny nieczuła.
 Otoż i Leontyna, a ja do roboty....
 O święta cierpliwości! nadludzkie przymioty!

(Odchodzi.)

ODDZIAŁ VIII.

ALDONA. LEONTYNA. LUDWINIA. LIZALSKI.

(*Aldona i Leontyna w ślubnych ubiorach; Leontyna z przysadami chodzi i mowi. Za niemi postępują dwie panny, z rzeczami potrzebnemi do przebrania na bal, z których jedna trzyma suknię najmodniejszą; stają przed stołem, gdzie duże zwierciadło. Lizalski trzyma na ręku szalę, a za uszami piora strusie, i staje zawsze tuż za Aldoną.*)

A L D O N A

(*do panien, które niosą różne pudelka, w szafian czerwony oprawne.*)

Tu stawiajcie! (Do Ludwini.)

Jak się masz, jak się masz, kochanko!

(*Ludwinia z nieśmiałością całuje rękę Matki, Aldona całuje ją w głowę.*)

A L D O N A (do Leontyny.)

Leoni! siostra!

L E O N T Y N A,

(*jakby przebudzona, zimno.*)

Witaj, witaj.

LIZALSKI.

Wody szklanką

Pragnąłbym się ochłodzić. *(Patetycznie.)*

To pochodni mnostwo,

Ten natłok widzów, gości, skwierczące ubo-
stwo,

Ci zaproszeni, owi częstowani hojnie,

A wszystko tak bogato, wszystko tak przy-
stojnie,

Huk złota rozrzucony, huk światła w kościele,

Przytym upał nieznośny: krolewskie wesele!

Ach! takem zmordowany. *(Ociera pot z czoła.)*

ALDONA

(nawiasem obrocona do Lizalskiego.)

Po co ta satyga?

Proszę. *(Pokazuje na krzesło.)*LIZALSKI *(z niskim ukłonem.)*Ach! na myśl samę serce mi się wzdryga.
Sługa najniższy.

ALDONA

*(niezważając, do Leontyny.)*Lubciu! siadaj, czas upływa.
Już kompania na ciebie czeka niecierpliwa.

L I Z A L S K I.

A! tak, kompania czeka, na ozdobę swoją:
Mamy już konstellacyj niezliczone roje,
Brakło jednej; przybyła, i świetnie zabłysła:

(Do Aldony.)

Pani! tego wymaga etykieta ścisła;
Bez nowo zaślubionej bał się nie rozpocznie.

L E O N T Y N A.

Skądżeś acan wydobył tak jasne wyrocznie?
Może z gazety jakiej?

L I Z A L S K I.

Pani wolne żarty:
Przyznaję, kolonelko, nie jestem uparty.

(Leontyna siada: Lizalski nadskakuje niezgrabnie, i podaje, czego nie trzeba, aż się panny śmieją, i gniewają na niego. Ludwinia staje obok swojej siostry, po lewej stronie.)

A L D O N A (do Leontyny.)

Czekam cię, lubciu.

L E O N T Y N A (kłania się Matce.)

Ubior balowy mozoli;
Będę się jednak śpieszyć; a Mama pozwoli...

A L D O N A.

Rozumiem: wystąp tylko, jak na cię przystoi.
 Masz perły dyjamenty; a Ludwinia stroi:
 Znam jej gust; będzie ślicznie, całe gości grono
 Przyjmie cię z uwielbieniem, z hołdem, piękna
 żono.

(Odchodzi.)

L I Z A L S K I.

Zdaj, pani, na przyjaciół; nasz w tem kłopot
 będzie.

L E O N T Y N A.

Że też acan swój koncept wtrącić musisz
 wszędzie?

L I Z A L S K I.

Napisałem poema, i drukiem ogłoszę;
 Pani! ty je proteguj.—

L E O N T Y N A.

Piora!

L I Z A L S K I.

Żądasz?

L E O N T Y N A (z niecierpliwością.)

Proszę!

LIZALSKI.

Więc przyrzekasz?

LEONTYNA.

Lecz piora!

LIZALSKI (kręci się)

Piora! kałamarza!

Co za szczęście, (ach! dajcież), dla mnie się
wydarza. (Leontynie do ucha.)

Sto czątych! bagatela! Dajcież tego piora!
To niezmiernie podeprze biednego autora.

LEONTYNA.

Jeżeli sklep perukarski założysz, mosanie;
To ci dam sto dukatow.

LIZALSKI.

Fatalne wezwanie!

Namyśle się...

LEONTYNA.

Więc piora!

LIZALSKI.

Jest, jest, strusie pioro!

LEONTYNA.

Tak najlepiej.

LIZALSKI.

A o tem?

LEONTYNA.

Inną, inną porą.

(Obracając się do Ludwini.)

Ludwiniu, pan Lizalski to gwiazda oświaty!

(Do panien.)

Dla takiego zastępcy nie macie zapłaty.

(Z uśmiechem do Lizalskiego.)

Brakło mu do kompletu jednego naczynia...

LIZALSKI

(kłania się nisko Leontynie, potem, jakby miarkując się, robi mniejszy ukłon Ludwini, i mowi.)

A! nie zważałem, witam! witam! wszak Ludwinią!

Proszę darować.

LUDWINIA *(z godnością)*

Dzięki za łaskę pamięci.

LEONTYNA. *(do Ludwini.)*

Dla tych, gdzie je i pije, zawsze dobrej chęci.

Prawda, że wielkich panów jestem przyja-
cielem:

My niżsi, my im zawsze drogę sławy ścielem;
Od nas to spływa na nich pożytek niemały;
Bo ktoż lepiej, kto chętniej głosi ich pochwały?
A więc, że czasem, kiedyś, obiadkiem zapłacą,
Bardzo wiele zyskują, bagatelę tracą.

Procz tego, jak w procencie, za to, co im
zjemy,

Biorą często na fundusz; a przyjaciel niemy,
Lekkim tylko uśmiechem, i niskim ukłonem,
Odpowiada na żarcik, niechcąc być gawronem.

.
.
.
.

Wszakże to, kolonelko, wielkich panów dwory
Żywiły drobną ślachtę, dając im honory;
Tak i ja, kolonelko, wam postąpić życzę,
A pokażą się z tego obfite zdobycze.
Bo czy, proszę, ten obiad tak wiele kosztuje?
Ale grono przyjaciół wiernie nadskakuje,
Zważa twoje skinienia, i nadstawia ucha,
Broni twojej godności, mow o tobie słucha,
Daje zwrot jaknajlepszy ludzkiemu głosowi,
I, gdy potrzeba, nawet z odwagą przemowi.

LEONTYNA

(mowi do Ludwini, kończąc ubieranie.)

Mowił do przekonania, przyjacioł nam trzeba.

LIZALSKI.

Lecz, kolonelko, ciężki to kawałek chleba:
 Wierz mi, gdyby nie sprawa na głowę
 przegrana,
 I mnicby dziś pieściła fortuna kochana.

LEONTYNA *(z uśmiechem.)*

Żałuję cię, Lizalsiu: i by tej macochy,
 Tej, jak mowisz, fortuny nie bodły cię fochy,
 Możesz czasem obiadek zachwycić i u mnie.

LIZALSKI.

Milo słuchać, jak pani przemawiasz rozumnie.

LEONTYNA.

Szczegolniej o obiadku.

LIZALSKI.

Ach! szacownie wielce;
 Tylkoż nie o tem.

(Z uśmiechem.)

Wolne żarty, kolonelce.

Coż robić? tak bywało od początku światow;
 Że my bawić musimy was smutnych magnatow;
 Lecz niech lekko nie myśli, zacna kolonelka;
 Bo i mojego rodu parentela wielka.

.

(Namyśla się.)

Wszystkom pamiętał, ale wypadło mi z głowy,
 Przez ten ow nieszczęśliwy proces majątkowy.
 Miałbym jeszcze poparcie wysokiego rodu...

(Szuka po kieszeniach.)

LEONTYNA.

Schowajmy na czas inny dalszy ciąg wywodu;
 Który mu w tym momencie niebardzo do
 twarzy.

(Na boku.)

Bo nawet nie wyłącza z liczby prostych łgarzy:

(Wstaje, i mowi do Ludwini.)

Dziękuję ci za pomoc w mojej toalecie.

LIZALSKI *(nadskakując)*

Na honor! pani jesteś bostwem na tym świecie!

LEONTYNA (do panien.)

Idźcie za mną. (Odchodzi.)

ODDZIAŁ IX.

LUDWINIA. LIZAŁSKI.

LIZAŁSKI (za odchodzącą.)

Ta duma niebardzo przystoi,
Zgorszyli się nią obcy, oburzają swoi.
A coż? ta Leontynka jakże się wydaje?

LUDWINIA.

Ja w niej przychylną siostrę, jak dawniej, po-
znaję.

LIZAŁSKI.

Przychylną? któż nie widział? jak się to
pyęzniło!
A na tę jej przesadę aż patrzeć niemiło.
Wielka, proszę, grandesa, podpułkownikowa!

LUDWINIA.

O mej siostrze, moj panie, zbyt śmiała ta
mowa.

LIZALSKI.

A jakże się to z panią obchodzą Rodzice?
 Wie świat: o! już daremne wszelkie tajemnice,
 Powiedział mi Filipek; że tam, w Mokotowie,
 (Proszę darować, jeżeli prosto się wystowię,)
 Widział Ludwinię w służbie: o podłe zamiary!
 Ale tym jego słowom nie mogę dać wiary.

LUDWINIA (do siebie.)

Zawsze podobny sobie,

(Do Lizalskiego.)

Filipek się myli.

LIZALSKI.

Coż to? czyby mnie na bal jeszcze nie prosili?
 Oto pojdę z Ludwinią.

LUDWINIA.

Nie jestem ubrana.

LIZALSKI.

Mniejsza, choć mnie tu razem z Ludwinią
 zastaną:

Spoźnię się, prawda, na bal.

LUDWINIA.

Nie wstrzymuję wcale.

L I Z A Ł S K I.

Nie ruszę się: a tego bynajmniej nie chwale,
 Że pani innych sukien... to ich sławę plami!

L U D W I N I A.

Ja się zgadzam w tym względzie z memi
 Rodzicami.

O D D Z I A Ł X.

L U D W I N I A. L I Z A Ł S K I. B O J O S Z A W.

B O J O S Z A W (szczerze.)

Ach! jak się masz, Ludwiniu?

(Całuje Ludwinię w głowę.)

L I Z A Ł S K I.

Zdrowa, panie, zdrowa.

B O J O S Z A W.

Niechże się nam Ludwinia przed światem
 nie chowa:

Ależ suknie!... i czemuż innych nie dobyto?

(Zgniewem.)

To sług wina;.. odbiorą nagrodę sowitą.

(Do odchodzącej Ludwini.)

Przebierz się, moje dziecię, i połącz z gośćcami.

(Do Lizalskiego.)

My, Lizalsiu, na chwilę zostaniemy sami.

ODDZIAŁ XI.

BOJOŚŁAW. LIZALSKI.

LIZALSKI.

Ważne sprawy zapewne...

BOJOŚŁAW.

Czas krótki, więc krótko.

Mówiłeś, że Ludwinia.....

LIZALSKI.

Jest wielką filutką:

Mój Filip w Mokotowie widział ją.

BOJOŚŁAW.

Falsz czysty.

LIZALSKI.

Wszak tam Dobrocki mieszka?

BOJOSŁAW *(śmieje się.)*

Dowód oczywisty!

Alboż do niej podobnej w całym świecie niema?
Acan może masz inne pewniejsze systema?

LIZALSKI.

Ha! mogło Filipowi przewrócić się w głowie.

BOJOSŁAW *(powątpiewając.)*

Rzecz dziwna! skąd Lndwinia była w Moko-
towie?

Przecież ona gdzieindziej?.....

LIZALSKI.

A pewność?

(Bojosław z gniewem, do siebie.)

To wiele!

(Głośno.)

Jeżeli fałsz, Cnotliwskiego na miejscu zastrzełę.

LIZALSKI *(z bojaźnią.)*

Ach! panie Bojosławie, dalibog! że skłamał.

BOJOSŁAW *(niecierpliwie.)*

Więcś acan na próżno głowę sobie łamał?

L I Z A L S K I.

Falsz, panie Bojostawie, Filip się prześlepił.

(Do siebie.)

Uf! możeby jegomość i mnie co przylepił.

Kule i w bok latają, ktoż kuli dowierza?

Mogłby miast Cnotliwskiego mnie zwalić, jak
zwierza. (Głośno.)

Coż panie Bojostawie, wszak tam tańczą żwawo?

A beze mnie zabawa, możeż być zabawą?

BOJOSZAW (z gniewem.)

Drzwi na salę otwarte, proszę, bardzo proszę.

L I Z A L S K I (do siebie.)

Sługa!.... tego mi trzeba, zaraz się wynoszę.

(Głośno.)

Jedno zawsze powtarzam axyjoma moje;

Ludwinia, pan Dobrocki niepotem oboje.

(Kłania się nisko, spiesznie wychodzi, i drzwi
otwarte zostawia.)

BOJOSZAW.

Głupiec nad wszystkich głupcow.

(Spostrzegając Cnotliwskiego.)

Ha! tyś mi potrzebny:

Podźno, ptaszku, do intryg, lisie przewielebny!

ODDZIAŁ XII.

BOJOSZAW. CNOTLIWSKI.

BOJOSZAW (z prędkością.)

Słuchaj! prawdę mi powiedz, albo cię ubiję!

CNOTLIWSKI

(skromnie, ale bez bojaźni.)

Dla dobra moich panów od lat tylu żyję.

BOJOSZAW.

Gdzie Ludwinia? w Pultusku?

CNOTLIWSKI.

Teraz w domu, panie.

BOJOSZAW.

Czy mam ci z dobitnością powtórzyć pytanie?

CNOTLIWSKI.

Będzie znowu w Pultusku.

BOJOSZAW.

Pytam się, czy była?

CNOTLIWSKI *(nieśmiało.)*Była, panie. *(Do siebie.)* Żegnaj cię, żegnaj, prawdo miła!

(Ze łzami.)

Tyle lat żyłem z tobą! Zgubię ją odkryciem:
Tak, będę nieszczęśliwej bronił nawet życiem!

BOJOSŁAW.

Czy to prawda, co mówisz?

CNOTLIWSKI.

Panie, weź mi życie!

BOJOSŁAW.

O! wiem, wiem, jak swych panów rozkazy
pełnicie!

(Z gniewem, i uśmiechem.)

Dość tego; prawdęś mowił! przekonam się
o niej;
A wtedy się przede mną kłamstwo nie zasłoni.

(Odchodzi.)

(Cnotliwski stoi w osłupieniu.)

ODDZIAŁ XIII.

BOJOMIR, LUDWINIA, CNOTLIWSKI.

(Ludwinię prowadzi z uszanowaniem pod rękę Bojomir.)

LUDWINIA.

O biedny ty, Cnotliwski! Ojczym.....

CNOTLIWSKI.

Biedny sługo!

Z prawdą świętą służyłeś w tym domu tak długo:

Obrażać jej aż dotąd nie było ci trzeba.

LUDWINIA.

Nie smuć się, wkrótce wszystko zmienią dobre Nieba:

Przewidziałam, że ojczym ciebie się zapyta;
I, że mu tajemnica nie będzie odkryta.

CNOTLIWSKI

(całuje w rękę Ludwinię.)

O! dobra pani, gdyby nie to mnie cieszyło;
Że dla ciebie, dla ktorej i umrzeć jest miło...

LUDWINIA (ociera łzy.)

Łzami tylko tę dobroć wynagrodzić mogę;
Ale oddal, Cnotliwsiu, wszelką o mnie trwogę:
Pan Bojomir wie wszystko, i on nam pomoże.

CNOTLIWSKI.

Ach! zdrowiem, szczęściem za to błogosław
mu, Boże!

LUDWINIA.

My dziś jechać musimy.

BOJOMIR.

A ja resztę zrobię,
I do twojej podróży teścia przysposobię;
Że ci wracać kazała ochmistrzyni wasza;
Że nieprzyjęciem wrązie spóźnienia zastrasza.
Zresztą znajdą się takie środki do namowy;
Że twój odjazd dziś wieczor już prawie gotowy,
A jutro po śniadaniu z kalwakatą całą
Ruszamy: ażeby zaś lepiej się udalo;
Powiem, że do przyjaciół wstąpimy po drodze;
Tymczasem stangret żwawiej puści koniom
wodze,

Ja będę zagadywał, towarzystwo bawił;
By wcześniej naszej myśli ojczym nie wyjawił.
Nieznacznie i Mokotow.....

CNOTLĄWSKI.

Spisek tak niewinny,
Same Nieba swą łaską wspieraćby powinny.

B O J O M I R.

Łuba siostrze, do ktorej serca już mam prawo,
Na mnie, na żonę moję bądź zawsze łaskawą.
Wiem ja; że jak dla siostry... że nieco jest
żywą;

Lecz niech odtąd rodzinnej miłości ogniwo
Połączy się, Ludwinu, ściślej między nami;
Zbliżeni krwią, i rodem, zbliżmy się sercami.

.
.

Bojosław nieprzystępny, z pierwszego wej-
rzenia,

Wzrok posępny w rycerską otwartość zamienia:
Tysiącom rozkazywać przywykły wejrzaniem,
Napozor może dumny, grzeczny za zbli-
żeniem:

I gdy mam szczerze mówić, pocziwa zeń
dusza,

Kiedy go poznasz lepiej, kochać się przymusza.
Matka nasza, uległa, kochająca żona;
By uszczęśliwić męża, prawdziwie stworzona.
Dobrocki, Polak prawy, rodziny ozdoba,
Za pierwszym oka rzutem wszystkim się
podoba.

U niego szczeróść w sercu, podobnie jak
 w mowie,
 Ta szczeróść, z której nasi słynęli przodkowie.
 Ty zaś, droga Ludwiniu, miła dziaduniowi,
 Miła, wyznać to muszę, całemu domowi,
 Musisz zachwianą jedność przywrócić nie-
 bawem;
 I dziadunia pogodzić z panem Bojostawem.
 Nie, nie mogę znieść tego; warunek jedyny!
 Aby ten rozdział zniknął tej nawet godziny:
 Ty będziesz między nami tym aniołem zgody.

(Z uśmiechem łagodnym.)

A że się podejmujesz, mam tego dowody.

L U D W I N I A.

Ufam twojemu sercu: tak, bracie kochany,
 Wkrótce się doczekamy najmiłszej odmiany.
 Bog! (o co go tak błagam!) niegodnej pomoże;
 A ja przy twojem wsparciu wszystkich sił
 dołożę;
 Aby skutek uwieńczył obojga starania,
 I połączył nas wszystkich godłem pojednania:

B O J O M I R.

Idę podług umowy rzeczy przysposobić;
 Pamiętaj, co ci, siostró, pozostaje zrobić:

(Odchodzi.)

ODDZIAŁ XIV.

LUDWINIA. CNOTLIWSKI

(który dotąd jestami radość wyrażał, bo go cieszyła rozmowa między Bojomirem i Ludwinia.)

CNOTLIWSKI *(za odchodzącym.)*

Ce za pocziwa dusza! anim się spodziewał;
 Oby na cię Bog dobry swoją łaskę zlewał!
 Oby ci błogosławił w terażniejszym stanie,
 Za to ku mojej pani tkliwe przywiązanie.
 Ale się tego lękam, by ten Wścibiński znany,
 Ten pieczeniarsz obmierzły, Lizalsio kochany,
 Nie przewąchał tu czego, delikatnym noskiem

LUDWINIA.

Jest i na niego sposob, nie trwoż się tym
 wnioskiem:
 Moja Matka wie o tem, i ma go na oku;
 Bo kiedy pan Bojomir nieznacznie, na boku,
 O mnie, o mym wyjeździe, z ojczymem rozmawia;
 Matka nam Lizalskiego rozmową zabawia.

CNOTLIWSKI.

Niechaj Niebo uwieńczy cnotliwe starania!

Dla mnie będzie dniem szczęścia, dzień ich pojednania.

(*Odchodzą.*)

ODDZIAŁ XIV.

(*Okolica wiejska. Piękny poranek letni. Gości-
niec bity. W oddaleniu drzewa, i wiejski do-
mek pana Dobrockiego.*)

DOBROCKI

(*w słomianym kapeluszu, podpierając się laską.*)

Cóż nie wraca Joasia. Oj, wzrok mnie zawodzi:
Bodaj to owe lata! gdy jesteśmy młodzi;
Wszystko się nam uśmiecha, i wszystko nam
służy;

Ale wkrótce po pewnej dni naszych podróży,
Wzrok tępieje widocznie, opuszczają siły,
I człowiek, choćby nie rad, sam sobie niemiły:
Jeszcze kiedy go luba otacza rodzina!...

Ach! i po coż mi serce ten cios przypomina!
Nie widziałem ich dawno: jakieś utęsknienie
Mimowolnie mi wznawia bolesne wspomnienie.
A gdybym nigdy w życiu nie miał ich oglądać!
Ale do czego wzdycham? i czego śmiem żądać?

Tych widzieć, co bolesną zadali mi ranę,
 Że na zawsze podobno samotnym zostanę?!
 Lecz Bog dobry, bo anioł jego już jest ze mną,
 Z którym każda mi chwila, jest chwilą przy-
 jemną.

(Po chwili, patrząc za widownię.)

Oto Joasia moja, jeżeli się nie mylę.

(Z westchnieniem.)

Bez okularow trudno mi zostać na chwilę.

ODDZIAŁ XV.

DOBROCKI, LIZALSKI.

DOBROCKI.

Kogoż znowu postrzegam? jakiś nieznajomy?

LIZALSKI

(Ma dwie salopy na ręku, i dwa kapelusze damskie, na szyi zawieszzone.)

Na honor, śliczny pejzaż! śliczne wiejskie
 domy!

A! uniżony sługa, jakże mam z nazwiska....

DOBROCKI (do siebie.)

To widzę jakiś dworak.

LIZALSKI.

Ta wioszczyna bliska,
Czy to nie własność jego?

DOBROCKI.

Nie jestem dziedzicem.

LIZALSKI

To może z prowincyi cząstkowym ślachcicem?
Na sprawę do stolicy dążysz, panie bracie?

DOBROCKI (do siebie.)

Ciekawość mu dopieka.

LIZALSKI.

Daleko mieszkacie?

DOBROCKI.

Niedaleko.

LIZALSKI

Przyjacioł mam dosyć w Warszawie;
W każdym znaczniejszym domu kilkunastu
prawie:

Gdy protekcyi potrzeba... (a ktoż nią pogardzi?)

D O B R Ó C K I.

Najpokorniej dziękuję.

L I Z A L S K I (*do siebie.*)

Ci wieśniacy hardzi.

(Głośno.)

Jednakże na protekcyi stoi dziś świat cały;
I może jej udzielić tak wielki jak mały.

.
.
.
.

A zatym niech panisko nie gardzi mą radą.

(Słychać turkot powozów.)

Klaniam, klaniam, już moi przyjaciele jadą;
Nie dopuszczę, by lokaj powoz im otworzył.

(Odchodzi.)

D O B R Ó C K I.

Ledwo mnie ten gaduła na śmierć nie u-
morzył.

ODDZIAŁ XVI.

DOBROCKI. LUDWINIA (zdyszana.)

DOBROCKI.

Upragnąłem Joasi: otoż ona przecie;
 Ale coż ci? dla Boga! powiedz, moje dziecię;
 Pot kroplami cię oblał: jesteś zadyszana.

LUDWINIA,

Tylko com się zdołała schronić tu do pana;
 Jacys mnie dwaj mężczyźni gonili co siły.

DOBROCKI.

Ha, ha, to niezawodnie konkurenty byli;
 Co się o twoją rękę dobijają żwawo.

(Ogląda Joasię z uśmiechem.)

A jak ładna Joasia, na pocziwość! brawo!
 Wesele posłużyło, i stroj staranniejszy,
 Jakby tu hasać miała i przez dzień dzisiejszy:
 Te wstęzcзки do twarzy, a prześliczne kosy
 Jeszcze większą jasnością zdobią twoje włosy.
 Powiedz, powiedz, Joasiu, tańczyłaś wiele?

LUDWINIA.

Wszakci to przecie było mej siostry wesele:

Hasałam do upadłej, z mnóstwem taneczników;
 I podarłam napięknę trzy pary trzewików;
 Ale też za to chłopcy mieli się niełada;
 A mnie pierwszą z tanecznie nazwała gromada.

(Zuczuciem.)

Ale co tam wesele! ja nawet w zabawie,
 O moim dobrym panu przemyślałam prawie:
 Co też beze mnie robi? ach! tęschni w altanie;
 Może go Małgorzaty rozerwie gderanie?
 I to nie: on z Małgosią nawykł żyć oddawna;
 Małgosia niedzisiejsza, a stąd niezabawna;
 I niedziw, wiek nie radość: a ja sobie młoda,
 Moja tylko wesołość panu zdrowia doda;
 Zawinę się, i wrocę, i otom przybyła.

DOBROCKI

(z uśmiechem, zapominając się.)

Pojdź do mojego serca, moja wnuczko miła!

(Miarkuje się.)

Nie! to nie jest Ludwinia! ale mniejsza o to;
 Joasia jej podobna skromnością, i cnotą.

(Całuje Ludwinię w głowę.)

Za twoje dobre serce niech ci Bog nagrodzi!

LUDWINIA

(korzystając z uniczenia pana Dobrockiego.)

Mojej prostocie wiejskiej daruj pan dobrodziej,
 Ja niezawsze być mogę, jak teraz, przy panu;
 Zawadą najpewniejszą odmienienie stanu.
 Ale gdyby też kiedy owa miła wnuka,
 Ktorej z taką tęschnotą serce pańskie szuka,
 Zjawiła się, i prośbę wniosła za rodziną!.....

DOBROCKI

(z oburzeniem, i gniewem.)

Ani mi słowa o tem nie wzmiankuj, dziewczyno.

LUDWINIA.

Daruj mi, dobry panie, serce moje czuje,
 Ze panu wielu wygod na starość brakuje:
 Słodycz związkow rodzinnych jest serca potrzebą:

Oby ci ją wrociło sprawiedliwe Niebo!

(Wygląda za widownię.)

Coż to! ku nam się zbliża znaczna liczba gości.

(Podaje okulary.)

Może tych jasnych szkiełek trzeba jegomości!

DOBROCKI.

Daj, Joasiu. (*Bierze okulary, i patrzy.*)
To jakieś towarzystwo młode.

ODDZIAŁ XVII.

DOBROCKI. LUDWINIA. BOJOSZAW. ALDONA BOJOMIR

LEONTYNA. LIZALSKI (*jak dawniej.*) CNOTLIWSKI.

(*Bojosław, i Bojomir prowadzą żony pod ręce.*)

LIZALSKI

(*rozkładając rękami.*)

A ja państwu tej rzeczy najjaśniej dowiodę;
Że słońce w przypołudnie najmocniej dopieka.

BOJOSZAW (*żartując.*)

Uczenszego, jak acan, nie znałem człowieka.

ALDONA

(*jakby niespodzianie.*)

Mężu! oto nasz Ojciec!

BOJOSZAW (*pomiészany.*)

Gdzie? mylisz się, żono.

DOBROCKI

(poznawszy ich, mowi z gniewem.)

Joasiu, czemuś ze mną, czemu szła tą stroną?

(Chce się oddalić.)

LUDWINIA.

Dziaduniu!

DOBROCKI.

Ani słowa, dosyć tej zabawki.

BOJOSZAW

(z gniewem, do swoich.)

Chciałbym poznać autora tej piekielnej sprawy.

LUDWINIA

(klęka, i mowi, zdejmując duży słomiany kapelusz wiejski.)

Drogi dziaduniu! Ojczy! darujcie Ludwini!

Dla was, dla was to wszystko z przywiązania
czyni.

Tym niewinnym podstępem, tą ofiarą małą,

Oby mi się na zawsze złączyć was udało!

Bog mnie natchnął tą myślą: On niech zmianę
sprawi!On niech czuciom serc waszych tkliwie bło-
gosławi!

Was rodzina uwielbia, jak swoje ozdoby;
 Mogąż nie żyć ze sobą tak godne osoby?
 Niech więc nastąpi jedność: przodków oby-
 czajem

Ściśnijcie się, i sobie przebaczcie nawzajem;
 Lub jeżeli od serc waszych daleką spaniałość;
 Pomścijcie się nade mną, ukarźcie mą śmiałość.

BOJOSŁAW

(*podnosząc Ludwinię z uśmiechem.*)

Powstań, filutko: ojczym twą karę ocenia.

(*Ściska, i całuje Ludwinię.*)

Oto masz przy mem sercu tkliwe uściśnienia!

DÓBRÓCKI.

A ja czemże nagrodzę Ludwinię kochaną?
 Tysiącem ucałowań.

(*Sciska, i całuje Ludwinię, w jednym czasie z Bo-
 josławem, ale z przeciwnej strony, w głowę.*)

LUDWINIA (*do siebie, z radością.*)

Złączeni zostaną!

Nieba! wesprzyjcie teraz moje szczerę chęci;
 Niech się zbliżą, uczuciem jedności przejęci.

(Usuwa się zręcznie z ich objęcia, w ten sposób, że Bojostaw, i Dobrocki obejmują się wzajemnie.)

Niech żyje piękna zgoda! O luby widoku!

BOJOSZAW (pomieszany.)

Nie mogę z tego miejsca uczynić i kroku.

DOBROCKI.

I coż się ze mną dzieje?

BOJOSZAW.

Słow mi nie dostaje.

DOBROCKI.

Jak tu zacząć?

BOJOSZAW.

Co mówić?

A L D O N A

(na kolanach przed Ojcem.)

Głos Nieba poznaję!
Ojcie! mężu! niech odtąd połączy nas zgoda!
I niech jeden drugiemu szczerze rękę poda!

Smutne okoliczności dom nasz rozdwoiły;
I mnie nawet niewdzięczną dla Ojca zrobiły.
Otwarcie błąd wyznaję; daruj! Ojcie drogi.

(Wstaje, całuje rękę Dobrockiego, potem pokazując na Leontynę, i Bojomira, którzy się zbliżają, tak dalej mówi:)

Błogosław razem, Ojcie, i ten związek błogi.

BOJOMIR I LEONTYNA *(z uszanowaniem.)*

Błagamy!

DÓBROCKI *(z tkliwą radością.)*

Niechaj Niebo swojej łaski zdroje
Zleje na was, tego wam życzę, dzieci mojej!

(Daje uściśnienie młodemu małżeństwu.)

Z tem uściśnieniem razem i serce przyjmiecie.

BOJOMIR *(ściskając Dobrockiego.)*

O dniu radości!

LEONTYNA *(całując rękę dziadunia.)*

Jestem najszczęśliwszą w świecie!
Żem twe serce zyskała, żeś Ojcu przebaczył,
I naszemu związkowi błogosławić raczył!

DOBROCKI

(z uśmiechem, do Bojostawa.)

Zięciu! a jakże z nami?

BOJOSZAW

(ściskając pana Dobrockiego.)

Zgoda! wieczna zgoda!

*(Ściskają się nawzajem.)*BOJOMIR *(do Dobrockiego.)*

To naszemu związkowi nowej ceny doda.
 Panie! chociaż ci dotąd znajomy nie byłem;
 Jednak z wieści powszechnej twe cnoty
 wielbiłem:

W tobie widzę szanowny obraz naszych
 dziadów!

.

LIZALSKI *(patetycznie.)*

Dalibog! doskonale! roztkliwia się dusza.

CNOTLIWSKI *(ociera łzy.)*

Jak na nich miło patrzeć! to do łaź porusza.

DOBROCKI (do Ludwini.)

Pojdź, droga wnuczko moja, przybliź się
wesoło;
Niechaj łzami tkliwości zroszę twoje czoło.

(Całuje Ludwinię w czoło.)

ALDONA (podobnie)

I od Matki serdeczne przyjm ucałowanie.

BOJOSEAW

(dając uściśnienie Ludwini.)

Tu przy sercu...

LEONTYNA (całuje Ludwinię.)

O siostro!

LUDWINIA.

Ach! nie jestem w stanie...

CNOTLIWSKI

(całując z uniesieniem rękę Ludwini.)

Już nie wiem, co, doprawdy, w mem sercu się
dzieje!

Niech tę rękę uściśnę, i łzami obleję.

LIZALSKI

(patrzac za widownię.)

Państwo? coż to ja widzę? te wiejskie chłopaki
Biegną pędem, i ciągle walczą na kulaki!

ODDZIAŁ XVIII.

DAWNI. MAŁGORZATA. BORUTA I SOBUŚ

*(wchodząc, grożą sobie nawzajem.)*B O R U T A *(grożąc.)*

Żebyś był Golijatem, nauczę cię gracko.

S O B U Ś

*(z pięściami do niego.)*Nie ustraszysz mnie, bratku, miną haj-
damacką.

MAŁGORZATA

(do Boruty i Sobusia.)

Ciszej! czy nie widzicie, kto przed wami stoi!

B O R U T A.

Zuch, jak ja, to się nawet całej wsi nie boi.

S O B U Ś

(z uszanowaniem zdejmuje czapkę.)

Przepraszam, państwo moje.

B O R U T A

(zdejmuje czapkę przed panem Dobrockim.)

Ja trzymam za słowo.

Gdy o Joasię idzie, nie chcę podrwić głową,
 Joasia obiecała tego żoną zostać,
 Kto pierwiej do kamienia będzie się mógł
 dostać.

(Do Sobusia.)

Krzepkie mam jeszcze nogi, spróbujmy się,
 bracie.

MAŁGORZATA.

Ale, sobie Joasi innej poszukacie.

B O R U T A

(pokazuje na Ludwinię.)

A toć to ona sama?

MAŁGORZATA.

Nie, moi kochani,
 To wnuczka mego pana; *(pokazuje na Aldonę.)*
 i corka tej pani.

S O B U S I.

Nie bajcie, Małgorzato.

B O R U T A.

To są chyba czary.

S O B U Ś.

O! my takim cudactwom nie dajemy wiary.

D Ó B R Ó C K I.

A więc tej wątpliwości ja wam koniec zrobię:
Joasia i Ludwinia są w jednej osobie:

Nią zaś, dobrzy ludkowie, jest ta moja wnuka.

S O B U Ś.

Pojdź, Boruto, zje biesa, która mnie oszuka.
Darujcie, moje państwo, są jeszcze dziewuchy:
O! znajdą sobie żony, takie, jak my, zuchy.

(Boruta i Sobuś odchodzą.)

D O B R Ó C K I

(do Ludwini z uśmiechem.)

Żałuj, moja Ludwiniu, już i po małżeństwie!

(Całując ją w głowę.)

Lecz przyjmij szczęścia wroźbę w mem bło-
gosławieństwie.

Twój dziadunio to tylko dać może dla ciebie;
 Resztę porucza Ojcu powszechnemu w Niebie:
 On widzi serce twoje, On niech na cię zleje
 Łaskę, która przewyższy i moje nadzieje.
 Skarby świata znikome, świat je chlubą czyni;
 Lecz ja szczęścia innego życzę mej Ludwini:
 Szczęścia, co ma początek w spokojności duszy,
 Co go żadna przygoda, żaden los nie wzruszy:
 Takie szczęście na ziemi cenniejsze od złota,
 To jej zapewnić zdoła jej skromność i cnota.
 A teraz kiedy Niebo, przy dni moich końcu,
 Zabłyśnąć dozwoliło jaśniejszemu słońcu;
 Kiedy szczęsnem zdarzeniem słabe starca oczy
 Widzą, jak tkliwe serca otwartość jednoczy:
 Dziękując tkliwie Dawcy smutku, i pociechy,
 Pojdźcie ze mną, poznajcie zacisz mojej
 strzechy.

Tam troski moje złożę, na rodziny łonie:
 Krwi moja! przyjaciele! podajcie mi dłońie!

*(Dobrocki, Bojostaw, Aldona, Bojomir, Leon-
 tyna, Ludwinia, podają sobie ręce.)*

(Zastłona upada.)

SONETY.

I.

DO JOZI.

Obrazie wiosny! Aniolku wiosny!
 Skarbie moj! serca Matki odbicie!
 Ty mi świat smutku zmieniasz w radosny!
 Niebem twej duszy promieniać życie.—

* * *

Ty myśli Ojca pojmujesz mile,
 Czytam je w oczach, gdzie dobroć błyska;
 Ty mi bolesne łagodzisz chwile;
 By to wyrazić nie mam nazwiska!—

* * *

Ciesz się! już twoje objęła losy,
 Ręką anioła, przeznaczeń księga;
 I złote żniwo skromności kłosy
 Wydadzą wkrótce; i z twego czoła
 Błyśnie, jak gwiazda, szczęście Anioła!
 Z serca świat czucia, i cnot potęga!

II.
SMUTEK.

Czuję, i myślę, myślę, i mówię;
A nikt mnie pojąć z ludzi nie zdoła!
Czuję, i myślę, myślę, i mówię:
Czy mam wyblagać mowę Anioła?

* * *
Wszędzie okrzyki! wieńce! zabawy!
Światła weselne w ogniach goreją!
Ja tylko milczę cierpiący, łzawy;
W mem oku smutek, i łzy kolejają!

* * *
Śmiecie się ze mnie! znikną te śmiechy,
Jak pył na węglach, za ust podmuchem:
A ja mam we łzach moje pociechy;
Stworca je z moim połączył duchem.—

* * *
Skaczcie! szalejcie! krótka to radość!
Krotsza niż moje łube dumanie!
Niech waszej woli stanie się zadość:
Kto z nas szczęśliwszy? trudno pytanie!
Wszystkich pokryje śmiertelna bladeść!
I tylko z prochu człowiek zostanie!

III.

POGRZEB

Nieszczęśliwego.

Ucichły serca rozognione bicia!
 Zagasła piękna pochodnia życia!
 Milczą przychylnie dla innych dzwony;
 Blask nie rozjaśnia nocy zachmurzonej!

A samobojcy tylko towarzyszy
 Głuche milczenie, do grobowej ciszy;
 I tylko ziemia, jego Matka tkliwa,
 Przyjmie to ciało, do swojego łona;

Gdzie już tysiące jej dziątek spoczywa;
 I wszystko niepamięci pokryje zasłona:
 Będziecież go obwiniać? obwiniajcie sobie;
 On już tego nie czuje; leży w zimnym grobie.

Ja powiem: Boże! Ty jego cierpienia
 W błogą pocięchę, i ulgę zamień;
 A wy, jeżeli jesteście wolni przewinienia,
 Osądźcie go, i śmiało rzućcie pierwszy
 kamień.

IV.

CHWIŁA POCIECHY.



Chciałbym świat objąć w moje ramiona,
 Cały rod ludzki uściskać, jak braci:
 Z oczu mi spadła pomroki zasłona,
 Wszystko w anielskiej oglądam postaci.



I widzę przeszłość i przyszłość radosną!
 I Boga wszędzie, i Niebo wszędzie!
 Dla szczęścia świata pokolenia rosna,
 Których skroń zdobić chwała wieków będzie!



I wszystko wieczną odziewa się wiosną,
 Bliska otwarcia błogich losow urna;
 Wiek złoty lubość rozwija miłosną,
 Piękniej jaśniejąc od wieku Saturna.—



I Bostwo zeszło z Nieba w postaci kobiety,
 Ktorej Ziemia Poetow jest rodzinnym krajem:
 A świat zdumiony wielbił jej zalety;
 Wszyscy ludzie, jak bracia, ścisnęli się wzajem:
 Ale to był sen tylko, sen! ach! sen, niestety!



V.

DUMANIE

podczas nocy.

Jeżeli masz tkliwą duszę, jednym rzutem ręki
 Otworz okienko, bo mi duszno w cieśni;
 Porzuć te niby słodkiej melodyi dźwięki,
 I śpiewaka przyrody słuchaj ze mną pieśni!

* * *

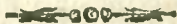
Ziemię, jak Matka, grzało słońce jej wspaniałe;
 On milczał skromnie w cieniu, do chwili na-
 tchnienia;
 Przyjaciel jego błysnął, głosi Stworcy chwałę;
 I z Aniołów chorami słodkie łączy pienia!

* * *

Ach! czyliż ta harmonja nie zachwyca ciebie?
 Czy nie chcesz poić duszy Niebios majestatem?
 Tak; już się pożegnałeś z samolubnym światem!
 Widzę, żeś sercem dumań zatopiony w Niebie.

* * *

Tam się mile uśmiecha kraina swobody,
 Tam błoga szczęścia lubość, czysta rozkosz
 ducha;
 Tam przyłgnij duszą całą, świat pokochaj
 młody;
 Niech cię więcej nie łudzi ta pustynia
 głucha.—



VI.
 Ż Y C I E.

Gdzież znajdę zakres nieskończonych marzeń?
 I czyli dojdę badania granicy?—
 Nie bioręż złudzeń za świat pewnych
 zdarzeń,
 Jak za skarb drogi biorą szkiełka dzicy?

* * *
 Tak i ja życie w uściski objąłem,
 I przed niem biję błagalnem czołem:
 A chociaż boleść jęki mi wyciska,
 Złudnej radości daję im nazwiska.

* * *
 Krwawe szyderstwo! ohydo natury!—
 Gorzki, okropny uśmiech na twarzy;
 A jęk o gluche obija się mury,
 Jakby w siedlisku pijanych zbrodniarzy!

* * *
 Słyszę obmier-złe! piekielne wycia!
 Chciałbym pominąć tłumy szaleńców,
 Ktorzy mnie pragną porwać w swoje koło;
 Gdzie wpośród pieśni z choru potępieńców,
 Chociaż na dnie truczna, sechylają wesole,
 Słodyczą złotych brzegów złudny pubar życia!

* * *

A więc rozbrat ze światem, z wiarą, i
 nadzieją!
 Zapuszczę nawę w ocean niezmierny;
 Gdzie myśli złote chwile w blasku wiosny
 dniają;
 Gdzie jest pełnia radości, pociech miliony;
 Gdzie Przedwiecznego nieśmiertelne trony
 Cnot jego dzieci słońcami jaśnieją:
 Stamtąd żadna mnie ziemską nie wyrwie
 konieczność,
 Tam życiem moich dumań będzie Bog! i
 wieczność!—

 VII.

 PRZYRODA.

Widzisz te lasy? te odwieczne dęby?
 Świadki przeszłości, co dzwigają wieki?
 Widzisz te góry? czas na nich tarł zęby;
 Widzisz te ziemi wstęgi, pyszne rzeki?

I lasy szumią, i góry się srożą,
 I z czasem długie toczyć będą boje;
 I rzeki nieraz powodzią zagrożą,
 Pochłoną biednych pociechę, i znoje.

Ale głos jakiś mowi z nich do ludzi:
 Wście nam nieraz pokoj zamieszali!—
 Gdy dzień okropny śmiertelnych obudzi,
 Coż was przed strasznym wyrokiem ocali?—

* * *

My nieme twory, życia pozbawione;
 Wy z sercem, w gruzach, i krwawej kąpeli:
 Ręce zaboicy krwią Abła zbroczone;
 A Bog nie natchnął. !

* * *

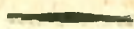
Ale mu lasy odmawiają schrony,
 Lasy, i gory brzmią straszliwem echem;
 I wszędy widzi brata cień skrwawiony;
 Ziemia, powietrze grozi mu oddechem.

* * *

Ktoż opuszczonych przyjmuje na łono?
 Kto niesie ulgę cierpiącej sierocie?
 Kto, kiedy we łzach pognębeni toną,
 Szumem wód swoich przymila się cnocie?

* * *

Lasy okryją bolesne dumanie,
 Dni jej w jaskiniach zabezpieczą gory;
 A kiedy nędzy zakątka nie stanie;
 Przyjmie ją Ten, co słowem wywiodł wszy-
 stkie twory!



VIII.
PORANEK.



Krol światła z błękitu złotem ognia strzela!
 A w całej przyrodzie okrzyki wesela!
 I echo ożywia miłosny, luby gaj,
 Świątynię dumania, i słodkich uczuć raj.—

Tu uchył twe czoło, pośród cudów mnostwa!
 Tu palaj wdzięcznością! tu ołtarze Bostwa!
 Tu z ogniem tkliwej duszy, sercem poświęconem,
 Uroczystą pieśń chwały wznies przed Jego
 tronem.

Bog życia, technie życie w niezliczone twory;
 Chce tylko, jak Oyciec, od dzieci pokory;
 A na znak miłości daje im świat cały,
 To słońce niebieskie, te pereł kobierce;
 I szczęściem Aniołów z bogaca ich serce;
 I mieści przy tronach czei wieków, i chwały!



IX.

P R O Ś B A.

Jeszcze raz jeden błysnij niebem oka!
 A nieznanemi ogniami zapłonę;
 Ziemską z mej duszy opadnie pomroka;
 Jeszcze raz jeden błysnij niebem serca!
 A pod anielskie sfery się uniosę!
 Wśród dyjamentow gwiazdzistych kobierca
 Słodką duch czysty tam pieć będzie rosę.
 Ale okrutna!.... przestań!... zapaliłaś!....
 Za tobą idę, jak błędny kwiat słońca;
 Jednak on zimny, ty mi sroższą byłaś;
 Ja niknę ogniem, i cierpię bez końca! —
 Jeżeli dać wiarę poctow powieści,
 Tyś jest podobną do morza zjawiska,
 Co głosem lubym płocze zmysty pieści;
 Tak oko twoje śniera i ponęt błyska,
 Tyś sama źródłem najsroższej boleści!

X.

P O Ż E G N A N I E.

Z jakim uczuciem, słońca niknące oblicze,
 Żegna smutny wędrowiec; jak życia słodycze

Bolesno rzuca szczęścia polubieniec;
 Jak, od kochanki bijącego łona,
 Ze łzami się odrywa szczęśliwy młodzieniec;
 Jak tkliwie dla przyrody dzień pogodny kona;

* * *

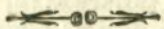
Tak i ja ciebie żegnam, o istoto luba!
 Żegnam: ach żegnam! ale nie na wieki!—
 Zobaczymy się kiedyś! tam w Niebie Aniołowi!
 Gdy błogo powstaniemy z śmiertelnych popiołów;

* * *

A chociaż ten dzień wielki jest może daleki!
 Ktoż wie, co losow zasłona gruba
 Przed okiem naszym ukrywa?
 I co w przeznaczeń zapisano księdze?

* * *

Może ta ziemia, lepiej mi życzliwa,
 Twoje kiedyś popioły połączy z mojemi;
 Bo nie ma władzy, tak, nie ma na ziemi,
 Coby się groźnej śmierci oparła potędze.



XI.

PAMIĄTKA.

Miły obłoczek snu owiał mi skronie,
 A z łona jego błysła twarz Aniołka;
 Złożone w Niebo miał różowe dłonie;
 A światło oczu w kolorach fijołka.

Był to moj Anioł życia, i nadziei,
 Co oddał Niebu szczęścia mego chwile:
 Za nim tęsknię, i dumam, nim sen oczy skleci,
 Jak na przeszłości samotnej mogile.

* * *

Czemżeś unosił twoje rąbki złote,
 O śnie uroczy!— ach! czemu powieki
 Otwieram, tracąc do życia ochotę:
 Ach! gdyby zasnąć! a zasnąć na wieki!

* * *

Zasnąć z tą myślą, obudzić się na to;
 Że moj Anioł jest przy mnie! i będzie
 bez końca!—
 Lub nie żyć, i nie istnieć! jeżeli z taką stratą!—
 O Boże! Ty mnie pociesz! Tyś sierot
 obrońca!

=====

INNE POEZYE.

S E N.

~~~~~

Kłęknij przed cudem! uznaj dobroć Boga,  
 Że cię łask jego wyrok nie pomiął:  
 Jeszcze światłością jaśnieje ta droga,  
 Po której Anioł twej pociechy spłynął.

Tam go szukałeś, gdzie wiary nie było;  
 Gdzie zamiast wiosny panowała zima;  
 Gdzie blaski mamią czarodziejską siłą;  
 Gdzie serce zgasło, ducha życia nima!

\* \* \*

Westchnąłeś w Niebo, a w lubej postaci  
 Anioł opuścił wieczności podwoje:  
 On zmienił ziemię w szczęsny pobyt braci,  
 Z nim życie twoje, z nim jest serce twoje!

\* \* \*

W złotym obłoku sen błogi, sen miły,  
 Kolysał tego pociechy Anioła;  
 Roże rąk jego lubości ronily:  
 Niebo woniami tchnęło z jego czoła!

\* \* \*

Tak, to moj Anioł szczęścia, co na ziemi  
 Słodczą pieścił życia mego chwile!  
 Tak, to moj Anioł! oczyma łzawemi  
 W smutnej oddawna szukany mogile!

\* \* \*

Zbliża się ku mnie!— drży serce roz-  
 koszą,  
 I życie w lube omamienie sływa:  
 Schyla się, jasne chmurki go unoszą;  
 I bliżej! bliżej! o chwilo szczęśliwa!....

Podnoszę ręce! zabłysła jutrzienka!  
 Zgasz twoje róże! zbudziłaś mnie wcześniej!  
 Ach! rzeczywistość jak okropna męka!  
 Byłem szczęśliwy; ale tylko we śnie!

---

### ZJAWIENIE.

---

Sny urocze myśli młodej!  
 Duszo serca! i swobody!  
 Szczęście moje! życie moje!  
 Gdzie są wasze lube roje?

• • •

Błyska wspomnień pismo złote,  
 Obraz wdzięczny, słodki, miły!  
 I widzieć go mam ochotę,  
 A czytać go nie mam siły!

• • •

Zajaśniał obłoczek woni:  
 To niebieskich istot chwila!  
 On się do mnie mile kloni,  
 A postać z niego wychyla.

\* \* \*

I serce daje znać biciem,  
 Jak dzwon smutku na pogrzebie;  
 Że ten Anioł mojem życiem,  
 Mojem szczęściem, ale w Niebie!

Kwiatki wiosny głowki chwieją,  
 Skrzydełkami pieści radość;  
 Na jej czole gwiazdki dnieją;  
 Na jej licu słodka bladość.

\* \* \*

To ona! Boże! to ona!  
 Wstańcie ze snu, lube dziatki!  
 Wyciąga do was ramiona;  
 Tulcie się do łona Matki!



## CZŁOWIEK.



Patrzcie, jak Nieba dotykam się czołem!  
 Już światowładcą jestem, Bógiem, lub aniołem!  
 W lazurach Niebios już nie znam granicy;  
 Gdzie oko topią inni śmiertelnicy;  
 Wyżej się wznoszę orła skrzydłami,  
 Wyżej, i coraz wyżej, aż ponad gwiazdami;  
 Badam samę Wszeczmocność, zatapiam  
     w niej oczy:  
 I widzę, jak się Bostwó ze światem jednoczy,  
 Widzę jego przyrodę.... siłę, podobieństwo;  
 Widzę.... już mnie ostatnie porywa szaleń-  
     stwo!

Moj umysł w ciemnych światow błądzi oma-  
 mieniu.  
 Tak biedny owad lotny, w szklanych ścian  
 więzieniu,  
 Sądząc, że zapor nie ma, swój dowcip wysiła,  
 Z mocą włókna wypręża, wzlatuje co chwila;  
 I kiedy mniema, że w powietrzu płynie,  
 Wlubej, rodzinnej już buja krainie;  
 Łód przezroczysty zimnej massy szklanej,  
 Jak skały, te odwieczne oceanow ściany,  
 Słabość jego przemienia w omdlenie ostatnie:  
 I choć pęgiął skrzydelka, jeszcze swoją matnię,  
 Jak rybki wstrząsa, i niemocy zębem  
 Chciałby się wykluć, płynąc za obrębem.  
 I coż za skutek próżnego marzenia?  
 Czy to los jego, stan, postać odmienia?  
 Bynajmniej: ale doświadczone siły,  
 Co go raz pierwszy, drugi omyliły,  
 Choć mu nie wleją męztwa olbrzyma;  
 Dokażą tego, że wzgardy oczyma,  
 Na hydne ściany będzie pozierać,  
 Cierpieć bez jękow, z odwagą umierać.



## JAN KANTY.

*Ballada.*

„Hulaj dusza! pieniądz płynie!  
 „Złoto płynie! na co więcej?  
 „Jutro może człowiek zginie!  
 „Pijmy! do sta kroć tysięcy!

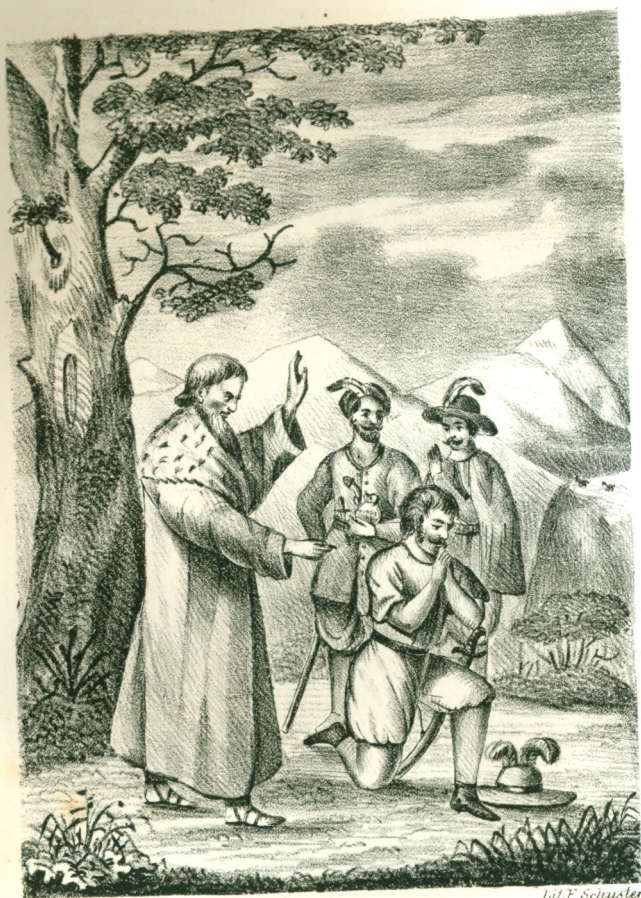
Krzyczy zbojecka hołota;  
 Ogień skrami w górę pryska;  
 Nie jeden chrapi niecnota,  
 Nogi pręży do ogniska.

Ha! braty, hajże tam, braty!  
 Coś świstnęło po gałęzi;  
 Nuż za noże, i bułaty!  
 Wstajcie! czy was szatan więzi!

Zrywa się halastra dzika,  
 Jak spłoszonych kruków chmara:  
 I schwytała pustelnika:  
 Po sukni ta o nim wiera.

---

*S. Jan z Kent czyli Jan Kanty, żył w połowie piętnastego wieku, i umarł Doktorem, i Profesorem Akademii krakowskiej r. 1470. Zdarzenie, będące osnową Ballady jest historyczne. Obacz: GESCHICHTE VON POLEN UND LITHAEN VON CARL, FRIEDRICH, AUGUST BROHM.*



tytuł: Zawodźniaki

Lit. F. Schuster.

*Dzięki Ci, Boże! raz w życiu,  
Twojego widziałem Anioła!*





Skądś! woła! — mow, bo trupem!...  
 Mąż święty odpowie skromnie:  
 Wszystko, co mam waszym łupem;  
 Ale czego chcecie po mnie!

Co robisz o takiej porze?  
 Mniczem jesteś, a nie w celi?  
 Nie myśl o słówek doborze:  
 Niech cię kłamstwo nie ośmieli!

Pierwsza sosna, już po tobie!  
 Znami, bratku, nie ma żartów:  
 Kości twych nie znajdą wgrobie;  
 Pojdiesz na ofiarę czartów.

Tylko prawdę! gdzie zdążyłeś?  
 Ile złota masz w kieszeni? —  
 Czy nas trafem tu spotkałeś?  
 Mow, bo wnet zaśpiewasz cieniej. —

I powroz kładą na szyję,  
 I pałki wznoszą nad głowę:  
 A on rzecze: Niech nie żyję!  
 Jeżeli kłamną zmyślę mowę.

Sługa Boży, z woli Boga,  
 Szedłem w bliską okolicę;  
 W puszczy zbląkała mię droga!  
 Oto macie tajemnicę!

A moj zamiar był niewinny,  
 Wesprzeć biedną z dziećmi wdowę;  
 Jeżeli nie ten, ale inny,  
 Śmierć zadajcie, schylam głowę.

I wy ludźmi! może Matki!  
 Może biednych Ojcow macie!  
 Może jęczą wasze dziatki,  
 Nagie, nędzne, w zimnej chacie.

Głodu nie ma ulżyć komu;  
 Od rodziny wy daleko;  
 Taka nędza i w tym domu,  
 Gdzie ja dążyłem z opieką.

Ach! litości! wszak jedynie  
 Skromny im niosę posiłek:  
 A mało znam tę pustynię,  
 W niej mnie zaskoczył dnia schyłek.

Masz co grosza?— Mam niestety!  
 Ale uważcie, panowie,  
 To skarb dla chorej kobiety.—  
 Mniejsza o to! herszt odpowie.

\* \* \*

Dawaj zaraz!— hola! złoto!  
 Krzyknie, z kieszeni wytrząsa:  
 A masz więcej? masz, niecnoto!  
 Wyznaj! bo to żądło kąsa.

\* \* \*

I chce poprzeć słowa ciosem,  
 Do piersi sztylet przyłoży;  
 Ale nawet śmierci losem.  
 Nie tworzy się sługa Boży.

\* \* \*

Niebo świadkiem! mowi śmiało,  
 Przysięgam! wszystko oddaję.—  
 Dziękuj Bogu, ujdiesz cało,  
 Rzecz herzt, na tem przestaję.

\* \* \*

W nas serce na miejscu swoim,  
 Tylko zemstą zagłuszone:  
 Oddal się z błogiem pokojem;  
 Ruszaj, w jaką zechcesz stronę.

Bez trwogi idzie mąż święty:  
 Wkrotce sięgnie za odzienie;  
 I zadrży dreszczem przejęty,  
 I nagle przerwie milczenie:

O Boże! prawdy krynico!  
 Czemu obraziłem Ciebie!  
 Przed zbojcow nawet żrenicą!  
 Oczyść mnie, oczyść w potrzebie!

Przysiągłem na imie twoje!  
 Ojczyzno moja! błagam w pokorze!  
 Oczyść z kaźni duszę moją!  
 Białą szatę wroc mi, Boże!

Przysiągłem, a jeszcze oto  
 Srebrny pieniądz utajony;  
 Za świata całego złoto  
 Nie chcę być kłamstwem splamiony.

A zbojcy biegają z za drzewa,  
 I porywają za rękę;  
 I gdy się kapłan zdumiewa,  
 Oni go wiedą przez dziękę.

I wiodą na koniec boru;  
 I wnet stanęli przed chatką;  
 Tam, bliskie straszego moru,  
 Jęczały sieroty z Matką.

• • •

I w serca ognistem biciu  
 Uklękli; a herszt zawoła:  
 Dzięki Ci, Boże! raz w życiu,  
 Twego widzielim Anioła!

• • •

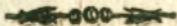
Oto pieniądze! śpiesz ku pomocy:  
 A ile razy iść będziesz tędy,  
 Czyli to we dnie, czyli to w nocy,  
 Mieć będą moi dla ciebie względy.

• • •

Niech twoją drogę rozjaśnia blask słońca,  
 I nasz miesięczek, i te gwiazd brylanty:  
 Ktoż był mąż wielki? kto sierot obrońca?  
 Błogosławiony, cnotliwy Jan Kanty.—

• • •

Wnet zbojcy znikli, jak piorun oku,  
 Jak cień hyżego obłoku;  
 I zatonełi wśród nocy lasów;  
 Puszcza zagrzmiała radością hałasów!



## DZBANECZEK.

*Legiend.*

Samotna w podworku studnia,  
Ktorej chłodzą zdroje czyste:  
W strasznej poździe południa  
Pałą promienie ogniste.—

\* \* \*  
Dziewczynka zbliża się drżąca,  
Sliczna, niewinna, i miła,  
Twarz jej różą pałająca,  
Rączką pragnienie gasiła.

\* \* \*  
Gasiła rączką pragnienie,  
Czerpała wodę z kubelka;  
Ale biedna ma cierpienie,  
Bo na licach lez perelka.

\* \* \*  
Westchnęła, i bierze wodę,  
W dzbanuszek biały, jak mleko;  
I mowi: o lata młode!  
O Boże! sierot Opieko!

\* \* \*  
I krzyknie głosem boleści,  
Co rozdziera tkliwą duszę;  
(Dzbaneczek padł w drobne części);  
Ach! ileż wycierpieć muszę.

Codzień łajanie, i chłosty,  
I ciężka praca dzień cały,  
A przy pracy jeszcze posty,  
Już mi i ręce pomdlały.

\* \* \*

Ale jak wrocę do pani!  
Ach! nie wrocę! zgłodu wolę  
Umrzeć w lasach, lub w otchłani  
Skończyć oplakaną dolę.

\* \* \*

Śmierć dadzą bliskie odmęty!....  
Lepiej nie żyć w poniewierce!.....  
Słyszał te skargi mąż święty;  
Litość przenika mu serce.—

\* \* \*

I zbliża się do niej zoicha,  
I bierze za rączkę białą:  
Nie złąła się, tylko wzdycha;  
A on tak pociesza małą:

\* \* \*

W Bogu ufność! moje dziecię;  
Nie smuć się, i otrzej łezki:  
Gdy wszystko znikło na świecie,  
Da wsparcie Ojciec Niebieski.—

On o robaczku pamięta,  
 Jak i o słońcach na Niebie:  
 I dziś woła jego święta  
 W upadku zbawiła ciebie.—

Przyjmij go sercem niewinnem,  
 Nie rozpaczaj, choć znękana;  
 I przed Ojcem dobroczynnym,  
 Z pokorą ugnij kolana.—

On już zbadał myśli twoje;  
 Patrzaj! twój dzbanuszek cały:  
 Weź w niego ożywne źródło;  
 To rzekł Jan Kanty, i odszedł od malej.

A ona patrzy zdumiona,  
 I sobie nie wierzy sama:  
 I różowa bije łona,  
 Jak Niebios otwarta brama.

I ktoś ją za rączkę białą  
 Prowadzi, jak Anioleczek;  
 I wnet pocieszoną małą,  
 Przyjął gościnny domeczek.—



Błoga zmiana! luba zmiana!  
 Słysząc tylko szczęścia głosy,  
 Dziewczynka uradowana  
 Podnosi oczki w Niebiosy!

\* \* \*

Czas uświęcił cudu skrytość,  
 Między Grodu Wandy ludem:  
 Ale nad sierotą litość  
 Jest godnym Aniołów cudem!—

---

### CHŁOPCZYK

*Na grobie Matki.*

POWIEŚĆ.



Noc mroźna, smutna, w białym odzieniu  
 Ziemia, jak w trumnie dziewica;  
 Brzmi wiatr po suchych liści sklepieniu;  
 Drży twarz bladawa księżycy.

\* \* \*

Gdzie się umarłych wznoszą mogiły;  
 Coś, jak od stąpań, zachręści:  
 Gwiazdy ciekawe blaski rzuciły,  
 Na ten przytułek boleści.

Tu się dozorca z wiernym psem zbliża;  
 Dał znak, zaszczał, poskoczył;  
 Pod kamiennego ramieniem krzyża,  
 Coś żyjącego tam zoczył.

\* \* \*

Nad miejscem smutku jego opieka,  
 Do czuwań w nocy go skłania:  
 Jęk przerywany powziął zdaleka,  
 I płacz, i głosie wzdychnania.

\* \* \*

A gdy już stanął bliżej pomnika,  
 Dziwią go tkliwe zjawiny:  
 Dziecię psa jego rączką dotyka;  
 Ten liże rączkę dzieciny.—

\* \* \*

Był to Pawełek, biedny sierotka,  
 Dawno bez Ojca bez Matki;  
 On ile razy we wsi go spotka,  
 Da mu choć chleba ostatki.—

\* \* \*

Ach! co tu robisz, w tak mroźnej dobie? —  
 A dziecię główkę podnosi:  
 Szukam tu Matki — Ona śpi w grobie! —  
 A dziecię łzami twarz rosi! —

Z pełnem łez okiem podniósł go z ziemi,  
 Tuli, ogrzewa, i pieści:  
 Widok anielski między zmarłemi!  
 Wprzysłanku nędzy, boleści! —

\* \* \*

I wyniosł dziecię z żalu ustronia,  
 I w swojej ogrzał je chatce:  
 Zawiały wichry zaspami błonia: —  
 Chłopczyk zapomniał Matce! —

\* \* \*

Zapomniał wszyscy we wsi myśleli,  
 Bo w płaczu już się ukoił:  
 I to dozorcę w duszy weseli,  
 Że jego ranę zagoił.

\* \* \*

Za dom wybiegać wolno dziecinnie;  
 Bawi się dobry Pawełek:  
 Potulny zawsze; i miesiąc spłynie,  
 Oczki nie ronią perłtek.

\* \* \*

Nagle się ozwał głos przeraźliwy:  
 Znikł chłopczyk; łatwe domysły!  
 Biegnie z psem wiernym dozorca tkliwy,  
 Smutne przeczucia mu błysły!

Gdzie tam? jest chłopczyk; modli się mile,  
 Jak Anioł w chwale niebieskiej;  
 I klęczy na swej Matki mogile;  
 W oczkach nie widać ni łezki!

\* \* \*

Pies wierny przy nim; po jego wyciu  
 Wyśledził pobyt dzieciны:  
 Już cię nie zląę, kiedyś przy życiu!  
 I chwyta zimne rączyny.

\* \* \*

Ożywi dziecię Ojciec niebieski!  
 Ożywi!— ale nie w chatce;  
 Bo już przystygły na oczkach łezki....  
 On nie zapomniał o Matce!

\* \* \*

Jakby chciał Matkę uścisnąć mile,  
 Główkę przychylił do grobu:  
 Rączki na cichej spadły mogile,  
 Ni go ocucić sposobu!

\* \* \*

Ożywi dziecię Ojciec niebieski!  
 Ożywi!— ale nie w chatce;  
 Bo mu przystygły na oczkach łezki....  
 Nie zapomniało o Matce!...

---

# MATCE OD DZIECI I PRZYJACIOŁ,

*w dnia imienin.*

## Ś p i e w D z i e c i.



**Z**łączmy dłonie! stańmy wkoło!  
 Aby głos wdzięczności wznieść:  
**I** śpiewajmy dziś wesolo,  
 Matce dobrej tkliwą cześć.

\* \* \*

Niechaj żyje w późne lata!  
 Niech jej sprzyja szczęsny los  
**A** nam dozwol, Stworco świata,  
 Miły jej podnieść głos.

\* \* \*

Jak witają kwiatki słońce,  
 A słowiczek luby cień;  
**Przez** tkliwych uczuć tysiące,  
 Witamy twój błogi Dzień.

## Ś p i e w P r z y j a c i o ł.

Niech ci kwitnie w każdej chwili,  
 Pociach, i rozkoszy raj:  
 Niech przyjaźń życie umili;  
 Same jej słodczye znaj!

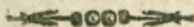
*Dwuśpiew.*

## Śpiew Dzieci.

Wdzięczne twoich dzieci grono,  
 Zawsze pragnie głos ten wznieść:  
 Przytul ich na tkliwe łono,  
 I przyjmij tę od nich cześć.

## Śpiew Przyjaciół.

Wdzięczne twych przyjaciół grono,  
 Zawsze pragnie głos ten wznieść,  
 Pieśnią sercem ożywioną,  
 Przyjmij tkliwą od nich cześć!



## ŻYCZENIE,

*w dniu imienin, ofiarowane J..... Z.....  
 od wdzięcznych uczenic.*

**G**dy wiosna, z lubości wonią,  
 Wraca na świat w dźwięku piosnek;  
 I dzieci swe pieści dłonią,  
 Pierwszy ją wita pierwiosnek.

I życie nowe się budzi;  
 Znać go w polach, w łące, w gaju;  
 Pod niebem, i w sercach ludzi;  
 Świat się zmienia w pobyt raj!

Czem przyroda z lubą wiosną,  
 Tem ty dla nas, Pani droga!  
 Ciesz się! twoje kwiaty rosną!  
 Ciesz się, bo nadzieja błoga!

• • •

Na łonie rodzin szczęśliwych  
 Kwitną wdzięczności ofiary,  
 Za tyle cerek cnotliwych:  
 Są to twoje! twoje dary!

• • •

Przyjm więc w hołdzie, na co stanie,  
 Uczuć nieśmiertelny kwiatek:  
 Ten ci niesiem na wiązanie,  
 Od wdzięcznych Ojcow, i Matek.

• • •

A po miłym serca biciu,  
 Po łzach, w których czucie pałał  
 Poznaj, żeś nam, w całym życiu,  
 Szczęściem, i chlubą się stała!

• • •

Jak ta chwila dla nas błoga!—  
 Tak złotych pociechy godzin,  
 Życzymy ci, Pani droga!  
 Nietylko w dniu imienin, lub twoich  
 urodzin.

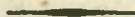


## SKĄPIEC.



Raz pełną złotą skrzynię skąpcowi zabrano:  
 Chce rwać włosy, lecz głowa goła, jak kolano:  
 Chce zgrzytać; ale w nocy wybił resztę zębów,  
 Kiedy chciał koniom odkraść ostatki otrębów.  
 Więc do rzekł!— a wrzeszczy, i świat w pień  
 przeklina.

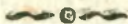
Mniemano, że mu śmierci wybiła godzina;  
 Każdy myślał: szalenciec pewno się utopi;  
 Lecz on wybrał z honorem postronek z konopi.



## NA NOWY ROK.



W każdej Nowego Roku godzinie,  
 Niechaj ci, Pani, zdroj szczęścia płynie.



## PRZEKŁAD MYŚLI HORACEGO.



*Si fractus illabatur orbis,  
 Impavidum ferient ruinae.*

Choćby na niego w gruzach upadał świat cały,  
 Nieustraszony i w tedy mąż stały.





Wyjątki z Dzieła dramatycznego  
Adolfa Mülnera, w czterech czę-  
ściach, pod tytułem:

MECZARNIE

S U M M I E N I A

(*Die Schuld.*)

z niemieckiego na język polski w ca-  
łości przełożonego.

---

---

O S O B Y.

---

**HUGON**, Hrabia Eryndur.

**ELWIRA**, jego żona.

**JERTA**, Hrabianka Eryndur, niezamężna.

**DON WALEROS**, Grand kastylski, kawaler  
złotego runa.

**OTTON**, syn Elwiry, z pierwszego małżeń-  
stwa, wnuk Don Walerosa.

**KOLBERT**, szatny }  
**BRUNON**, koniuszy } Hrabiego Hugona.

Kilku służących Hrabiego.

(Rzecz dzieje się na północnym brzegu  
połwyspu Skandynawii.)

---

## Część Pierwsza.

*(Sala północnego rycerskiego zamku Hrabiów,  
z wielu drzwiami, i oknami. Zegar bijący  
w głębi sali.)*

### ODDZIAŁ I.

E L W I R A

*(sama, w ręku ma arfę, na której dokończyła  
ostatnich tonów, zwolna ginących.)*

Jak ostatnie przedzwonią tony,  
 Które tej lutni strony,  
 Ręką dotknięte łagodnie,  
 Kołyszą swobodnie;  
 Jak czystej wody drżące zwierciadła,  
 Gdy na nie kropelka spadła,  
 Szerzą się, i szerzą dalej,  
 Lecz w słabszej coraz pierścieni fali;  
 Aż do kwiecistych brzegów nadpłynię,  
 I cicho ostatni zginie;  
 Tak we mnie dzisiaj powstało życzenie;  
 Ażeby w lepsze życie przeszło dni mych  
 brzmienie.  
 Daleką od Ojcow ziemi,  
 W te dzikiej burzy siedliska porwaną,  
 I w nich więzy silnemi,  
 Więzy miłości związaną,

Kiedyż nareście przeznaczenia dłonie,  
Lekko wzniosą, i stawią na spoczynku łonie.

*(Głowę opierając na arfie, odpoczywa przez chwilę: strona pęka. Elwira z bojaźnią się zrywa, arfa upada na ziemię.)*

Ach! wielki Boże!

*(Usiłuje być sobie przytomną.)*

Czegoż się trwożę?

Strona pękła niespodzianie:

I nic więcej: a wszakże to nieraz się stanie.

Trwoga moja proźna,

Nic z tego wnosić nie można.

Dla czegoż cała drzę jeszcze?

Czemu mi włosy powstają?

I z szybkością przebiegają,

Członki moje zimne dreszcze?

Czy się samotności boję?

Czy mnie trwożą cienie zmroku,

Ktore, kiedy mnie ogarnęła żalność,

Nieznacznie mojemu oku,

Zakryły dnia białość?

Albo czy zerwanie strony

Oznaczało odpowiedź na pytanie moje?

Ach! jakąż zgrozą umysł przepelniony!

To brzmienie, te fale,

Są wiernym życia obrazem.  
 Lecz bałwan, co na skał ścianach,  
 W burzy rozpryska się w pianach,  
 Ta fala, co przy świetle księżyca promyka,  
 Na zwierciadle wody znika;  
 I łoskot zerwanej strony;  
 I mile lutni tony,  
 Których się z wolna ucisza brzmienie,  
 Mogą z upadkiem ludzi mieć bliskie znaczenie.

*(Domysłem przerażona.)*

Ach! gdyby Hugon—

*(Dzwoni długo, i mocno. Służący wchodzi.)*

Czy do tej chwili  
 Strzelcy jeszcze nie wrocili?

S Z U Ż A C Y.

Nie, pani.

E L W I R A.

Wysłać kogo z zamkowych na koniu:  
 Jeżeli ich spostrzeże na dalekiem błoniu,  
 Niechaj mi o tem zrobi doniesienie.

*(Służący odchodzi.)*

## ODDZIAŁ II.

E L W I R A. J E R T A.

(Jerta wchodzi innemi drzwiami, służący postępują za nią.)

J E R T A.

Coż ci, Elwiro? jesteś pomieszana?

E L W I R A.

Nic.

J E R T A.

Światła prędczej! skądże ta odmiana!  
Skądże to mocne dzwonienie?  
Tyś przelękniona? widzę po tobie;  
I lutnia na ziemi leży?

(Uśmiechając się.)

Także to już wcześniej, bo w zmierzchu go-  
dzinie,  
W myśli o umarłych stałość twoja ginie?

E L W I R A.

Gdybym domysły nierozważnie snuła,  
Mogłabyś mi darować, jako siostra czuła;  
Nie wraca z łowow mąż drogi,  
O jego życie doznaję trwogi.

## J E R T A.

Czyliż to dzisiaj pierwszy raz dopiero  
 Mąż twój na łowach, kochana Elwiro?  
 W Hiszpanji stroniż od nich żonaty mężczyzna?

## E L W I R A

Ach! tam jest miłych wietrzyków ojczyzna,  
 Tam pola, jakby rozkoszne sady,  
 Tam, w cieniu gajów oliwnych gęstwiny,  
 Krzyżują się kręte ślady  
 Dzikiej zwierzyny.  
 Łagodniejsze kraju zwyczaje  
 Nawet i lasów głębia poznać daje:  
 Tam polowanie rozrywkę sprawia,  
 Tu na przygodę wystawia;  
 Tu w dzikiej waszej krainie,  
 Jest wojną, jest walką, gdzie wzajem krew  
 płynie.  
 Tam, gdzie orzeł rozbijały,  
 Okrąża śnieżny szczyt skały,  
 Strzelec, kiedy go noc jodeł osłoni,  
 Ufając stalistej broni,  
 Rozjadły, chciwy łupu, niedzwiedzia wyzywa,  
 Puszcza grom, chybia, a zwierz go rozrywa.  
 Tak małej u was życie jest ceny.  
 A gdy się zbłąka dysząc za zdobyczą,  
 Wilki, północne hijeny,  
 Wprzepaściach ryczą.

Pod jego błędnemi stopy  
 Nagle ziewają rozkopy,  
 Z hukiem piorunu, w nieścignionym biegu,  
 Lecą gory śniegu,  
 Ich pędu siła grzmiąca,  
 Strzelca z sobą w przepaść wtrąca.  
 Powiedz mi, Jerto, czy próżną mam trwozę  
 I czy o męża spokojną być mogę?

## J E R T A.

Mężczyzna żyje dla przygod, i chwały;  
 A my żyjemy, abysmy kochały:  
 Tu zaś kochamy siłę, i sławę,  
 Nabytą przez dzieła krwawe,  
 W pośród łowow, i w pośród bojow błyska-  
 wicy. (Z uśmiechem.)

Mężko myślącej północnej dziewicy  
 Czoła nie zachmurzy trwoga:  
 Dla niej jest pociecha błoga,  
 W naddziadów wiekach sędziwych:  
 Z murów zapadłych, tajemna opieka,  
 Siostr przeszłości życzliwych,  
 Strzeże lubego strzelca, gdy się zbyt zacieka.  
 Tu tylko potrzeba wiary!

## E L W I R A.

Ach! ty nie wiesz!—



J E R T A (ciagle mowiac.)

Pewne czary

Hugonowi dobrze znane,  
 Ostrzegają go, aby unikał przygody.  
 Dla tego w dni pamięcią nieszczęść zapisane,  
 Dziewica, mając pewne dowody,  
 Lubemu łowów zabrania;  
 Bo ją do tego skłania  
 Duchow napomnienie,  
 Że ten dzień wroży smutne zdarzenie.

(Elwira wzdryga się.)

Ty drżysz?

E L W I R A.

Nim bojaźń usprawiedliwię,  
 Urągaj się ze mnie, lecz słuchaj cierpliwie.  
 Siedzę w zmroku, zamyślona,  
 Lutnia ostatni odgłos wydała,  
 W grobowych, czarnych myślach pograżam  
 się cała;

Wtym niedotknięta od ręki,  
 Wydając chrapliwe brzęki,  
 Przeraźliwie pękła strona!  
 Były to właśnie tak smutne tony,  
 Jakie w powietrzu trafiony,

Pyszny król ptaków, chrząszcząc, wyża jęki,  
 A potym słyhać było głos taki stłumiony,  
 Jak ponure dźwięki słow drżących,  
 Ludzi konających.—

J E R T A      (spokojnie.)

Połnocnych duchow nieznanec są dzieje.  
 Tam za waszemi Pirenejami,  
 Z wysokości niedościgłych okiem,  
 Gdzie przepaść razi okropnym widokiem,  
 Gdzie przyszłość wątpliwa  
 Poczęta bywa,  
 Może cię głaskać lutni podzwiek miły!  
 Lecz tu, gdzie mroźne świszczą zawieruchy,  
 Inaczej tajne przemawiają duchy.—  
 Wprzestrzeń komina ciasną,  
 Wyje wicher z całej siły;  
 Drzwi pękają z trzaskiem,  
 Wszystkie światła gasną.  
 Przychylny bocian odlata z wrzaskiem;  
 Pęka po belce belka.  
 Nie jedna sowa, jak orzeł, wielka,  
 Dzwoni przeraźliwemi po oknach łaskoty;  
 Czarne w kominie skry pryskają koty;  
 Chmura małych, błękitnych, zielonych sza-  
 tanow,  
 Tańczy wśród ognia tumanow.

Czy nie słyszałaś sowy przychylnego  
 hasła,  
 Jak przeraźliwie: Hugo! Hugo! wrzasła?  
 Niechaj cię zatym troskliwość ominie,  
 Hugon nie zginie.

E L W I R A.

Jerto!— Lecz ty mi jesteś życzliwą,  
 Ty chcesz moje zbląkane uspokoić zmysły,  
 I poskromić krew burzliwą:  
 Oby to były tylko domysły!—

J E R T A.

Coż innego?

E L W I R A.

Te, które oddawna minęły,  
 Boleści duszę moję nanowo przejęły;  
 Obawa serce zwycięża;  
 Na łowach straciłam męża,  
 Karola, Ojca Ottona mego.—

J E R T A.

Na łowach?

E L W I R A.

Rumak pod nim się zwinął,  
 On nieszczęśliwie padł z niego,  
 I od wystrzału własnej broni zginął.—

J E R T A.

Więc mojej wesołości przebacz, siostró miła!  
Czemużeś to przede mną tak długo taita?

E L W I R A.

Twojego brata niezmiernie dotyka,  
Gdy kto nadmieni okropne zdarzenie.  
Był przyjacielem wielkim nieboszczyka;  
I mąż moj jemu winien życia ocalenie;  
Przez dług wdzięczności, chociaż różnili się  
krajem,  
Więcej, jak bracia, kochali się wzajem.

J E R T A.

Czy za życia Karola poznałaś Hugona?

E L W I R A (pomieszana.)

Tak— nie—

J E R T A.

Więc mi przez ciebie wolność zostawiona,  
Wybrać między *tak* i *nie*. Przyjaciółmi byli,  
Przeto znać go musiałaś?

E L W I R A.

Ja—

(Przymusza się patrzeć na Jertę.)

Siostró kochana!  
Twoja dusza niezmazana

Wyda na mnie wyrok srogi.  
 Jednak, pomimo trwogi,  
 Wyjawić muszę cierpień mych początek.  
 Dni Karola snuł się wątek;  
 A ja Hugona, tak— ja go już znałam,—  
 I już kochałam.—

*(Odwraca się; Jerta odchodzi od niej, z pewną przykrością; po chwili mowi Elwira.)*

E L W I R A .

Dla tego drzę cała w duszy,  
 Gdy wiatr wieczorny liściem poruszy.  
 Bog (tem się zwodzę,) dał mi Hugona;  
 Lecz z ostrym mieczem zemsta zawieszona,  
 Czycha nad wyrodną,  
 Ktorej dusza, dzikością natchniona,  
 Wyroki uprzedzić śmiała.  
 Elwira wiecznie trwogi nie pokona;  
 Że nagle korzyść utracić musiała,  
 Ktorej nie była godną.

J E R T A

*(Powraca, i patrzy na Elwirę, z politowaniem.)*

Żeś z twojej spokojności zrobiła ofiarę,  
 Przyjmij w pokorze tę karę.  
 Lecz ty kochasz Hugona, a on siostrze drogi;

Ja ciebie nie potępię, nie miej żadnej trwogi.

(Ściskają się, i przystępują do okien: słychać szum wichru, coraz mocniejszy.)

E L W I R A      (z utęsznieniem)

Wiatr się budzi na brzegach, i powietrze porze,

Zdala grzmi północne morze,

Gwiazdy pogasty u góry,

Z ciemnego niebios czola,

Pędzą z wichrem śniegu chmury,

Wydmuch je kręci do koła,

Przyprusza niemi skością ziemię;

Jak piaski w pustyni;

A jak śmiertelników plemię

Kryją mogiły,

Takie pagorki martwy ład pokryły.

(*Odchodzi od okna.*)

Zda mi się, że koło mnie szumi sęp skrzydłami:

Ach! Jerto, Jerto, naucz mnie, jak mogę  
Stłumić o Hugona trwogę.

J E R T A.

Przestań się temi dręczyć myślami!

Łowców śmiałe orszaki,  
 Których unoszą rosłe północy rumaki,  
 Nawykłe życie pędzić w niewczasach,  
 W znajomych sobie nie zginą lasach.  
 Gdy chmury gwiazd połyski zagaszą na  
     niebie,  
 Wtedy, jakoby przyjazne potrzebie,  
 W miękkich płatkow postaci, światło się o-  
     puszcza,  
 I niem skalista rozjaśnia się puszcza:  
 Zowią je światłem śniegu; wy w ciepłym  
     klimacie  
 Wcale go nie znacie.

*(Słychać niewyraźny, i daleki odgłos wrzawy  
 polowania, i szczekanie ogarów, później odzy-  
 wają się trąby myśliwskie.)*

E L W I R A      *(przy oknie.)*

Jerto! czy ty nie słyszysz? mnie się tak wy-  
     daje,  
 Jakby szczekiem ogarów brzmiały bliskie gajeł

J R R T A      *(zbliża się)*

Nie, to raczej brzmiały rogi.  
 Słuchaj! tak się zwoluja strzelcy rozproszeni;  
 Mając powracać w domowe progi.

*(Z radością, odchodząc od okna.)*

Zbliża się!

J E R T A      *(w oknie.)*

Jechał naprzód, jak mi się wydało;  
Bo na dworcu zamkowym głośno zatętniało.

E L W I R A .

Ach! dzięki Niebu!— z takim upragnieniem,  
Z takim serca drżeniem,  
Czekam jego powitań, jak czuła kochanka,  
Choć go od dzisiejszego nie widzę poranka.

J E R T A .

*(Wołą do pobocznego pokoju.)*

Pośpieszaj do mnie, kochany Ottonie!

O T T O N      *(w pokoju.)*

Zaraz, zaraz.

J E R T A      *(we drzwiach)*

Śpiesz się; obrazki tymczasem  
Możesz położyć na stronie.  
Pojdź, twój Ojciec powraca, znużony nie-  
wczasem,



A z nim dziki Duńczyk wrony,  
Duńczyk jego ulubiony.

(W oddziale trzecim, czwartym, i piątym, dowiadujemy się, o przybyciu znamienitego Hiszpana, który, jak się później wykrywa, jest Ojcem Hugona, męża Elwiry.)

## ODDZIAŁ VI.

E L W I R A. J E R T A.

E L W I R A (niespokojna)

Jerto, nie mogę zglębić przyczyny,  
Po co odwiedza te kraje?

J E R T A

(w patrując się w Elwirę, przez czas niejaki.)

To niespodziane gościa przybycie,  
Z kraju, gdzie brat mój długo pędził życie,  
I skąd nareście, w te strony,  
Udał się, w towarzystwie żony,  
Nie tyle go zadziwi, jak ciebie zatrważa.

E L W I R A.

A mnie się tak wyobraża,  
Mimo chwilowych omamień,  
Ze na sercu mojem kamień.

J E R T A.

Czyli to wydarzenie grozi jaką trwogą,  
Dla Elwiry powody nietajne być mogą,  
Ja tylko jedno wiem —

E L W I R A.

Jedno? — i coż takiego?

J E R T A.

Ze z hiszpańskich ziem,  
Dobrego ty i Hugon usłyszycie mało,  
Choć się wam je nad inne wynieść podobało.

E L W I R A.

Jak rozumieć te słowa?

J E R T A.

Z ślachtetną postawą,  
Na północy wychowany,  
Pyszny, jak jodli naszego klimatu,  
(Choć inna ziemia dała życie bratu,)  
Zdawał się wcześniej wybrany,  
Być mężow sławą,  
Mężow północy zaszczytem;  
A jakie niebo z jasnym błękitem,  
Taką i w oczach jego czysta dusza była,  
Która ku sobie wszystkich zniewoliła.

Liczne jego pochwały,  
 W ustach mężow brzmiały:  
 Zgodnie mówili: wojownik wsławiony!  
 On sam godny wspierać trony.  
 A dziewice w milczeniu już wieńce mirtowe,  
 Z tajem westchnieniem splatały,  
 Na zwycięzcy głowę.

ELWIRA (z żywością)

Takim był młodzian przybyły,  
 W obcej krainie, a jednak miły.  
 Na złotych Ebru bioniach, jak Apollo władał;  
 Lecz tam spokojność postradał.  
 Z jaką duszą rozognioną  
 Zajął się mą obroną!  
 O sestro! jakąż czuję przychylność ku tobie.

(Ściska Jertę.)

JERTA (z powagą)

Złe czynisz; niechaj błąd cię nie mami;  
 My jesteśmy rywalkami.

ELWIRA (zdumiona)

Siestro!

JERTA.

Ja tylko jestem obawą dręczona,

Że może sama pragniesz ubostwiać Hugona.

(Z uczuciem.)

Ja go kocham duszą całą,  
 Jak się tam kocha w światłości krainie!  
 Ażeby ci do szczęścia w niczem nie zbywało,  
 Przywłaszczyłaś go sobie, i sobie jedynie.  
 Ja pragnę, aby błogo prowadził dni swoje;  
 Lecz, że nie jest szczęśliwym, domyślać się  
 boję.

E L W I R A.

Co mówisz? on jest moim! jeżeli dla mnie  
 tkliwy,  
 Musi być szczęśliwy.

J E R T A

(z uśmiechem ubolewania, i z poruszeniem  
 głowy przeczącem.)

Wdzięcznie śpiewając, ciągnie łabędź biały,  
 Z mroźnych okolic, w kraje, gdzie upały,  
 Piers jego pokoj ożywia głęboki,  
 W locie swobodnym pamięja obtoki:  
 A kiedy miłsza zabłyśnie pora,  
 Śpiewając znowu przybywa,  
 A jego śnieżne piora,  
 Białość jaśniejsza pokrywa.

Nie tak z Hugonem: i on się oddala,  
 Żaglami jego łodzi wiatry powiewały,  
 W państwie wod modra kołysze go fala,  
 Wesoly, jak labędź biały,  
 Silny, jak orzeł młody;  
 Lecz nie takim, jak Ojcow opuścił siedliska,  
 Wrocil w ojczyste zagrody,  
 Do rodzinnego ogniska.  
 Te, ktore twoje serce rozdzierają,  
 Dzikich namiejętności burze nim miotają,  
 I trując spokojność waszą,  
 Sił jego pochodnie gaszą.  
 Jego w skrytości pogrążona dusza,  
 Co go tylko do dzikiej uciechy przymusza,  
 To lęklive, to posępne wejrzenie,  
 Ktore, kiedy się z okiem twojem,  
 O siostró, spotyka,  
 Właśnie tak znika,  
 Jak w płomieniach płomienie,  
 Swiadczy, że szczęścia nigdzie nie znajduję!  
 Szczęście jest zawsze złączone z pokojem.

E L W I R A.

Krew moja wnętrznym gorejąca bojem,  
 Jawnym dowodem, jak tę prawdę czuję.  
 O duszo czysta! pospiesz nam w obronie,  
 I ugaś nasze pożary!  
 Lecz milcz, jeżeliś do tej niezdolna ofiary,

Niech płomień płomień pochłonie!

*(Chce odejść, Kolbert wchodzi naprzeciwko niej.)*

Coż się stało?

## ODDZIAŁ VII.

DAWNÍ. KOLBERT.

KOLBERT.

Ow goniec, na zwiady wysłany,  
Już powrócił.

ELWIRA *(wesóło.)*

A mąż moj?

KOLBERT.

Pan nie był widziany,

ELWIRA

*(w największej trwodze.)*

Boże!

JERTA *(z naleganiem.)*

Co? niewidziany!

K O L B E R T.

Już mija godzina,  
 Odkąd czeka na niego myśliwcow drużyna.  
 Z gor wszystkich odgłos trąb głuży,  
 A Hrabia nie przybywa, ni jego koniuszy.

J E R T A.

Niechaj zabłysną pochodnie,  
 Rozesłać ludzi zamkowych,  
 Rozesłać wszystkich domowych,  
 Wszystkich niezawodnie,  
 Oprócz potrzebnych do pilnej usługi,  
 Wyprowadzić wszystkie cugi,  
 Wszystkie rumaki Hrabiego,  
 I dla mnie jednego.

E L W I R A.

Siostro! i tybyś chciała?—

J E R T A.

Wiesz, że tam Jerta działa,  
 Gdzie trwoga ciebie przenika,  
 Służący niedbali  
 Ulżają sobie chętnie roboty,  
 Kiedy nie czują nad sobą zwierzchnika,  
 Coby ich zmusił, aby z ochoty,  
 Swą powinność wypełniali.

E L W I R A.

I ja chcę z tobą!

J E R T A.

Dziś pora burzliwa,  
 Na taką niepogodę jesteś bardzo tkliwa;  
 Ja nawet sama, w tę drogę,  
 Bez ostrożności udać się nie mogę.

*(Wchodzi do bocznego pokoju.)*

E L W I R A

*(po krótkim milczeniu.)*

Niestety! mnie w bojaźni niepewność dokona,  
 Nim się dowiem naręście,  
 Czy mnie dosięgło nieszczęście,  
 Które ta złowieszcza strona—

*(Słychać bliskie, i wesole trąbienie,  
 powracających myśliwców.)*

Jerto! czy ty nie słyszysz, jak chrapliwe rogi  
 Słychać przed bramą? Chociaż burza wyje,  
 Ten odgłos o uszy bije:  
 Hrabia powraca do zamku!

J E R T A

*(wychodząc.)*

Tym lepiej.



## ODDZIAŁ VIII.

D A W N I B R U N O N .

B R U N O N .

Łaskawe panie!

Mam to oznajmić uprzejmie,  
 Ześmy z Irabią wrocili, i wkrótce tu stanie.

E L W I R A .

Czemu nie zaraz?

B R U N O N .

Po takim znoju,  
 Musiał najpierwej zboczyć, do swego pokoju.

E L W I R A .

Nie do mnie?

B R U N O N .

Tam on suknie krwią zbroszone zdejmie,  
 Jakże się miał tak udać, do siostry, i żony?

E L W I R A (z bojaźnią.)

O Nieba! on krwią zbroszony?

B R U N O N .

Niechaj to pani.

Serca nie rani,  
Jest to pot dzika.

E L W I R A .

*(Spokojna występuje naprzód widowni: Brunon idzie za nią kilka kroków.)*

O pani kochana! gdybyś tam była,  
Jakżebyś się napatrzyła!

J E R T A .

Czego mówisz?

B R U N O N      *(Do Jerty)*

Na dzika, i naszego pana:  
Nasz Tygrys jego wywietrzył ślaki.  
Jeszcze dość czasu, mowi, to jest, Hrabia  
mowi,

Dopiero słońce ku zachodowi:  
A tak znowu, w imie Boże!  
Bez rogu, który oddał, i bez broni,  
Pędzimy przez ciernie, i krzaki,  
I gęstej puszczy bezdroże.  
Gdy godzina upłynęła,  
Już się z nim sprawa zaczęła.  
Hussa! Hrabia woła żwawo;  
Psy, jak lwy, na niego wpadły;  
Ale, i w lewo i w prawo,

W śnieg je rzucił zwierz zajadły.  
 Hrabia na niego naciera z dzidą;  
 Ale biegun stanął dębem,  
 Widząc jak psom rzeczy idą,  
 Jak się w zaspie wiją kłębem.  
 A więc z konia! — nim zeskokczył,  
 Już przy sobie dzika zoczył.

*(Elwira słucha go odtąd z bojaźnią)*

Mocnego stanowiska nie miał Hrabia jeszcze;  
 Potwor okropnie się rzucił,  
 Za drugim razem przeszły mnie dreszcze!  
 Ale nim się zwierz odwrócił,  
 Pan, którego wściekłość, jak dzika, zapala,  
 Na zajadłego zwierza,  
 Z pięściami uderza,  
 I na ziemię go powala. —  
 I ja gnuśnym nie byłem,  
 Na kałdun mu wskoczyłem:  
 Pan w nim kordelas utopił,  
 I tak mu długo pchał noż do paszczęki;  
 Aż z chrapliwemi jęki,  
 Ostatnim potem śnieg skropił:  
 On już wtedy był skościały, —  
 Ale w nas ognie pałały.

*(Elwira odwraca się ze zgrozą.)*

Dzika rozkosz!

BRUNON.

Myśmy go w boru zostawili;  
Ale wszystko po niego ruszyło wtej chwili.  
Dziś jeszcze moje panie,  
Tę bestyją przywłoką sanie.

JERTA.

Mow panu, żeby dał znać, gdy będzie ubrany.

BRUNON.

Oznajmę.

*(Odchodzi.)*

## ODDZIAŁ IX.

JERTA. ELWIRA.

*(Mocno uderzona, opowiadaniem Brunona,  
opiera się o krzesło.)*

JERTA.

Coż ci jest, siostrze? twój wzrok obłąkany?

ELWIRA.

To okropnej rzezi opisanie,  
Było tak żywe,  
I tak prawdziwe,  
Jakbym patrzyła na nie.

JERZA.

Przestań się trwożyć, nie wierz przesadzie;  
 Gdy kto z innemi ścinał krzew skromny,  
 To dzieło swoje najwyżej kładzie,  
 I radby z krzewu zrobić dąb ogromny.

ELWIRA.

*(Jakby w marzeniu, wzdychając.)*

Ach! on drapieżną potworą!

JERZA *(sądziwiona.)*

Kto!

ELWIRA.

Hugon.

JERZA.

Czy ty marzysz?

ELWIRA.

Sen, co nocną porą,  
 Przeraził mnie okropnie, po dniu ślubu pier-  
 wszym,  
 Powtarza się mej duszy, w obrazie najszczer-  
 szym.

Zdawało mi się, że widzę Hugona;  
 Wtym mnie przeraża spojrzenie tygrysie:

Nie mogłam go opuścić, chociaż zatrwożona:  
 Gdy ci to w wiernym udzielam opisie,  
 Ogniem goreję cała:  
 Przebog! jam mu całowała,  
 Pazury mordem zjuszone,  
 I zęby krwią ubrozone;  
 A on. —

*(Wstrzymuje się, zmordowana myślami.)*

J E R T O .

Krwi zapalonej obrazyl

E L W I R A .

Achl im nie zbywa na wierzel  
 Powiedz mi, Jerto, powiedz mi szczerze,  
 (Na twój rozsądek to zdaję),  
 Czy się on śmielszym, jak dawniej, nie staje!  
 I dzikszym po tysiąc razy?  
 Gdy się chce ze mną pieścić, zgroza mnie  
 ogarnie:  
 Padam w jego objęcie, lecz muszę się  
 wzdrygać.  
 Tego tygrysa trzeba, albo wzgardą ścigać,  
 Lub czuć dla niego miłości męczarnie.  
 Jeżeli spocznie, na mojem ramieniu,  
 Jeżeli z tęsknotą wzdycha;  
 Coś mnie od niego odpycha,  
 Blyskiem okropnym razi w spojrzeniu:

Jakby mnie piorun ugodził, drzę cała:  
 A mąż, ktoregom wybrała,  
 Zdaje mi się powtorą, co wściekłość wywiera,  
 Co mnie kocha, i rozdziera.

*(Po chwili, tonem powagi.)*

Dziewico! niech cię Nieba łaskawe ustrzeżę,  
 Od ognia serce moje zjadle szarpiącego,  
 Co mnie odtrąca, i ku niemu skłania!

*(Odchodzi.)*

J E R T A

*(patrzac za nią.)*

Takież to są męczarnie, ktoreście przewali,  
 W ciepłych krainach, lubością kochania!

*(Głęboko wzruszona.)*

Ach! bodajbyście nigdy Hugona nie znaleli!

*Koniec Części Pierwszej.*

## Część Druga.

*(Pokoj Hugona z podwojami.)*

## ODDZIAŁ I.

*(Hugon w bogatym ubiorze domowym, wypoczywa na sofie. Na stole widać świece, które się już dopalają. Po kilku chwilach nadchodzi Jerta.)*

J E R T A.

**D**ziki strzelcze, i w pocie wracający z łewu,  
Możnaż cię oglądać znowu?

H U G O N      *(niewstając.)*

Tak, można, jestem bez plamy.

J E R T A.

Lecz, zdaje się, znużonym ciebie oglądamy.

H U G O N.

Tak — z łaski Boga! tylko ciało samo,  
Jest równowagi duszy wieczną tamą,  
I obawy, i żądzy naucza ją ciało.  
Łowami się zajmuję, życząc sobie znoju,  
A kiedy jest znużony, doznaję pokoju.



J E R T A

*(pokazuje na serce.)*

Ach! serce twoje zawsze pokoj miało.

H U G O N.

Kiedys! być mogło — kiedys! —

*(Gubi się w myślach, i mówi, po znacznym upływie czasu, jakby zapomniał, że Jerta jest przy nim.)*

Oby śmiertelnicy

Tego doszli! —

J E R T A.

Mów, czego?

H U G O N.

Nic! — Tej tajemnicy,

Czyby nie można, przez jakie sposoby,

Na dziś zamienić, wczorajszej doby.

Kiedys na teraz, niczem zrobić teraz.

Niczem! —

*(Po znacznym przeciągu czasu.)*

A gdzie Elwira? czemu się spóźniła?

J E R T A.

Ona jest — chcę mówić, była —

H U G O N      (przerywając)

Zważ tylko! jest, i była — i coż to ma znaczyć?

Chciej mi wytłumaczyć.

Niegdyś, i teraz, i dziś, i wczora?

Niegdyś jaśniała pomyślniejsza pora:

Kiedym powracał, pamiętam, jak nieraz,

Gdy mnie spostrzegła,

Z radością wybiegła.

A dziś —

J E R T A.

Hugonie, krzywdzisz żonę wierną,

Ona się trwogą dręczyła niezmierną,

Gdy noc spóźniona osiadła na niebie,

A widać nie było ciebie.

H U G O N.

A wszakże powrociłem, czemuż nie przy-  
bywa?

Czy jeszcze tęschni?

J E R T A.

Dusza jej tkliwa

Głęboko była wzruszona,  
Żywą powieścią Brunona.

HUGON (zamyślony.)

Jaką powieścią?

J E R T A.

Jak cię dzik powabił,  
Jakoś go przemógł, i zabił,  
Podobny do bohatera,  
Co lwa własnymi rękami rozdziera.

HUGON (wstając.)

Brunon jest głupiec, i wielomowny!  
To nie nie było, zły los tak mną władał,  
Żem się stał trochę gwałtowny,  
I żem mu nieco przykrości zadał.  
Wprawdzie mi to niemiło:  
Niebezpieczeństwa nie było;  
Ale ta historja cała,  
Dla Elwiry się nie zdała.

J E R T A.

Tak sędzę; bo gdy skończył Brunon, miała  
postać,  
Jak ow człowiek umarły,  
Ktoremu się w skonaniu oczy nie zawarły;  
Ani się mogła na nogach ostać:

Drapieżnej potwory dała ci nazwisko;  
Zacząła mi powiadać, jak straszne zjawisko,  
We śnie, po ślubnym związku, strwożyło jej  
duszę.

*(Hugon chce odejść.)*

Ty się oddalasz?

H U G O N

Iść do niej muszę:

Jeżeli jej serce mnie się wyrzeka,  
Zawrę z niemi nowe ślubow przymierze;  
Tylko gdy jestem od żony zdaleka,  
Nienawiść gorę w jej umyśle bierze.

J E R T A.

Dozwol jej czasu, niech się upamięta,  
Siostrę, która dla ciebie miłością przejęta,  
Troskliwą Jertę uspokoj,  
Powiedz, co miesza twój pokój?  
W oczach waszych radosne widać upojenie,  
I w nich wzajemne palają płomienie;  
Tkliwemu związkowi, co wam tyle miły,  
Ręce kapłana błogosławiły.—

H U G O N *(do siebie.)*

Tak, ale nie Bog w Niebie!

## J E R T A.

Sere związek ślachtetny,  
 Nie zostanie bezdzietny!  
 Ale powiedzcie, co was od siebie,  
 Tak bez wytchnienia oddala,  
 Jak dwa jednego pana okręty,  
 Ktore na głębi morza rzuca wściekła fala,  
 Potym tłucze o siebie, i wtrąca w odmęty.

## H U G O N

Alboż ja wiem, dla czego? Mnie na myśl  
 przychodzi,  
 Ze północy z południem łączyć się nie godzi:  
 Dwa te bieguny są w jednym względzie,  
 Ale je wiecznie oś dzielić będzie.  
 Jeżeli tajemną popędu władzą,  
 Dzielnie ujęta oś w pierścien się zgięła,  
 Ku biegunowi biegun pociągnęła;  
 Niech sobie silne objęcia podadzą.  
 Lecz oba końce tego pierścienia,  
 Dążą ustawnie do rozłączenia,  
 Jak luk ze stali, wyprężony siłą,  
 I to rozejść się pragnie, co spojone było.

## J E R T A.

Aby wyjaśnić tę mowę zawilą,  
 Te myśli wątpliwe, i sprzeczne,

Do tego podobieństwo nie jest dostateczne.

HUGON.

Tyle tylko ode mnie usłyszysz, dziewico.  
 Sam dla siebie głęboką jestem tajemnicą:  
 W tamtych stronach urodzony,  
 W tych się wychowałem,  
 Lecz i te, i tamte strony,  
 Stały się dla mnie obcemi.  
 Obcy korzeń dla tej ziemi,  
 Obcy wierzchołek powietrzu tamtemu,  
 Połnocą u pnia zziębiony,  
 W liściu rozognion południa upałem,  
 Oboje przyswoilem jestestwu mojemu,  
 I otrętwiałość, i pożogę wściekłą,  
 Ziemię, i Niebo — *(Przytłumionym głosem.)*  
 Niebo! i piekło!

JERTA.

O dzikie! senne marzenia!  
 I któż ci tego nie przyzna,  
 Żeś w Hiszpanii ujrzał pierwszą słońca jasność?  
 Ale któż nam obojgu wydrze świętą własność,  
 Ze nie północ ojczyzna,  
 Bohatyrskiego naszych Rodziców plemienia?

HUGON *(z pospiechem.)*

Twoich, ale nie moich.

J E R T A

Co mówisz, Hugonie?

H U G O N

*(Miarkuje się, że za wiele powiedział, potym  
mowi spokojnie.)*

Nie ma potrzeby ukrycia:

Tę prawdę dziś ci odsłonię.

Wyznał mi ją twój Ojciec, kiedy ranny w boju,  
Po trzechdniowem cierpieniu, bez nadziei  
życia,

Za wojskiem, które pochod odbywało,

Z tryjumu zwycięzców chwałą,

Na mojem ręku zasnął w pokoju.

J E R T A.

Czegoż się dowie Jerta nieszczęśliwa?

H U G O N.

Tego, że mylnie bratem mnie nazywa.

J E R T A

*(Zasłaniając twarz, upada na krzesło.)*

Biada mnie! biada! *(Zrywa się nagle.)*

Przebog! czemuś nie mym bratem?

HUGON.

Co czynisz?

JERTA (przymuszając się)

Nic— Mow dalej!

HUGON.

Posłuchaj mnie zatem.

Edwin, twój Ojciec dostojny,  
 Zwany że sławnym przydomkiem,  
 Hrabiego Eryndura,  
 Syt chwały, i trudów wojny,  
 Był swego rodu ostatnim potomkiem,  
 Szablą, i w zbroi nabyte,  
 Dzierżył lenności, w kraju znamienite.  
 Ale zbyt skąpa natura,  
 Zdawało się zabraniać, by następca prawy,  
 Objął i własność jego, i dziedzictwo sławy:  
 Nadzieja wręście krzepić go zaczyna;  
 Lecz rozwiązania bliska Hrabina,  
 Swoją słabością trwoży go nie mało,  
 Że owoc złamie drzewiną schorzałą;  
 Wcześniej się do lekarzy o pomoc udaje,  
 Ci ustnie, i na piśmie, jedno zdanie mieli,  
 Aby do pirenejskich jechała kąpieli,  
 Pod łagodniejsze niebo, i w cieplejsze kraje.  
 Ale tej pani rodzeństwo,



Z różnowiecznym tronem,  
 (Jak go tam zowią), było połączonem;  
 Groziło jawnie niebezpieczeństwo,  
 W kraju, gdzie kościół rzymski ma siedzisko,  
 Własne zatrzymać nazwisko.

Gdy ta niepewność wszystkich zatrudnia,  
 Dom katolicki, z Giermanow plemienia,  
 Pomógł jej wybrnąć z tego położenia;  
 I stąd Hrabiny synowi,  
 Który świat ujrzał w klimacie południa,  
 Aby pamięć ofiary była uwieczniona,  
 Dano giermańskie imię Hugona.

Pożyczone z mazołem dni życia Hrabiny,  
 Równie jak słabej dzieciny,  
 Długo jej jeszcze wzbraniały,  
 Powrotu w rodzinne progi.

Edwin tym czasem w bojach dobijał się  
 chwały,

I późno swoim ziomkom nadał pokój błogi.  
 Do trzech lat go wstrzymała rycerska po-  
 trzeba,

Nim mu wreszcie łaskawe pozwoliły Nieba,  
 Znowu oglądać lubą rodzinę,  
 I spełnić kielich radości.

Hanna, (to imię Matka twoja miała),  
 Najżywszą chęcią pałała,

Dziecię, które jaśniało, jak kwiat w rozwi-  
 nięciu,

Złożyć w ojcowskiem objęciu;  
 Ale inaczej mieć chciało,  
 Odwiecznego przeznaczenie;  
 Szczęście, skarb Ojca, martwe syna ciało,  
 Złożyć musiała w śmiertelne odzienie.

J E R T A      (mocno wzruszona.)

O Matko nieszczęśliwa! Matko nieszczęśliwa!

H U G O N.

Szczęśliwsza na ofiarę dla niej się zdobywa,  
 Byle tylko nie Edwin, lecz ona płakała:  
 Czyn nadzwyczajny został dokonany;  
 Jej przyjaciółka, ze sławnego domu,  
 Ktorem się chlubią mężne Kastyllany,  
 Strapionej daje syna, co miał równe lata,  
 Aby się Matce twojej ulżyła ta strata;  
 Lecz aby jej imienia nie wydano komu,  
 Przysięgą Hanneę zobowiązała.

J E R T A.

Ach! czy podobna dać wiarę?  
 Matka się nie wzdrygnęła zrobić tę ofiarę?

H U G O N.      (ponuro.)

Tak, moja Matka zdobyła się na nią.  
 Ja to jestem tym synem, z kastylskiego  
 rodu;

Ale niemając dowodu,  
Nazwać go nigdy nie byłem w stanie.

J E R T O .

Obym go nigdy w życiu nie odkryła!  
Nigdy, bo taka Matka w nim była!

H U G O N .

Długo się Hanny małżonek zwodził,  
A jam za jego syna uchodził,  
Dopoki ciebie, Jerto, nie mieli Rodzice.  
Wtedy wydała Matka tajemnicę.  
Hrabi to było życzeniem,  
Aby mnie zawsze zwano tem imieniem,  
Ktore mi dała Matka przybrana;  
Lecz ślachtetność jego znana,  
Nie pozwalała mu podejść zwierzchnika lenności.  
Gdy się Hanna przeniosła w mieszkania wie-  
czności,

Sam to oznajmia Krolowi,  
Aby rozrządził gasnącym domem.  
Krol własnoręcznym, i tajnym dyplomem,  
W takiej osnowie stanowi:

„Rod znamienity Hrabi Eryndura,  
„Naszego tronu podpora stała,  
„Nie ma zagać, choćby natura,  
„Upadkiem mu zagrażała.  
„Komu ostatni swoje prawa przyzna.

„Komu przed śmiercią odda ten przywilej,  
„Czy to niewiasta będzie, czy mężczyzna,  
„Tego za dziedzica uzaamy najmilej,  
„I za lennika naszego,  
„Z całym potomstwem krwi jego.”  
To pismo odebrałem od Hrabi Edwina,  
Gdy mu ostatnia nadeszła godzina;  
Tem mi zapewnił dostojność,  
Ale odebrał spokojność.  
Z kraju, gdzie mnie krew nie wiąże,  
Natychmiast szybko dążę,  
Dążę niewściągliwy,  
Na złote niwy,  
Dokąd mnie głos natury przeważnie porywa.  
W młodości mojej, po ileż razy!  
Niby mgłą we dnie osłonią ciemną,  
Jak przeszłość, co ożywia naddziadow obrazy,  
Do siebie mnie wzywając, kraino szczęśliwa,  
Mile bładziłaś przede mną.  
Aby Rodziców znaleźć, w tym celu,  
Do Hiszpanii się udałem,  
I tam Elwirę poznałem,  
Z którą nakoniec, po latach wielu,  
Powrociłem, choć późno, w te kraje,  
Do mej ziemi, na północy:  
Dziś już tej, co mnie wiodła, Elwira doznaje,  
Do rodzinnego kraju uczucia przemocy.

J E R T A.

Zegnam cię już na zawsze, spokojności miła!

H U G O N.

Jakaż cię boleść tak rzewnie wzruszyła?

J E R T A.

I ty chcesz dociec leż moich powodu?  
 Przypomnij sobie, jakieśmy zamłodu,  
 W lubej swobodzie kwitnące dzieciны,  
 Rośli, jak dwie jednego od-ziomka krzewiny!  
 Najtkliwsze serca mojego wzruszenia,  
 Uczuciom twoim odpowiadały,  
 Święte nasze uniesienia,  
 Niewinnym ogniem pałały.

(*Płacząc łagodnie.*)

Zgasła nazawsze ta rodzinna tkliwość!  
 Znikła już, znikła spolna szczęśliwość!

H U G O N.

Jerto, uspokoj te łzy, utul twoje żale,  
 Zapomnij o tem, co Hugon powiedział!  
 Kochaj go jeszcze: pomimo krwi przedział,  
 Nigdy od ciebie, sio-tro, serca nie oddalę,  
 Będę ci bratem na wieki:

*(Z powolnem, przeczącem poruszeniem głowy.)*

Nie! już ty jesteś dla mnie daleki:  
 Wszystko minęło z omamieniem rzewnem,  
 Zniknął węzeł natury, jak sen niemowlęcia;  
 Już nie dla ciebie moje objęcia,  
 Bo ty nie jesteś mym krewnym:  
 Między naszą miłością, i serca potrzebą,  
 Wieczną zaporę położyło Niebo!  
 Uciekać muszę, i zakątek inny  
 Zmienię za drogi przytułek rodzinny,  
 Gdzie byłam twojem milczeniem łudzona,  
 Jeżeli wyjawi skrytość twoja żona.

*(Odchodzi.)*

## ODDZIAŁ II.

H U G O N

*(sam, patrząc za nią.)*

Tak! ona jest Aniołem!— i w takim widoku,  
 Jaśniała niegdyś przy moim boku,  
 Tak mnie wiodła ku Niebu, wdziękiem swej  
 opieki;  
 Lecz, gdym opuścił tego Anioła,  
 Zniknął moj pokoj na wieki:  
 Nigdy wesołość mego nie rozjaśni czoła!

*(Zamyśla się głęboko.)*

## ODDZIAŁ III.

HUGON. OTON.

OTON.

Wrocieś przecie, wrocieś, Hugonie.

HUGON (z uśmiechem.)

Tak jest, wrocielem, moj Don Otonie,  
Wrocielem, jak to sam widzisz.

OTON.

Ty z giermańskiego imienia szydzisz?  
Przyznaję słusność twojej przyczynie;  
Wszakże to we mnie krew hiszpańska płynie.  
Gdy mnie tak zowią, muszę odrazę wstrzy-  
mywać;  
Jabym się chciał Karolem, jak Ojciec, nazywać.  
Matka Ojca mojego, jak mi powiadano,  
Dała mi sama to miano;  
Pragnęła, ażebym się nazywał Otonem:  
Tak jest.— A więc nie może to być odmie-  
nionem;  
Hugon brzmi jeszcze gorzej, tak.— Ale, moj  
panie,  
Mogłbyś dla mnie zezwolić na jedno żądanie.

HUGON.

Jeżeli w tem dobro twoje; chętnie: możesz prosić,

O T O N.

Pozwol mi znowu te suknie nosić,  
Jakie nad Ebrem noszą pospolicie.

H U G O N.

Nie, moje dziecko,  
To dla ciebie niebezpiecznie;  
Tu ciepłe suknie potrzebne koniecznie:  
Zresztą za rozkosz, którąbym ci sprawił,  
Tylkobyś siebie na śmiech wystawił.

O T O N.

O! niech pan tego nie mówi,  
Niech się przypatrzy naszemu gościowi.

H U G O N.

Gościowi!

O T O N.

Kiedy w zamku na ciebie czekali,  
Przybył tu w czasie mrozu, i burzliwej  
fali:

To ci nikt o nim nie powiadał z ludzi?

H U G O N.

Nie.



O T O N.

Jednak postać jego szyderstwa nie budzi.  
 Ten miły starzec ma tu poważanie,  
 Choć się tak lekko nosi, jak inni Hiszpanie.  
 Jakież jest urok odzienia tego!  
 Jakże on w nim podobny do Ojca mojego!

H U G O N.

Czy to Hiszpan?

O T O N.

Ej, tak jest.

H U G O N      (z naleganiem)

A jak się on zowie?

O T O N.

O! tego ja nie wiem wcale.

Matka mi zabroniła surowym zakazem,

Pytać się go poufale.

Jednakże w krotkiej ze mną powiedział  
 rozmowie;

Ze jest z naszego kraju: mowił i to razem;

Ze Matka moja krewna jego bliska: —

Zna jak najlepiej Tortozę,

I ciotunię Donnę Rozę:

Jakiej tuszy, jak żyje, jak dobra osoba!  
 O pewno ci się staruszek spodoba,  
 I przyjaźń twoję pozyska.

HUGON (do siebie.)

Bardzo wątpię. Ha! czemuż to dzisiaj ko-  
 niecznie?

Hiszpana dziś przyjmować! nie! dziś niebez-  
 piecznie.

OTON.

On jest tak dobry, tak szczery:

Pragnie się z tobą widzieć: chcesz? to ja mu  
 powiem.

HUGON.

Nie! nie! wstrzymaj się jeszcze: niech się pier-  
 wej dowiem,

Niech się dowiem od Elwiry.—

#### ODDZIAŁ IV.

DAWNI. ELWIRA,

ELWIRA.

(*Wchodzi z gwałtownem wzruszeniem, i za-  
 ledwo mówić może.*)

Hugonie! Jerto! Jerto! Hugonie!

HUGON.

Coż znaczy to obłąkanie?  
To przeraźliwe wołanie?

ELWIRA.

Ha! zdrajco! niewierny żonie!  
Na imię Jerty twarz twoja nie blednie?

HUGON.

Tracisz zmysły?

ELWIRA.

Oby te słowa przepowiednie,  
Ziściły się w tej chwili! Elwiro zdradzona!  
Nieszczęśliwa Elwiro! głęboko zraniona!—

OTON.

Powiedz mi, panie Hrabio, co się z Matką stało?

HUGON.

Z tego wszystkiego pojąłbyś mało:  
Z głowy jędzy piekielnej opadły ją żmije,  
Koło jej serca gad dziki się wije.  
Jednak nie miej obawy względem Matki  
twojej;  
Zostaw nas samych: niech się uspokoi.

(Oton odchodzi.)

(wstając z krzesła, na które się rzuciła.)

Wiem już, dla czego, tak rączyłem zabiegłem  
 Dażyłeś, gdzie mgły mroźne panują na niebie;  
 Bo na północy, pod śniegiem,  
 Powabna róża kwitnęła dla ciebie.  
 Musiałam rzucić rodzinne łono;  
 Musiałam rzucić ziemię poświęconą,  
 Gdzie Krolowy niebieskiej czcimy tajemnicę;  
 Abyś tu, wiarołomco, kochać mógł dziewicę,  
 I poświęcić dla niej żonę.  
 Dla tego, wyjawiając swe żądze szalone,  
 Płocha, nawet skromności niedręcząc się walką,  
 Śmiała się dziś bezczelnie zwać moją ry-  
 walką.

R U G O N (z żywością.)

Wstrzymaj się! wylej jad twój, niechaj na  
 mnie spłynie;  
 Bo wnet przegryzie i swoje naczynie.  
 Oszczędź to serce, tak nieskazitelne,  
 Jak serafy nieśmiertelne.

E L W I R A.

Nieskazitelne? więc mnie przekonaj inaczej,  
 Na wszystko zaklinam ciebie!

Broń Jerty, i razem siebie!  
 A jeżeli w słowach marne widzisz wsparcie,  
 Wyznaj mi pewność otwarcie,  
 Niech albo żyję, lub skonam w rozpacz!

H U G O N.

Mamże świętości narażać,  
 I dla odbicia podejrzeń znieważać?  
 Słuchaj, ona mnie tak pokochała,  
 Jak ludzi niebieskie duchy:  
 A jako się ty modlisz Niebu, pełna skruchy,  
 Tak czystym dla niej ogniem serce moje pała.

E L W I R A.

Oszczędź tego zapalu!  
 Miłość nie zna podziału.  
 Moim być musisz, o luby wrogu!  
 Nikt mi cię wydrzeć nie zdoła!

. . . . .  
 . . . . .

H U G O N.

Dokończ, szalona, niech usta oszczercze,  
 Na nas wyzioną pioruny bluźniercze.  
 Dawno się, dawno tego lękałem,  
 Żeby prawdą nie było, coś teraz wyrzekła;  
 Że gdy ciebie ukochałem,  
 Wtedyś się duchom zapisał piekła.

E L W I R A.

Ach! głowa moja pała płomieniami.

(*Po chwili.*)

Gdy w całej uczucia mocy,  
 Opisywała przede mną ciebie;  
 Ześ jako jodła północy,  
 Między innemi mężami;  
 Żeby tron mogły wzniesć twoje dłonie!  
 Że ku tobie, zwycięzcy w wojennej potrzebie,  
 Nie jedno tkliwe serce lubym ogniem płonie;  
 Czemu twarz jej cała,  
 Radością jaśniała?  
 A jeżeli moją przyjaciółką była,  
 Czemuż tak długo tała,  
 Że jej z tobą nie łączą żadne krwi ogniwa?

H U G O N.

Elwiro, jakżeś niesprawiedliwa!  
 Ona to dziś dopiero słyszała ode mnie.

E L W I R A (powątpiewając.)

Więc nie wiedziała o tem? nie łudź mnie da-  
 remnie.

H U G O N.

Aby jej duszy pokoju nie zbawić,

Aby osieroconej serca nie zakrwawić,  
 Ukryłem przed nią, że nie ma brata.  
 Łzy jej wycisnęła rzewne,  
 Smutna tych związkow utrata,  
 Co nas łączyły przez tak długie lata.  
 Dlatego, aby przyjaźnią nową,  
 Zastąpić związki pokrewne,  
 Poszła swe serce wylać przed bratową.

E L W I R A .

Oby to było rzeczą prawdziwą.  
 Nie dałam jej dokończyć: wściekłość jątrzy  
 serce;  
 Odpycham ją od siebie ręką popędliwą.  
 A jeżeli o tem nie wiedziała wcale! —

H U G O N . .

Aż do tej pory chowając milczenie,  
 Czemużby miała robić teraz wyjawienie?

E L W I R A     (*z uczuciem.*)

Hugonie!

H U G O N .

Obudź krew twoją burzliwą,  
 Co rozogniona w południa upale,  
 Zmienia was tylko w morderce,

Jeżeli nią zazdrość miota;

. . . . .  
 . . . . .

Masz tę skłonność wpuściznie; wszak to wasza  
 cnota!

Tak mi się zdało, kiedyś przy mnie była,  
 Jakobyś w sercu mojem sztylet utopiła,  
 Ten sam sztylet, bez którego  
 Nie zrobisz kroku jednego.

A jeżeli mnie na prawdę chcesz mieć w mocy  
 twojej,

Wysij krew z piersi mojej;  
 Niech cię tak przejmie całą,  
 Jak Matki pokarm przejmuje ciało!

E L W I R A (z niepewnością)

Hugonie! czy mi winę twe serce daruję?

H U G O N.

Ja się razem nad tobą, i sobą lituję.

E L W I R A.

Czy mi przebaczy Jerta?

H U G O N.

Jerta niezawodnie!  
 Dotąd jej serce bije swobodnie;



Żaden jej zarzut zatrwożyć nie zdola,  
 Ani czystego nie poniży czoła.  
 My to zaiste — my, w każdej dobie,  
 Mamy powody nie wierzyć sobie.

*(Przytłumionym głosem.)*

Jeśli trwożnemi rzucimy oczami,  
 Na przeszłość, która ubiegła z nami.

E L W I R A.

Okrutny! jakie przywodziś spomnienie?  
 Żona Karola kochała ciebie;  
 Dlatego zazdrość, wylęła w Erebie,  
 Jak jędza, szarpie twej żony sumienie.

H U G O N *(ponuro.)*

Ha! dzień dzisiejszy przekłętą jest dobą.

E L W I R A *(z bojaźnią.)*

Dzisiejszy? co ty mówisz, Hugonie, ze sobą?

H U G O N.

Ja mówię, że dziś znowu rok upłynął,  
 Jak od wystrzału własnej broni zginął.

E L W I R A *(zasłaniając oczy.)*

O Nieba!

*(Świece tym czasem pogasty, a widownia się zaćmiła.)*

HUGON.

Czy pamiętasz? jak w owej kaplicy,  
 Oboje pełni smutnej tajemnicy,  
 Na trumnach, w twoich naddziadow grobie,  
 Straszna przysięgę wyrzekliśmy sobie,  
 Śluby nasze gniewnemu powierzając Niebu?  
 Albo, jak w czasie pogrzebu,  
 W sercach jaśniała radość, a występne wargi,  
 Kłamały żalosne skargi?

ELWIRA.

Stoj! zabijasz mnie srogil

HUGON.

*(Po chwili dość znacznej, głosem przytłumionym; a w końcu tego, co mowi, z bojaźnią, przeczuwającą zjawienie się ducha.)*

Gdyby się tu zjawił,  
 Gdyby, w tak złej godzinie, przed nami się  
 stawił,  
 Kiedy się miłość nasza,  
 Strawiona zmysłów popędem,  
 Jak te światła dopala, jak ony przygasza;  
 I już sercom nie świecci, znikając z obłędem!

Gdyby on groby twych Ojców rzucił,  
I z tą okropną przestrogą powrocił,  
Teraz —

ELWIRA (wzdryga się.)

O zgrozo!

(Krotkie milczenie. Wtym słychać pukanie:  
Hugon i Elwira przerażeni mówią razem

oboje.)

Przebog!

## ODDZIAŁ V.

DAWNI. WALEROS. OTON.

(Waleros wchodzi, trzymając za rękę Otona,  
ktory świecę niesie.)

HUGON,

(ktory z trwogą obroczył się ku drzwiom, i po-  
stąpił kilka kroków, przerażony cofa się.)

To on! to duch jego!

WALEROS (stoi pomieszany.)

Coż to? (Do Otona.) Malcze, ty błędzisz?  
Także mnie do niego? —

E L W I R A

*(patrząc mu w oczy.)*

Don Waleros!

H U G O N.

Kto? mówisz.

E L W I R A.

To Ojciec Karola:

W A L E R O S.

Poznajesz mnie?

E L W I R A.

Tak, ty sam! daruj.— Jakaż dola?—

W A L E R O S.

Wy mnie raczej przebaczcie, i temu malcowi;  
Ktorego niczem wstrzymać nie zdołałem,  
Kiedy się mu poznać dałem.

A jeżeli wchodząc niezapowiedziany,  
Za ducha od was byłem poczytany;  
Na znak, że żyję, tę rękę wam daję:  
To niechaj za mną przemowi.

*(Ekwira całuje z szczerością jego rękę; on jej  
daje tkliwe uściśnienie.)*

Corko! (*Do Hugona.*) dziś poraz pierwszy  
odwiedzam te kraje:

I pierwszy raz,  
Rycerzu, widzę was;  
Skąd zaś takiego prawa nabyłem,  
Ze twą godną małżonkę corką pozdromilem,  
Na to list, gdzie jest pieczęć, i podpisy,  
Pośta hiszpańskiego Krola.

HUGON,

(*ktory list odebrał, niespuszczając z oka  
Don Walerosa.*)

O! tu świadka nie trzeba, dowodzą te rysy,  
I ta twarz tak podobna do twarzy Karola.

WALEROS (*czule.*)

Ach! to puścizna droga! puścizna jedyna!  
Ktora mi pozostała po utracie syna!  
Do ciebie, Hrabio skutkiem mej corki pojęcia,  
Przeszły dwa jego skarby, i dwie jego chluby;  
Stałeś się mężem towarzyski lubej,  
I Ojcem jego dziecięcia!  
Posiadłeś serca, i miłość obu;  
A dla mnie wszystko zstąpiło do grobu.  
Za złe mi tego nie weźmiesz zatym,  
Zem się przyszedł podzielić, ubogi z bogatym.

HUGON (podaje mu rękę.)

Witam was w moim domu, szanowny rycerzu.

ELWIRA.

Ktożby się ciebie, Ojczy, spodziewał w tym kraju?

HUGON.

Jeżeli pamięć moja z prawdą jest w przy-  
mierzu,

Władaleś dosyć długo w Indyjach zachodu?

WALEROS.

Tak, przed dziewięcią laty,  
Pałając dumą narodu,  
Według wiecznego Hiszpanow zwyczajn,  
Za sławą biegłem w dalekie światy,  
Bym zyskał zaszczyt złotego runa:  
Cel osiągnąłem; ale mi fortuna,  
Nietak sprzyjała, jak szczęściu Jazona;  
On za morzem podzielił z lubą swoje życie;  
Mnie w Indyjach zgasła żona.  
Lecz miałem jeszcze syna, ten sławny w kraju,  
Mógł nieść pociechę mojej siwiźnie:  
By go tym prędzej widzieć, staram się  
w Madrycie,

O uwolnienie z urzędu:  
 I tu doznałem krolewskiego względu;  
 Lecz mnie razem bolesna dochodzi nowina;

*(Zwyrazem glębokiej boleści.)*

Ze już nie ma Karola! że już nie mam syna!

*(Po chwili odetchnienia.)*

Pomyślne wiatry, lekkim podmuchem,  
 Szeroko skrzydła rozpięły okrętu,  
 Dom nasz spokojnym posuwał się ruchem,  
 Wśród spokojnego odmętu,  
 Niosąc wesoło pielgrzymy stęschnione,  
 W rodzinną stronę.

A w tym okrzyki zabrzmiały:

Bracia! ład stały!

Po szorstkich linach,

Tłumami pną się do góry,

Ażeby widzieć krainę kochaną,

Która jak błękitne chmury,

W pogodnego dnia godzinach,

Albo jak odległa skała,

Za gęstą mgły ścianą,

Na oceanie leżała,

Nie boleść, ale zgroza mnie ścisła,

Ktorej nie mogłem nadać nazwiska,

Kiedy niebieskie mgły postać przybrały.

Ciemne, choć bliskie obrazy,  
 W groźącym kształcie około mnie drżały;  
 Tęschnota, jakiej nie skreślą wyrazy,  
 Na sercu mojem zawiesiła brzemie,  
 Kiedym powitał rodzinną ziemię.  
 Stratę zgasłego oplakać chciałem;  
 Ale łąz suchych nie zrosiły powiek;  
 Jak dla swych uczuć obumarły człowiek,  
 Tak przed bramami Tortozy stałem.  
 Nietak mi było, jakby już był w grobie,  
 Nie, mnie się zdało, jakbym w owej dobie,  
 Miał go dopiero utracić,  
 I łąz boleści tę stratę opłacić.

*(Hugon chwieje się, i opiera na krześle.)*

Coż ci jest, Hrabio? Ta bladość twarzy?—

HUGON

*(przychodząc do siebie.)*

To nic, to zawrot głowy;  
 Przyczyną trudzące łowy:  
 Tak mi się nieraz wydarzy.

ELWIRA *(z łożnią.)*

Drogi Hugonie!

HUGON.

Nic się nie stało;



Nic, jak mowilem, coby przeszkadzać wam  
miało.

Mowcie tylko, mowcie dalej;  
I nam pozwolcie, byśmy was słuchali.  
Już to przeszło.

W A L E R O S.

Rycerzu, jeźliś jeszcze słaby,  
Nie chciałbym teraz kończyć tej powieści:  
W niej się zdarzenie okropne mieści,  
I dla mnie tylko na rzewne powaby.

E L W I R A.

Chceszli nas dręczyć przez smutną niepewność?

W A L E R O S

*(przystępując do niej.)*

Karola mego widziałażeś ciało,  
Kiedy na marach śmiertelnych leżało?

E L W I R A.

Ach! nie widziałam, bo widoku rzewność—

W A L E R O S.

A w trumnie czy widziałaś?

E L W I R A.

Czyliż byłam w stanie?

A ja, Dziaduniu, jam się patrzył na nie!  
 Czarne zasłony pokoj zakryły,  
 W którym pochodnie, i świece jaśniały.  
 Moj Ojciec leżał w śmiertelnej pościeli,  
 Błady, a przecie tak miły,  
 Jak z marmuru pasąg biały;  
 Tylkośmy zwłoki jego do piersi widzieli;  
 Bo resztę ciała  
 Ozdobna z aksamitu suknia pokrywała.

(Ze łzami.)

Przy drogiego Ojca skościłem ciele,  
 I zbliska, i z dali,  
 Zebrało się ludzi wiele;  
 Wszyscy nad nim rzewnie łkali,  
 I brzegi złote płazcza całowali.  
 Nikomu sukni podnosić nie dano,  
 Ani się ciała dotykać rękami;  
 Bo kosztownemi maściami  
 Zwłoki nabalsamowano.

W A L E R O S.

O! gdybym ja go nie był widział wcale,  
 W trumnie zamkniętej oddał na,  
 Co ukrywała zgrozę, i okropność.  
 Czyliż się raz już nie stało?

Ach! mnie tam jedno! — mnie więcej daleko,  
 Straszne, i nadzwyczajne odkrycie wzruszyło;  
 Była to rzecz bardzo jawna,  
 To przenikliwo oko na nią się patrzyło,  
 Kiedy odjęto wieko,  
 I płaszcz uchyłono, co okrywał ciało!

ELWIRA (z trwogą)

Coż to było? ach! odkryj, zaklinam cię, Ojczy!

WALERÓŚ.

*(Zbierając siły swoje do opisania.)*

Jedną ręką dotykał się rany,  
 A prawą miał nadół spuszczoną,  
 I pięść złożoną,  
 Jakby odpierał ciosy zabojez;  
 I górne oczu łuki nadół opuszczone,  
 Jakby gniewem rozjątrzone.  
 Zdało się, jakby z niemych ust głos był słyszany:  
 Pomścij się za mnie! jam zamordowany!

ELWIRA.

Gdyby tak było, o! wielki Boże!

HUGON.

*(Zbladły, kolana chwieją się pod nim, opiera się na krześle, wzrok jego natężony, i dziki.)*

Tak, czyliż większa zgroza bydź może!

O T O N (do *Walerosa.*)

Słuchaj, Dziaduniu, odłóż na czas inny!  
Już to słyszałeś, że Hrabia jest chory.

M U O O N

(z żywością, i przymusem.)

Milczże ty raczej! jesteś dziecinnie!  
Tylko dalej, rycerzu: nie przerywaj sobie!  
Twoje domysły?— i żadne pozory!

W A L E R O S.

Tak w trumnie leżał, jak go w lesie znaleziono.  
Jego domownicy sami,  
Ktorzy ze mną byli w grobie,  
Są naocznymi tego świadkami.  
Taką miał rękę, tak wzniesione ramie,  
I taką postawę:  
Nigdzie nie było rany, tylko jedno znamie,  
Znamie w sercu krwawe,  
Tam, gdzie przeszła nieszczęsnego łono,  
Okropna kula, co mu śmierć przyniosła!  
I ręka, jakby do rany przyrosła,  
I pięść nie była do otworzenia,  
A nikt nie zdołał zgiąć jego ramienia!  
W całej wyobraźni mocy,  
I przed mojemu oczyma tak było,

Jakby się nagle zjawilo,  
 Krwawe światło połuocy,  
 Blade po lesie rzucając promienie.  
 Nie było to podejrzenie;  
 Ale domyślność, z przymusem złączona,  
 Co mnie nagliła w te kraje,  
 Gdzie to okropne światło powstaje.  
 Z pomocą tego zjawiska,  
 Przez Frankow, i przez Giermanow siedliska,  
 Przez szumnego Beltu wody,  
 Doścignąłem gor waszych, gdzie odwieczne  
     lody.  
 Nie zemsta moje zapala serce,  
 Nie żądza, aby zgładzić mordercę;  
 Nie to mnie wiedzie przeważnie po świecie.  
 Ja go nie szukam, nawet czuję trwoję;  
 Ta myśl zgrozą mnie ściska, że go znaleźć mogę.  
 Nie pragnę tego, nie pragnę a przecie,  
 Z taką żądzą ku światłu duch się moj ugania;  
 Jak oko, co w połowie ślepotą zastania.  
 Nie jestem pewny,  
 Czy się zbliżam ku niemu, czy od niego stronię;  
 A jego obraz nigdy niewidziany,  
 Staje przed moim wzrokiem naprzemiany,  
 Już w dzikich rysach, już miły, i rzewny.

(Przystępuje do Hugona.)

Czybys mi nie mógł, Hugonie!

Tej sprzeczności wytłumaczyć;  
 Że raz chciałbym zabojcę widzieć w krwi  
 strumieniu;

*(Łagodnie, i czule.)*

I znowu jemu przebaczyć!

HUGON.

*(Zaledwie mogąc mówić.)*

Ulegam zupełnemu osłabieniu—

*(Chwieje się, i potacza ku drzwiom.)*

WALEROS *(do Otona.)*

Weź światło, weź moje, dziecko,  
 I odprowadź go.

*(Oton idzie przed Hugonem ze świecą. Elwira ma wzrok natężony, i zdaje się na nic nie uważać. Hugon zbliża się do samych drzwi, i upada na ziemię, zemdlony.)*

OTON.

Przebog!

WALEROS,

Boże!

E L W I R A.

*(Budząc się z odrętwienia.)*

Co robicie?

O T O N.

Hrabio!

E L W I R A *(padając ku niemu.)*

O nieba! on wstrasznej niemocy!

O T O N *(wołając ku drzwiom.)*

Pomocy! pomocy!

*Koniec Części Drugiej.*

## Część Trzecia.

*(Sala ozdobna: ściany pokryte są wyobrażeniami hiszpańskich zwyczajów, i widoków natury, pomiędzy ktoremi znajdują się trzy obrazy, wymienione w oddziale pierwszym tej części.—)*

## ODDZIAŁ I.

*(Waleros, prowadzony od Otona, aż do środka sali.)*

O T O N.

Patrz, Dziaduniu, czy smak twój to wszystko pochwała?

Jakież zdanie twoje?

W A L E R O S.

Pięknie! prześlicznie!

O T O N.

To hiszpańska sala,  
 Tu na prawo, i lewo hiszpańskie pokoje:  
 Hrabina Jerta nazwisko im dała,  
 I zawsze sobie w nich podobała:  
 Jej Matka, jak mi mówiła,  
 Raz w naszym kraju, i długo była;  
 Ona to z wielkiem staraniem,  
 Zajmowała się widokow dobraniem.  
 I te obrazy, co tu widzisz razem,  
 Są malowane za jej rozkazem.—

(Pokazując.)

Ten oto zawiera  
 Miasto piękne *Talawera*.

W A L E R O S (w patrując się.)

Tak jest.

O T O N.

(Przed innym obrazem.)

Tu zaś *Mont-perdu* wzbija się pod chmury,  
 Ona tak jest wysoka, że na szczycie góry



Snieg nigdy nie topnieje,  
Ani tam kiedy były ludzkie stopy.

W A L E R O S.

Znam ją.—

O T O N.

A czyli także to ci powiadano;  
Że dyjamentem tę górę nazwano,  
W łańcuchu, który tworzą Pireneje,  
Co jest przepaską Europy!—

W A L E R O S (uśmiechając się)

Ktoż ci ją z taką wymienił zaletą?

O T O N.

Kto!— Już ja nie wiem, co ty myślisz sobie,  
O mojej osobie.

Jakbym się ja nie uczył, pomiędzy innemi;  
Że Europa jest kobietą;

Że inne kraje są ciałem ziemi,

A my jej twarzą jesteśmy Hiszpanie:

Stąd ku innym jej członkom duma w nas  
oddycha,

Nawet z pogardą patrzymy na nie.

W A L E R O S.

Z tego chłopca już mowi ta ślachtetna pycha,  
Co jest chlubą Kastyllanow.

O T O N.

Z chłopca? ach! toć jest zdanie połnocnego  
 świata,  
 O wszystkich, którzy mają takie, jak ja, lata;  
 I tu najsluszniej tak się nazywają.

(*Z uczuciem godności.*)

Ale się nad tem zastanow;  
 Ze tam pod słońca naszego żary,  
 Wszystkie przyrodzenia dary,  
 Wcześniej dojrzewają.

(*Przystępując do trzeciego obrazu.*)

Przypatrz się jeszcze temu widokowi,  
 O! co to miejsce, to ci już nieznanne:  
 Miasto niewielkie ozdobi tę ścianę,  
 A w niem jest woda, która z niemocy uzdrowi!  
 To miasto jest francuzkie, mnie Jerta mowiła,  
 Że i tam jej Matka była.

W A L E R O S.

Rzecz osobliwa!  
 Wszakże to miasto *Bareż* się nazywa.

O T O N.

Znasz je? znasz dobrze, ja się nie mylę...

Lecz mi się Barez nie podobą tyle,  
Oj nie, co Talawera.—

W A L E R O S.

(z *bolesnem* wspomnieniem.)

O! i mnie to samo.—

(*Do siebie.*)

Czyliż z nową boleścią zagłębiać się muszę,  
W tę głuchą przepaść, w te ciemne wąwozy,  
Gdzie przesąd skłonił ślachtetną duszę,  
Do czynu pełnego zgrozy,  
Czynu tak przeciwnego ustawom natury?  
Dreszcz mnie przeraża, na to proroctwo  
straszliwe,  
I na ten domysł ponury!  
Lecz jedno, dzięki Niebu! musi być kłamliwe.

O T O N.

A dla czego wprowadzają w smutek serce twoje,  
Te chociaż pięknie ozdobne pokoje?  
Gdyby to Hugon wiedział, mniemam, że nie  
mało  
Czucieby jego bolało.

W A L E R O S      (*w roztargnieniu.*)

Ktoż wiedział?

O T O N.

Herabia, mówię. By twojej osobie,  
 Winne okazał uszanowanie,  
 Zalecił przygotować to skrzydło zamkowe,  
 Na twoje mieszkanie.  
 I na tem miejscu, o wieczornej dobie,  
 Z tobą, w obec mej Matki, pragnie mieć roz-  
 mowę.

W A L E R O S.

A czy już przyszedł do siebie?

O T O N.

Tak, dosyć! — Albożem ja nie ostrzegał ciebie,  
 Abyś mu więcej nie mówił;  
 Żeś jego boleść ponowił?  
 Bo to niemile dla jego ucha;  
 On o mym Ojcu z przykrością słucha!—

W A L E R O S.

To mnie zadziwia!

O T O N.

O! ja wiem przyczynę:

W A L E R O S      (*zagadując usilnie.*)

Wiesz? to mi uczyn odkryciel

O T O N.

Ojciec umarł w takiej dobie,  
 Że Hrabia własne był gotow dać życie,  
 Byleby jego śmierci opóźnił godzinę.

W A L E R O S.

Skądże to wiadome tobie?

O T O N.

On przybył do nas obey, nieznany nikomu:  
 A od pięciu lat bawiąc w mego Ojca domu,  
 Zawarł z nim przyjaźń ścisłą, obu serca godną.

W A L E R O S.

Czy to jest rzeczą pewną, niezawodną?

O T O N.

Chociaż go Ojciec nie przenosił nade mnie;  
 Ale go tyle kochał, tyle, co mnie prawie.

W A L E R O S.

A Hrabia?

O T O N.

Hrabia Ojca mojego wzajemnie.

W A L E R O S.

Tak sądzisz?

O T O N.

Ja ci jeszcze więcej tu wyjawię:  
 On go bardziej, niż siebie, kochał, i poważał;  
 Bo w obec wszystkich życie za niego narażał.

W A L E R O S.

I on to zrobił?

O T O N.

Jakem powiedział.

W A L E R O S.

Gdzie, i jak się to działo?

O T O N.

Zaraz będziesz wiedział:

Była to walka byków, ale była małą,  
 Gdzie tylko drażnione jest zwierzę.  
 Jeszcze nie nadszedł czas widowiska:  
 Ojciec przy różnych damach na balkonie siedział;  
 Te damy chciały przypatrzeć się zbliska,  
 I temu, i owemu; moj Ojciec je bierze,  
 I z chodzi z niemi,  
 Tam, gdzie jest miejsce do walki na ziemi.  
 Nagle drzwi źle zaparte, z wielkim trzaskiem  
 pękły,

Drzwi od zagrody, a lud przelekły,  
 Zewsząd wydaje krzyk:—  
 Uciekajcie! byk! uciekajcie! byk!  
 Wnet nie było dam,  
 Zdjął je nagły strach,  
 Cofają się wtył,  
 Rzuciły dolny gmach,  
 A moj Ojciec został sam.  
 Lud krzyczy znow,  
 Krzyczy, co ma sił,  
 Wypuścić psow!  
 Lecz bez skutku dźwięki słow;  
 Wydając ryk,  
 Pędzi rozjadły byk,  
 Pochyliwszy rog,  
 Tam, gdzie Ojciec moj;  
 Wtym wrzasnął ludu roj:—  
 Chyba go wyrwie Bog!

W A L E R O W.

O nieszczęśliwy moj syn!

O T O K.

I wrzawa, i ścisk,  
 Tu Hrabia leci jak błysk,  
 By ocalił przyjaciela,  
 I pomocy mu udziela.

W A L E R O W.

To ślachtetny czyn!

O T O N.

W tym błysnął miecz,  
 I Hrabia śmiało uderza,  
 Z boku na dzikiego zwierza;  
 Byk odskoczył wstecz;  
 I znowu napadał;  
 Lecz cios silnego pchnięcia,  
 Który mu Hrabia zadał,  
 Od bitwy zaczęcia,  
 Mocno go osłabił:  
 I gdy się na niego sunął,  
 Aby go przebodł, i zabił,  
 Z okropnym rykiem,  
 U nog jego runął.  
 Drży, i wyciąga tułub ogromny;  
 Wtedy się lud radosnym odezwał okrzykiem,  
 Zewsząd klaskano żwawo,  
 Brzmiały echa: brawo! brawo!

W A L E R O S.

Czy byłeś temu przytomny!

O T O N.

Sam to widziałem, oczyma własnemi.

W A L E R O S (do siebie.)

Tak, to przytlumia podejrzenie moje,



Znow oddycham swobodniej, nikną niepokoje,  
Na tej dla mego serca pełnej przeczuć ziemi.

(Do Otona.)

Dziękuję ci za tego czynu opisanie,  
Na który tylko mogą zdobyć się Hiszpanie.

O T O N.

I moj Ojciec takąby wykonał ofiarę,  
Bo ślachtetne uczucie odebrał w podziale:  
Ale patrzaj, Dziaduniu, czybyś ty dał wiarę,  
Że się mogli poróżnić tacy przyjaciele!

W A L E R O S.

Co! ta nieszczęsna iskra czy się znowu  
żarzy,  
Skądże to poszło!

O T O N.

Tego ci nie powiem.  
Przed śmiercią Ojca, na trzy dni lub cztery,  
Pałając gniewem, od siebie stronili,  
I to ma wpływ szkodliwy nad Hugona zdro-  
wiem,  
To go dręczy w każdej chwili;  
Że przyjaciel przed skonaniem,  
Nie uspokoił jego serca pojednaniem.

W A L E R O S

*(w połowie do siebie.)*

Może to— albo sumienie.

O T O N.

Dla tego wybladłej cery,  
 Podobny do trupa, i obłąkany,  
 Rzucił się na mojego Ojca zimne ciało;  
 Karolu! czyliż jesteś niez błagany!  
 Tak jęczał, zwłoki całował,  
 I mnie z płaczem obejmował,  
 Aż padł bez zmysłów, bo mu natężenie  
 Ostatek sił odebrało.

W A L E R O S.

Z płaczem mówiłeś? *(Do siebie.)* Z taką roz-  
 paczą  
 Zwykle zbrodniarze nie płaczą.

O T O N.

I z tej to samej przyczyny,  
 Hrabia się podaje smutkowi,  
 I w niemoc wpada, jeśli kto w słowach ponowi,  
 Zgrozę, co go wyгнаła z hiszpańskiej krainy.

W A L E R O S *(do siebie.)*

Sprzeczne czucia! jak losy wojny wątpliwemi,

Tak serce moje, ścięte przez smutną niepe-  
wność,  
Dzieli pomiędzy siebie nienawiść, i rzewność,  
Tak o tego człowieka jestem niespokojny.

O T O N.

Otoż i Hugon; ja wam przeszkadzać nie myślę;  
Żegnam cię, później Hrabiankę ci przysłę;  
Ona to najżywszem upragnieniem pała,  
Ażeby ciebie poznała. (Odchodzi.)

## ODDZIAŁ II.

HUGON. WALEROS.

HUGON (poważnie.)

Dziś powtornie, rycerzu, witamy się z wami,  
Pomiędzy tego zamku północy cieniami:  
Najgościnniejsze jego podwoje,  
Są gościnnie otwarte na przybycie twoje.

WALEROS.

Gościnność, panie Hrabio, daruj to wyznanie,  
Milsza na twarzy, jak na niemej ścianie.

HUGON.

Ściana jest martwą rzeczą, a martwe nie żyją;  
Oblicze zawsze nosi kolory chwilowe,

Aż go nareście wiecznie zakryją,  
I martwem, jak ta ściana, zrobią ciemności  
grobowe.

W A L E R O S.

Jakże sobie tego życzę,  
By swój kolor zmieniło i twoje oblicze!  
A coż wy na to mowicie?  
Jak Ojciec przyjaciela byłżem przyjmowany?

H U G O N     (żywo.)

Bo takim wasze nie było przybycie.

(Spokojniej.)

Czemużś rozdarł te rany,  
Ktore nad wszelkie pojęcie, i siły,  
(Pokazuje ręką na serce.)

To, i Elwiry serce zakrwawiły.

W A L E R O S.

A jam tak sądził, żeście wy oboje,  
Nie czuli tego, co serce moje.

H U G O N.

Alboż ci na to przekonania mało,  
Że czucie nasze wiele ucierpiało?

Dowiedz się, jeżeli dotąd nie jest ci wiadomem,  
Ze każde słowo twoje było dla nas gromem.

*(Waleros patrzy z ciekawością na niego.)*

Jesteś Ojcem, i płaczesz, boś utracił syna;  
Ja siebie w nim straciłem: i ta jest przyczyna;  
Ze pamięć jego, w niezwykłym sposobie,  
Zawsze głęboko czuć muszę;  
On istność moję podwoił,  
On ją podzielił,  
On mnie ożywił, on zranił mą duszę,  
I w życiu swoim, i w grobie!

W A L E R O S

*(powątpiewając, okazuje zadziwienie.)*

Jak to?

H U G O N.

Pobożny rycerz raz się był ośmielił,  
Wjechać w bor zaczarowany;  
Ale się znakiem krzyża nie uzbroił:  
Nagle tej samej postaci poganin,  
W tym, co on hełmie, i tak ubrany,  
Na pobożnego rycerza,  
Z zapalczywością uderza;  
Napastnikowi opor stawia chrześcijanin:  
Walczą, w tym obu hełm z głowy spada,  
Zgroza ich sercami włada,  
W czarodziejskiego światła błyskawicy,  
Widzą twarz swoją oba wojownicy,

Widzą z zadumieniem,  
 Pod niewłaściwym sobie uzbrojeniem,  
 Ale gdy zniknęły błyski,  
 Pędem ślepej mocy,  
 Ponurej nocy,  
 Każdy z nich miotany,  
 Krwawemi pociski,  
 Swemu wrogowi zadaje rany.  
 Podobnie, skoro błędne stopy moje,  
 W twój syna wstąpiły podwoje,  
 Dwie istności w jestestwie zjawiły się mojem,  
 Dwie niezgadnione istności,  
 Pełne ku sobie dzikiej zawziętości,  
 Które ustawnym ścierały się bojem.

W A L E R O S.

Tej mowy ciemnej wcale nie pojmuję;  
 Jednak twoje porównanie,  
 Dostyc blisko wyraża to, co ja sam czuję;  
 Albowiem już to w przemianie,  
 Już razem, jakieś uczucie nieznanne,  
 I zbliża mnie ku tobie, i nagle odtrąca.

H U G O N.

Taka i mnie zajmuje chęć nicustająca,

W A L E R O S.

Przy ktoremże uczuciu nareście zostaną

HUGON.

*(Po chwili milczenia, z przymusem.)*

Przy nienawiści dla mnie!

WALEROS.

Gdym tego nie użył,  
Poznaj, żeś na nienawiść wcale nie zasłużył.

HUGON.

*(Nie patrząc na niego.)*

To mnie więc kochaj!

WALEROS.

Wtenczas, według mego zdania,  
Musiałbym twoje nienawidzić żonę.

HUGON *(przerażony.)*

Jak to! — jak mówisz?

WALEROS.

Porzuć tę zasłonę.

Ach! mow ze mną otwarcie: wszystko mnie  
nakłania,

Do tego, abym sądził, co mi nie jest miło;  
Że jedno z was ku niemu ciężko przewiniło.

## R U G O N.

Jeżeli tak być musi, więc daj temu wiarę;  
 Masz we mnie zemsty gotową ofiarę:  
 Jeżeli zdołałeś pewność wytropić,  
 Pomścij się! możesz w piersiach żelazo utopić.

## W A L E R O S.

Słyszałem o was w mej krainie wiele,  
 Tam wy byliście znani, jako przyjaciele.

## R U G O N (mocno wzruszony.)

Tak, i byliśmy nimi!— Lecz się omylicie,  
 Uważając ten wyraz, jak dziś pospolicie.  
 Mocą tajemnej, niewstrzymanej siły,  
 Ku sobie pociągnione,  
 Tak się dni nasze spoiły,  
 Jak dwa strumienie, które się spotkały,  
 I płyną razem złączone:  
 Bracia trwożliwi, w pojedynczym biegu,  
 Zaledwie zdolni unieść statek mały,  
 Skromnie swe wody toczą między skały;  
 Ale razem, w wspólnym brzegu,  
 Zgłośniejszym szumem, swobodniej płyną,  
 Bogatsze sobą, otwartą doliną,  
 Szybko swe nurty posuwając oba,  
 Jake ojczystej ziemi ozdoba:  
 A kołysząc się w pędzie okazale,



Nawy z ciężarem mkną ich lekkie fale.

*(Mileczy, westchnienie jego okazuje budzące się  
w nim bolesne wspomnienie)*

W A L E R O S.

Jeżeli z prawdą porównanie zgodne,  
Zatym i waszych serc połączenie,  
Było zazdrości godne. —

Lecz, gdzie, i jak się zeszły te strumienie!

H U G O N.

Bez Rodziców, bez rodzeństwa,  
Nie mając żadnych związków pokrewieństwa,  
Przybyłem do Talawery,  
Gdzie tak ślachtetni żyją Hiszpanie:  
Przyjęto mnie w jej murach z gościnnością  
chętną,

Ta chwila wiecznie pamiętną,  
Mojemu sercu zostanie.

Nim jeszcze z rozkazu Króla,  
Rządy w Tortozie twój syn piastował,  
Już tam poznałem Karola,

I on mnie, jakby w domu ojczystym, przy-  
mował:

Tak jest, dom jego stał mi się rodzinny,  
I mnie się zdało, że na łonie swoim,  
Takim mnie darzy pokojem,

Jakbym wśród niego spędził wiek dziecienny;  
 Jakby poważne przodków obrazy,  
 Z jego ścian na mnie patrzyły;  
 Jakoby twarzy tych samych wyrazy,  
 Do jego, i waszego podobne oblicza,  
 Już i kolebkę moję otaczały.  
 Cichego mi schronienia to miejsce użycza,  
 Schronienia, jakiego szukałem:  
 Karol był moim, i z uczuć podziałem,  
 Syn jego moim był synem;—  
 Elwira także została mi drogą,  
 I ona ku mnie tchnęła uczuciem siostrzynem.

(Z boleścią.)

O moj Karolul

W A L E R O S (z uniesieniem.)

O mężu wspaniały!  
 Nie, nie; kto kochał tyle,  
 Tenby tak upaść nie zdołał!

H U G O N (przerażony)

Co mówisz?

W A L E R O S.

Jak pozory obłąkać nas mogą!  
 Pozwol, abym zamilczał; ta myśl nieszczę-  
 śliwa,

Już mnie wstydem okrywa:  
 A ty chciej uleż natury sile,  
 Skoro cię już Bog powołał,  
 Niech się i z tobą tem czuciem podzielim,  
 Bąc mi, czem byłeś jemu, tak, bąc przy-  
 jacielem.

HUGON

*(patrzac mu bystro w oczy.)*

Tobie! — O! możesz odważyć się śmiało;  
 Bo nie masz młodej, i pięknej żony.

WALEROS

*(cofa się ze zgrozą.)*

Hugonie!

HUGON.

*(żywo, i z przymusem.)*

Niechże wczesnie nie będę sądzony!....  
 Człowiekiem jesteś, masz ducha, i ciało;  
 Dziś należysz do Nieba, a jutro do piekła.

*(Swobodniej, i z namysłem.)*

Spierajże się ze słońcem, i z tą ognia mocą,  
 Co na południu tak czaszkę spiekła,

Niechaj ci złoty pokój niewinności wrocą,  
 Który zerwało zmysłów szaleństwo:  
 Spieraj się z temi oczyma,  
 Których spojrzenia nic w straży nie trzyma.

*(Po chwili.)*

Czyś teraz o rycerzu pojął podobieństwo,  
 Co w czarodziejskim lesie, wśród nocy,  
 Walczy z sobą z całej mocy!....  
 Zlituj się nad nieszczęśliwym,  
 Który kocha przyjaciela,  
 I dla jego żony tkliwym?  
 Czy ty pojdziesz męki moje:  
 Gdy mam w objęciu Karola wdowę,  
 I gdy dzikich marzeń roje,  
 Między te głuche, i puste ściany,  
 Stawiają mi jego cień niezblagany!

W A L E R O S.

Czy mi to, Hrabio, światła udziela?  
 Wiemże wszystko?

M U C O N *(z przymusem.)*

Tak, wszystko, co smutną ośnowę  
 Śmierci jego stanowi, co mi odkryć wolno.

W A L E R O S *(po chwili.)*

Czystymi być tylko duchom dezwolono,

Mającym siedlisko w Niebie.

Winnyś? niech cię Bog sądzi, jak ja sądzę  
ciebie.

HUGON (do siebie.)

Stało się!

WALEROS.

Jedna z niewiast idzie z twoją żoną.

HUGON (z żywością.)

Rycerzu, z nią zachowaj uprzejmość powolną!  
Ona jest od zmazy wolną.

### ODDZIAŁ III.

DAWN. ELWIRA. JERTA.

(Waleros, po niemem przywitaniu się z Jertą,  
do Hugona.)

To siostra?

HUGON.

(z westchnieniem nieznacznem.)

Tak. — Nie. —

ELWIRA (z żywością.)

Tak jest!

J E R T A.

Nie wierz temu panie!

E L W I R A.

Wszakże was łączą święte ogniwa,  
 Których moje obląkanie,  
 Ani na chwilę nie zrywa:  
 Choć mu krewną nie jesteś, nazywaj go  
 bratem.

J E R T A.

Ja cię kocham, jak siostra, pomimo zdarzenia,  
 W ktorem mi wiele zadałaś cierpienia,  
 Zapomniawszy, czem jestem, i sądząc ze  
 światem.

W A L E R O S.

W sporze tak miłym, z chlubnego zapału,  
 I mnie, o piękne panie, dozwolcie udziału.  
 Jeżeli to Jerta Hrabina,  
 Więc Hrabia musi być jej bratem.

J E R T A.

Przywilej Krola dał mu imie mego rodu.

H U G Ó N.

Osądź zatym, czy nie mam do cierpień powodu?  
 Poznaj nie w Bogu, ale w ludziach sprawcow,  
 Że mnie chowali Jerty Rodzice.

W A L E R O S      (z natężeniem.)

Więc nie znalazłeś życia dawców?

H U G O N.

Nie.

W A L E R O S.

(Do Jerty, z żywością, i rozwagą.)

Matka twoja czy Giermanką była?

J E R T A.

Nie.

E L W I R A.

I dla czegoż tak ściśle  
Wchodzisz w tę tajemnicę?

W A L E R O S.

Tak, podobne zdarzenie w niezwykłym domysle,

(Pokazując na ścianę, gdzie Bareż.)

Który objaśnia obraz tej krainy—

To nic nie znaczy—

H U G O N.

Gdyby ta skrytość zawiała—  
Udziel nam tego zdarzenia.

W A L E R O S.

Nie, to niepodobna— aby—

H U G O N.

Błagam cię! Czy to miejsce twój domysł wymienia?

Tak w tej okolicy małej,  
W pośród Bareżu doliny,  
Niknie rodu mojego ślad ciemny, i słaby,  
Za którym szedłem wytrwale:  
Jeżeli to, co wiesz, według twego rozumienia,  
Nie udzieli mi wcale objaśnienia;  
A więc i mnie przekonaj—

W A L E R O S.

Nie mam żadnej chęci,  
Objawiać obłąkania, co wiarę przechodzi.

E L W I R A.

Wszak tu jej imie zamilczyć się godzi.

W A L E R O S.

Dobrze: ciekawość twoją  
Natychniast zaskokoję.  
Laura, dawnego ślachcica żona,  
W szczególniejszych zasadach zmlodu pro-  
wadzona,  
Miała przesady nabyte z mlekiem,  
Nieprzytłumione dalszym nawet wiekiem:



Ta Laura do pewnego rodzaju szaleństwa,  
Kochała syna pierwszego z rodzeństwa.

HUGON.

Czy to była Hiszpanka?

WALEROS.

Z rodu Kastylanow.

HUGON.

Czy tak? a więc wtym względzie dość już  
podobieństwa.

WALEROS.

Mając na rękę jedyne go syna,  
Przed rozwiązaniem wtorem, w tej stronie,  
gdzie leży,  
Za Talawerą piękna równina,  
Spotkała kobietę, z gromady cyganow,  
Których tam żywi albo żebranina,  
Albo przemyślność w kradzieży,  
Albo rzemiosło wrożenia;  
A że jej Laura odmówiła daru,  
Ktorego chciwie pragnęła,  
Rozjadła, gniewem splonęła,  
I takie na nią przekleństwo rzuciła:  
„Długimi będą twoje cierpienia,  
„Nim się pozbędziesz ciężaru.  
„Jeźlibyś chłopca powiła,  
„Zabije starszego brata;

„Jeżeli dziewczynę, przez niego zginie;  
 „A ty w ostatniej życia godzinie,  
 „Z grzechami pojedziesz ze świata!”

K L W I R A.

Okropne ostrzeżenie!

W A L E R Ó S.

I Laura, niestety!

Wzięła za prawdę, co upodobnej kobiety  
 Jest zwyczajną mową.  
 Syna powiła, w długim cierpieniu;  
 A tak już jedną połową,  
 Głos przyszłości był w spełnieniu.  
 Choć jeszcze dziecina mała,  
 Ktorą Otonem nazwano,  
 (Bo jego chrzesna niemiecka Hrabina,  
 Takie mu imie obrała,  
 Zaledwie słabe stawiać mogła nogi,  
 Już Matka drżała, pełna próżnej trwogi,  
 Nie mówiąc o tem nikomu,  
 O życie starszego syna.

*(Odtąd żywiej, i z większym zapalem.)*

Ja wtenczas nie byłem w domu,  
 Dowodząc wojsku na czele,  
 Za granicami ojczystego kraju.  
 W tym z ową Hrabiną,  
 Zwiedzają w Bareż sławne kąpiele,  
 Gdzie gości pełno, według zwyczaju;  
 Tam zajęły jedno mieszkanie.

Syn tej Hrabiny, mając wiek prawie Otona,  
 Umiera niespodzianie,  
 I to właśnie w takiej dobie,  
 Gdy chciała do odległej krainy powrócić.  
 Laura, przyszłości spomnieniem dręczona,  
 I zawsze w smutku:  
 Aby uniknąć przepowiedni skutku,  
 Lub ją przynajmniej odwrócić,—  
 (Patrzcie! na jakie błędu bezdroże,  
 Przesąd słabe umysły zaprowadzić może,  
 Obcej, nie swego narodu kobiecie,  
 Ustępuje własne dziecię:  
 Ta się nazawsze z Laurą rozstaje;  
 A że w dalekie odjeżdża kraje,  
 Łatwiejsze były ukrycie.  
 Mnie zaś, mnie, tak niegodnym sposobem,  
 Śmierć Otona udaje,  
 I dopiero tę skrytość wyjawia nad grobem.—

## J E R T A.

Wam, rycerzu!

W A L E R O S      (*namyślając się.*)

Ha!— Przez to niech każdy zrozumie,  
 Jak z prawdy zbaczać Waleros umie.—

(*Zuczuciem bolesnego spomnienia.*)

Laura była moją żoną!—

H U G O N.      (*odwraca się.*)

O Nieba!—

ELWIRA.

Jak to? Laura? Matka mego męża?  
 Ten Anioł dobroci tak czucie zwycięża?  
 I na to się odważa? przebog!

WALEROS (jak dawniej.)

Tak jest — ona!

ELWIRA.

I ta zapewne była przyczyna,  
 Gdy chciała, aby syn nasz miał imię Otona!  
 Te były jej życzenia,  
 Ażby wnuka równego imienia,  
 Miała zamiast syna?

WALEROS.

I to być mogło: alboż w przesądów marzeniu,  
 Serce nie poprzestanie często na imieniu?  
 Może tem jej stałość  
 Była pokrzepiona;  
 Że jakby syna znalazła w Otonie:  
 I dopiero tę skrytość wydała przy zgonie;  
 Że dobrowolnie swego się pozbyła;  
 A wszelkie związki zostały zerwane:  
 I aby nigdy o nim nie słyszała,  
 Ani jej serca nie przejęła żalność,  
 Od nowej Matki listy nieczytane,  
 Wszystkie spaliła,  
 Aż ta nareście pisać przestała.  
 Tak mnie spotyka syna utrata,  
 Tak moj Karol nie ma brata. —

HUGON *(bardzo niespokojny)*

Wstrzymaj się! przerwij to opowiadanie!

JERTA.

Coż ci Hrabio!

ELWIRA

*(idąc z pośpiechem do niego.)*

Hugonie!

HUGON

Nie badaj! Ty sama,  
Okropne masz przed sobą, okropne otchłanie.

WALEROS.

Czy ciebie, Hrabio, trwoży to odkrycie,  
Zem ci ja może dał życie?

HUGON.

*(tłumiąc niespokojność.)*

Nie, nie, lecz niepodobna! — A ta obca dama,  
Co wzięła z sobą dziecię, czy była ci znana?

WALEROS.

Była.

HUGON.

Czy w Niemczech pytałeś się o nie?

W A L E R O S.

Byłem w każdej niemal stronie.  
 Od wielu lat umarła: to rzecz niestychała!  
 W całym jej domu,  
 Nie było powiedzieć komu,  
 Ani o tej dziecinie,  
 Ani o tem, że była w hiszpańskiej krainie,  
 I w pirenejskiej kąpieli:  
 A nawet obraz, który, jak mowiono,  
 Miał być jej obrazem,  
 Nie zgadzał się z tej twarzy wyrazem,  
 Jaką przez żonę miałem skreśloną.—

H U O O N (w osłupieniu.)

Gdyby tak było!

W A L E R O S.

Jak to?

J E R T A (z żywością.)

Tak, i to być może.

Gdy w Hiszpanii Matka moja przebywała,  
 Jakiście Hrabio sami powiedzieli,  
 Wszakże tam imie nie swoje miała,  
 Lecz inne obce Giermanow rodu.

W A L E R O S.

Nie mogę pojąć, z jakiego powodu  
 Własne swej przyjacielce tak długo taita?

J E R T A.

Bo nie rzymskiego wyznania była,  
I z różnowierców tronem krwią złączona blisko.

W A L E R O S.

Mogłaby się narazić u nas na przygody,  
Gdyby odkrytą została.

J E R T A.

Jej listow, jak to mowiłeś wprzody,  
Laura wcale nie czytała?

W A L E R O S.

Nie.

J E R T A (wesolo i żywo.)

Czy być może?

(Do Hugona.)

Czy nie jest ci tajemnicą,  
Jak się nazwała Hanna za granicą?

H U G O N (pasując się ze sobą.)

Nie wiem!

W A L E R O S.

Imię jej Hanna; chcesz wiedzieć nazwisko?

J E R T A.

Tak jest; ale nie wiem tego,  
Czy tam nie zmieniła swego.

W A L E R O S (poruszony.)

Boże!

Czy to być może?

Anna w przyjaźni była z moją żoną!

Anna... Hrabina.

H U G O N

(w najwyższym stopniu bojaźni, przerywa  
mu nagle.)

Stoj! stoj! wstrzymaj się na chwilę,  
Stoj! nie wymieniaj teraz jej imienia!  
Jeszcze nie teraz!

(Wszyscy patrzą na niego zdziwieni.)

Jakaż okropność mi błyska!

J E R T A.

Imie nam wcale nie da objaśnienia,  
Jeżeli Hrabia nie wie nazwiska,  
Z jakim ją znali w swym kraju Hiszpanie:  
Niech to rozsądzi twoje oko, pani!

(Prowadzi Walerosa do drzwi pobocznych,  
otwiera je, i pokazuje w głębi.)

Oto obraz mej Matki.



W A L E R O S.

Nieba! czy się myłę!

*(Wola, wchodząc do komnaty.)*

Wszak to jest Salm Hrabina!

*(Jerta idzie za nim.)*

H U G O N.

Zakryj mnie, ziemio, i wy, przywalcie mnie,  
góry!

B L W I R A.

Hugonie! jaka tych przekleństw przyczyna?

W A L E R O S

*(nagle wychodzi z Jertą, pełen radości.)*Tak, to jest ona!— Wszystko wyjaśnionem,  
Tyś moim synem!— Ty jesteś Otonem!*(Chce go uścisnąć, Hugon wstrzymuje  
go, wyciągając ku niemu rękę, z odwroc-  
ną twarzą.)*

J E R T A.

Uspokoj się więc, Hrabio, już spadła zasłona.

HUGON (posępnie.)

Tak, już spadła: niech piekło dzieł swoich  
dokona!

Już się otwarło, błysk jego ponury,  
Tyle światła daje w nocy,  
Ze przy jego pomocy,  
Te drogi są widocznemi,  
Ktore obiera szatan na ziemi.

WALEROS.

Patrz, w jakim ja przed tobą zadumieniu  
stoję!

ELWIRA.

Coż więcej powiesz?

HUGON.

To ciebie zabijał  
Lecz tę wiadomość czyjaż pierś zatrzymał  
czyja?

JERTA.

Mow, Hrabio, odkryj, pociesz serce moje.  
Musisz nam to wyjaśnić.

HUGON.

Pierwej się zastanow,  
Że piekło grozi przez sny, i usta cyganow,

Tam, gdzie mu daje przystęp łatwowierność  
nasza;

I w ludziach światło rozumu przygasza:  
Natenczas w obląkaniu toną zmysły twoje,  
W skutku się iści szaleństwo,  
Podobnem się staje niepodobieństwo,  
I rzecz, ktorej z początku nie dajemy wiary;  
A w tem przyczyna, że się chronim tego.

(Z powagą.)

O Matko! jedną część winy, i kary,  
I ty musisz zanieść przed wieków Sędziego!

ELWIRA *(z przecuciem.)*

O Zbawicielu!

HUGON.

Proś go niech cię wspiera!

WALEROS.

Oton!

HUGON.

Kain! mow raczej, i to mi przystoń;  
Karol zginął z ręki mojej.

*(Waleros chwieje się, i upada na krzesło.  
Jerta przerażona cofa się.)*

E L W I R A

(*Odwraca się, z założonemi rękami, trzymając je przed czołem, i woła, myśląc o śnie, który miała.*)

Tygrysie!

(Upada zemdlona.)

J E R T A (biegnie do niej.)

Nieba! ona umiera!

H U G O N

(*z wolna przystępuje do Walerosa, i mówi, litując się nad nim.*)

Szukałeś syna, ktoregoś utracił,  
 Nim poznał ciebie? Lecz niestety! drogo,  
 Drogoś poznanie jego opłacił:  
 Biada tym oczom, biada!  
 Co go znalazły, a płakać nie mogą!

W A L E R O S (wstaje z natężeniem.)

Niechaj przekleństwo pada,  
 Na dzień, w którym się rodziłeś,  
 Na tę pierś, którą karmiony byłeś!

. . . . .  
 . . . . .

(Bez sił upada znowu na krzesło.)

J E R T A.

Ach! czemuż ja musiałam uchylić zasłony!

H U G O N.

Nie, Jerto, dobrze się stało!  
 Ja tylko wiedząc o tem, z bojaźnią milczałem,  
 I zawsze drżałem  
 By to okropne zdarzenie,  
 Obcemu szczęściu ciosu nie zadało;  
 Były to skryte płomienie,  
 Co moję tęszną duszę napępniały,  
 Niebezpieczeństwem, i niepokojem.  
 Pożar, i dreszcz ziębiący miotał sercem mojem;  
 A duchy życia pełne ciągłej trwogi,  
 Wśród uciech, i męczarni, spor wieczny toczyły;  
 Piers, gdzie wrą dzikie, piekielne pożogi,  
 Pragnie w uciechach, i mękach ochłody;

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

*(Po odetchnieniu.)*

Tak, teraz dobrze, doznaję swobody,  
 Płomień wybuchnął, z wymowionem słowem.  
 Już błogi pokój serce moje koi!  
 Choć się dom spalił, lecz w cichości stoi.

E L W I R A.

*(Podniosła się, wsparta na rękę Jerty.)*

Jerto! czemuż nie jestem w zaciszu grobowem?

I czemuście mnie w obecnej chwili,  
Z więzow życia nie puścili?

(Ze drżeniem.)

Cień Karola, krwią zboczony,  
Skazuje mi ranę swoją,  
I grozi memu mężowi.—

(Kryjąc twarz na piersiach Jerty.)

Przebog!

W A L E R O S,

Jestem we wszystkim jawnie objaśniony:  
Groźbą tajemnych przeczuć było to spragnienie,  
I te wzruszenia zgrozy nieznane;  
Ażebym widzieć tego oblicze,  
Który dokonał dzieła zbrodnicze:—  
On jest mym synem!—

H U G O N.

Mnie tak serce mówi,  
Żem zabił nieprzyjaciela;  
Inna kaźń mojej nie obciąża zbrodni.  
Zapalczywy Karol skrycie  
Godził na moje życie,  
Chcąc na mnie pomścić jakieś przewinienie,  
Ktorego i dzisiaj nikt nie udowodni.

(Pokazując na Elwirę.)

Ta mi przestrogi tajemnie udziela.—

## E L W I R A .

Niestety! ja się tylko lękałam przygody!  
Pierwszej zapalczywości.—

H U G O N .

Chcąc wrocić do zgody,  
Aby nierozzerwaną była przyjaźń nasza,  
Opuściłem dom jego:— wtym szyderską mową,  
Na rocznicę zaślubin Karol mnie zaprasza,  
Jakoby uczną godową  
Obchodzić miał dzień weselny.  
Czy znasz ty zazdrość? jej ogień piekielny  
Zapędził mnie do lasu!  
Obok drzewa go ujrzałem,  
Przy zapienionym biegunie!  
Po trudach łowów używał wczasu:  
Na ziemi była zwierzyna,  
Położona przez niego, która jeszcze drżała;  
I broń zgubna w mojem ręku,  
Życie jego w mocy kuli:  
Niechaj się tylko moj palec posunie,  
Aby Elwira moją została:—

(*Głosem bez czucia.*)

Patrzcie!— błysnęło! zagrzemiał huk z wy-  
strzałem!

Ołow powietrze przecina;—  
O moje ucho, w grobowym dźwięku,  
Przeraźliwe jęczenie,  
Nagle się odbiło.

(*Bez tchu prawie, zatrzymuje się.*)

Ach! okropną jest moc piekła,  
 Kiedy namiętność zmysły ogarnie,  
 Jedno serca drżenie,  
 Albo radosne zrodzi uniesienie,  
 Albo rozpacz, i męczarnie.

(*Błagając.*)

Żono! Ojczy! wyrzeczcie błogie przebaczenie,  
 Nad poległego mogiłą.

E L W I R A

(*wzruszona, nie patrząc na męża.*)

Tam, gdzie nasz kościół, ta Matka prawdziwa,  
 Grzesznik od przestępstw uwolniony bywa,  
 Na świętem miejscu szukaj oczyszczenia.

W A L E R O S

(*ucieszony tą myślą.*)

Tak, synu, jeśli drogie ci to imie,  
 Idź, i w stolicy zbawienia,  
 W ubostwionym Rzymie,  
 Gdzie kościół nad upadłym łączy litości roni,  
 Uwolnienie od grzechów przyjmij z świętej  
 dłoni.

H U G O N.

Ach! jakże dawno duch moj tęschni za pokojem!



Prożno go dotąd szukałem;  
Lecz samo tylko Niebo jest litości zdrojem.—

(*Ponuro.*)

Litość wieczności udziałem:  
A kara w życiu doścignie człowieka.  
Słuchajcie, jaki wyrok w tem życiu mnie  
czeka!

Tam, gdzie pod gmachu świata kopułę spaniałą,  
Lazurowe sklepienie swe łuki poddało,  
W dalekim szczycie,  
W ciemności porze,  
Iskrzą się obrazy,  
Ogniem bez skazy,  
Ogniem brylantow, i na tym przestworze,  
Patrzą się na mnie, jak me własne życie:  
Wszak wy je sami widzicie:

Oto bracia oba,  
Oto znamie kobiety:  
Jest to piękności wieniec, i ozdoba.  
Oto łucznik, niedźwiadek przy nim jadowity;  
Ale w przeszłości promieniu,  
Poblady znaki wielemowiące,  
A pobożnego ludu tysiące,  
Przypatrują się w milczeniu,  
Czekając w pośród pieni grobowych odgłosu,  
Rychło stanie ofiara nieszczęsnego losu:  
W tym pod lazurów sklepieniem,  
Zjawia się miejsce kary nad ziemi wzniesieniem;  
Czy wy znacie to miejsce? tam występni giną;  
(*Wszyscy stoją przerażeni, on sam kończy  
śmiało, i stale.*)

Tam, albo nigdzie, z zbrodni rozstanę się zmasą,

Tam mnie pojedna katowskie żelazo,  
Z mojem sumieniem, — a może i z Bogiem!

*(Oddala się nagle.)*

ELWIRA *(idzie za nim.)*

Ach! Hugonie!...

WALEROS *(idzie za nim.)*

Otonie!

JERTA *(idzie wolniej.)*

Hrabio Eryndurze!

WALEROS.

*(przy drzwiach wchodowych.)*

Chcesz rod, i siebie splamić, shańbieniem tak  
srogiem?

*(Odchodzi.)*

JERTA

*(odchodzi ode drzwi, ze łzami w oczach.)*

O nieszczęśliwy! sam cud jedynie,  
Może odwrócić te okropne burze!

*(Z postanowieniem.)*

Lecz nie: — Hugon tak nie zginie.

*(Odchodzi, zasłona spada.)*

**Koniec Części trzeciej.**

*W czwartej Części Jerta namawia Hugona, aby się wyprawił na wojnę, gdzie może zginąć, jak rycerz, i chwają mężłwa zmniejszyć ohydę zbrodni. Ale Elwira nie chce na to zezwolić. Jej serce i umysł ogarnęło pragnienie śmierci dobrowolnej. Pomimo więc zamiaru Jerty, radzącej, aby wrocić do Hiszpanii, skąd była rodem Elwira, Hugon i Oton, w żałobnej sukni wchodzi właśnie na to, kiedy Waleros chce w uniesieniu ojcowskiej miłości, i zemsty, ocalić honor własnej rodziny, i ukarać syna (co stanowi piękny ustęp tego arcydzieła teatru niemieckiego); i ocala życie mężowi, jedynie dlatego, aby z nim razem własną zginęła ręką. Ich śmierć, i wprowadzenie przy końcu Walerosa i Otona, są to zdarzenia prawdziwie rozczulające: przy których pięknie się wydaje moc duszy Jerty. Dla przekonania o wzorowym układzie, i pewnym skutku rzeczy, odsyłam Czytelnikow do oryginału niemieckiego tej sztuki dramatycznej. Radzę im także, odczytać później zdanie o Milnerze, umieszczone w Dziele Mencla pod tytułem: Wolfgang Menzel's deutsche Litteratur, Stuttgart 1836. Band IV. pag: 355. skąd się przekonają, jak recenzenci Niemcow, sprzeczni są w ocenieniu swoich Pisarzy; jak często w najprostszych wyrazach ganią te dzieła, ktore na przekor Mencłowi, i podobnym jemu, lud niemiecki uwielbia, jak to wyznaje sam Mencil.*

Reszty nie można było umieścić.

---

## WIOSNA ŻYCIA.



**J**eżeliś z prawdą, i sercem spędził wiosny  
lata;

Jeżeli miłością ludzi żywo bije czucie;

I rozum nieskażony obłędami świata;

Ani go jadowite nie struło zepsucie;

Jeżeli śmiało możesz czoło podnieść jasne,

Pierś oddycha swobodnie, twoja przeszłość  
błoga,

I najmilsze pamiątki twoje skarby własne;

I ty, jakbyś dopiero wyszedł z ręki Boga:

Wtenczas, choćby cię zewsząd ogarnęła trwoga;

Położ rękę na sercu, zapytaj się życia;

A rozkoszną odpowiedź dadzą tkliwe bicia:

I blaskiem cnoty jego zajaśnieje droga,

I w sobie, jakby cudem, poczujesz głos Boga.



## OSTATNIA NADZIEJA.



**P**ij z kielicha radości, w twojej życia wio-  
śnie,

Gdy ci Anioł radości do ust go przychyła,

Wkrotce błogie dni twoje zamglą się żałośnie,

Nadejdzie niewolana twoich cierpień chwila;

I świat samą goryczą napelni go do dna;

Pod stopą błysną ciernie, a nad głową burze;

Tylko ci się kraina zostanie swobodna,

Odległa, tajemnicza, i ostatnia w górze!—

Unieś z raju młodości serce wolne kaźni;  
 Z takim skarbem i ciernie, i burze pominiessz:  
 To twój Anioł— z nim jeźliś nie zawarł  
 przyjaźni,

Biada ci nieszczęśliwy, bez pociechy zginiesz.  
 Jeszcze, kiedy łez rosa zwilży twą źrenicę,  
 Kiedy strumień litości w twoich piersiach  
 płynie;

Wsparłeś brata, co tań nędzy tajemnicę,  
 Ziarno łubej nadziei w przyszłości nie zginie:  
 Umilkną twe cierpienia; bo w Niebios krainie,  
 Zapuścilesz niemyłą zbawienia kotwicę.—

---

### PRZEMIANY KWIATU.

---

O kwiatku luby! drzewiny ozdobo!  
 Jakże się mile z jej łonem pieścisz!  
 Słodkie uczucia, błogie myśli z tobą:  
 Tkliwego serca rozkosz w sobie mieścisz.  
 Biała sukienka, która cię okrywa,  
 Zbliża do serca zabawy dziecinne,  
 Ciwile mej wiosny, uciechy niewinne,  
 Gdy mnie pieściła, tuląc Matka tęskwa.  
 Snieżne listeczki uraniasz powoli;  
 Czasem gwałtowny wiatr tobą pomiata:  
 Podobna kolej mego losu doli;  
 Tak mną miotają fale tego świata!  
 Z twojego łona owoc się wychyla;  
 A czas niezawsze w dojrzałość go zmienia:  
 Niejedna dla mnie spłynęła tak chwila,  
 W stratach nadziei, wśród żalu, cierpienia.

Ale ja moje pomijam przygody,  
 I twoją tylko odmianą się pieczę:

Już kwiatek biały, już wyrostek młody,  
 I rośniesz jeszcze, i wzmagasz się jeszcze.  
 Matka przyroda opiekunką twoją;  
 Nią była dla mnie najmiłsza istota;  
 Na której pamięć łzy mi w oczach stoją,  
 Łzy, co padają na szczątki żywota.  
 Jak twoja Matka raduje się z ciebie,  
 Gdy sił nabierasz, rumienisz się mile;  
 Takie rozkosze dał nam Stworca w Niebie,  
 Gdy piękny owoc zdobił życia chwile.  
 Jedno spojrzenie, tak, jedno spojrzenie,  
 Na śliczny owoc, na dziecinę lubą,  
 Za świat nam stało, i za świata mienie,  
 Było nam szczęścia gwiazdą, było chlubą!—  
 Ach! kto dzieciny nie widział w powiciu,  
 Jej oczek słodkich, jej ustek nie pieścił:  
 Żadnych rozkoszy nie doznał w swem życiu;  
 I serce zimne w kamieniu umieścił.  
 Rośnijcie, kwiatki, pod Niebios opieką,  
 Ktore dłoń luba upieściła Matki:  
 I dla was chwila losu niedaleką;  
 Rośnijcie, miłe, ukochane Dziaćki!—  
 O! jak tam góry pogląda jej oko;  
 Za was jej prośby wznoszą się do Boga;  
 Myśli tylko z sercem podnieście wysoko;  
 A gwiazda cnoty błysnie wasza droga!  
 I zawsze śmiało, śmiało w cierniach życia  
 Stawiajcie kroki, choć burze zastraszają:  
 A po kres życia, od chwili powicia,  
 Bog, i pociecha będzie wiarą waszą!

---

# SPIS RZECZY

Tomu drugiego.

|                                                     | Str: |
|-----------------------------------------------------|------|
| <i>Wnuczka, Komedia w czterech częściach</i>        | 5.   |
| <i>Do Jozi. Sonet</i> . . . . .                     | 148. |
| <i>Smutek. Sonet</i> . . . . .                      | 149. |
| <i>Pogrzeb nieszczęśliwego. Sonet</i> . . . . .     | 150. |
| <i>Chwila pociechy. Sonet</i> . . . . .             | 151. |
| <i>Dumanie pod czas nocy. Sonet</i> . . . . .       | 152. |
| <i>Życie. Sonet</i> . . . . .                       | 153. |
| <i>Przyroda. Sonet</i> . . . . .                    | 154. |
| <i>Poranek. Sonet</i> . . . . .                     | 156. |
| <i>Prośba. Sonet</i> . . . . .                      | 157. |
| <i>Pożegnanie. Sonet</i> . . . . .                  | 157. |
| <i>Pamiętka. Sonet</i> . . . . .                    | 158. |
| <i>Sen.</i> . . . . .                               | 159. |
| <i>Zjawienie.</i> . . . . .                         | 161. |
| <i>Człowiek.</i> . . . . .                          | 162. |
| <i>Jan Kanty. Ballada</i> . . . . .                 | 164. |
| <i>Dzbaneczek. Legienda</i> . . . . .               | 170. |
| <i>Chłopczyk na Grobie Matki. Powieść</i> . . . . . | 173. |
| <i>Matce od dzieci i przyjaciół.</i> . . . . .      | 177. |
| <i>Życzenie.</i> . . . . .                          | 178. |
| <i>Skapiec.</i> . . . . .                           | 180. |
| <i>Na nowy rok.</i> . . . . .                       | 180. |
| <i>Przekład myśli Horacego.</i> . . . . .           | 180. |
| <i>Męczarnie Sumienia (Die Schuld) Dz: dra:</i>     | 181. |
| <i>Wiosna życia. Sonet</i> . . . . .                | 296. |
| <i>Ostatnia nadzieja. Sonet</i> . . . . .           | 296. |
| <i>Przemiany kwiatu.</i> . . . . .                  | 297. |
| <i>Lista prenumeratorów.</i>                        |      |

## OMYŁKI w TOMIE PIERWYSZYM.

### Stronica.

21. w Wierszu 3. od końca zamiast *słabości*,  
czytaj *stałości*.
53. Wiersz 7. zmienić tak: *Nieopalone przez*  
*słońca promienie.*
53. Wiersz 9. i 10. zmienić tak:  
*Tam cię zachwyci lubości pieszczotą,*  
*Najprzyjemniejsze wdzięcznej lutni brzmienie.*
109. Przy końcu ostatniego wiersza do s dodać o

## OMYŁKI z DRUGIEGO TOMU.

42. w Wierszu 8. od końca zamiast *słacham*  
czytaj *słucham.*
42. w Wierszu 3. od końca zamiast *z chwlli*  
czytaj *z chwili.*
62. Wiersz 4. z początku *Małgorzata (krzaka)*  
powinien być cały w nawiasie, bo *Małgorzata* nie  
mowi, tylko jeszcze *Dobrocki.*
82. w Wierszu 14. z początku zamiast *na, co*  
czytaj *na co.*
127. w Wierszu 10. z początku zamiast *ścistej*  
czytaj *ściślej.*
157. w Wier: 5. zamiast *śniercią* czyt: *śmiercią.*
206. w Wierszu 3. od końca zamiast *hussa!*  
czytaj *huzia!*
211. w Wierszu 5. z początku zamiast *po chwli*  
czytaj *po chwili.*
229. w Wier: 11. zamiast *zda<sup>wa</sup>ło czy: zda<sup>wa</sup>ła.*
262. w Ostatnim zamiast *losy wojny wątpliwemi,*  
czytaj *losy wątpliwemi wojny.*
288. w Wierszu 2. od początku zamiast *z zało-*  
*żonemi rękami* czytaj *ze złożonemi rękami.*



# L I S T A

## P r e n u m e r a t o r o w.

|                                                       | liczba Exem: |
|-------------------------------------------------------|--------------|
| <i>Alexandrowski Piotr Professor G, Pł,</i>           | 1.           |
| <i>Alexandrowicz Marcelli U, kla, 8, G, Pł,</i>       | 1.           |
| <i>Pani Arendt z Warszawy</i>                         | 1.           |
| <i>Antoniewicz Edward Nau, w Kaliszu</i>              | 1.           |
| <i>Ambrozewicz Konstanty U, G, w Lublinie</i>         | 1.           |
| <i>Bromirski Jan Naczelnik Wydziału Lesnego.</i>      | 1.           |
| <i>Brochocki Tomasz Inten, w Kom, R, P, i S,</i>      | 1.           |
| <i>Budziszewski Narcys Ass, T, C, w Płocku</i>        | 1.           |
| <i>Bogusza Adam U, klas, 6, G, Pł,</i>                | 1.           |
| <i>Bogustawski Andrzej Patron Tr, Cyw, w Pł,</i>      | 1.           |
| <i>Brochocki Marcelli Ap, S, w Warszawie</i>          | 1.           |
| <i>Beczkowski Piotr U, G, M,</i>                      | 1.           |
| <i>Bieńkowski Izidor. Archyw, Ob. Mławskiego</i>      | 1.           |
| <i>Bosacki Antoni Naucz. Gim, Pł,</i>                 | 1.           |
| <i>Bejthel Karol Professor Gim, w Kielcach</i>        | 1.           |
| <i>Bober Sylwester z Warszawy</i>                     | 1.           |
| <i>Bartynowski Piotr Prezes S, Ap, w Pirokowie.</i>   | 1.           |
| <i>Bogowolski Jozef Prokurator T, C, w Lublinie</i>   | 1.           |
| <i>Brzozowski Jozefat Ass, Prok, Jen, Kirel. Vol,</i> | 1.           |
| <i>Baranowski Jan Nep, Pat, T, C, w Lublinie</i>      | 1.           |
| <i>Borowicz Jan, Insp, Szkoły Kulskiej.</i>           | 1.           |
| <i>X, Borysowicz w Kaliszu</i>                        | 1.           |
| <i>X, Bezuch</i>                                      | 1.           |
| <i>Brekowski Naucz, S, O. Sand.</i>                   | 1.           |
| <i>Brzostowski Naucz, Ginn, Warsz,</i>                | 1.           |
| <i>Baliński Stefan Kad. Bud, Gub, Sand,</i>           | 1.           |
| <i>Chwalibóg Karol, Prezes T, C, w Łomży.</i>         | 5.           |
| <i>Chrzanowski Łukasz, Prokurator Tr, C, w Pł,</i>    | 1.           |
| <i>Czosnowski Tytus. Kom, Obwodu Płockiego</i>        | 1.           |
| <i>Chrzanowski z Sielc</i>                            | 1.           |
| <i>Czarnowski Jozef U, klas, 8, G, Pł,</i>            | 1.           |
| <i>Chojnacki Karol U, klas, 8, G, Pł,</i>             | 1.           |
| <i>Chrzosiński Bonifacy,</i>                          | 1.           |
| <i>Cywiński Naczelnik Żandarmow w Kutnie.</i>         | 1.           |
| <i>Cienniewski Adam, U, G, w Lublinie.</i>            | 1.           |

|                                                     |    |
|-----------------------------------------------------|----|
| Chobrzyński Wojciech Obywatel . . . . .             | 1. |
| Cymermann Antoni z Warszawy . . . . .               | 1. |
| Ciechomski Wojciech U, klas, 4, S, O, W, . . . . .  | 1. |
| Czajkowski Adam Kanonik z Rakowa . . . . .          | 1. |
| Drabikowski Komis, Obw, Sandom, . . . . .           | 1. |
| Dąbrowski Jan . . . . .                             | 1. |
| Drac Edward z Warszawy . . . . .                    | 1. |
| Dembiński Tytus, Obywatel z Płockiego . . . . .     | 1. |
| Domagański Dominik, Rachmistrz z Kalisza . . . . .  | 1. |
| Daniewski Jakob, Profesor Gim: w Lublinie . . . . . | 1. |
| Dymidowicz Izidor, Sędzia Ap, w Krakowie . . . . .  | 1. |
| Dobrowolski w Kaliszu . . . . .                     | 1. |
| Eroch Julian U, G, M, . . . . .                     | 1. |
| Ehrenfeucht Henryk, z Płocka . . . . .              | 1. |
| Fiszer Oton U, klas: 7, G, Pł, . . . . .            | 1. |
| Friedlein Księgarz z Krakowa . . . . .              | 1. |
| Goepfner Karol U, klas, 8, G, Pł, . . . . .         | 1. |
| Grąbczewski Ludwik U, klas 7, G, Pł, . . . . .      | 1. |
| Gibasiewicz Jozef Aptekarz z Płocka . . . . .       | 1. |
| Gizewski Jozef Inspektor S, O w Pułtusku . . . . .  | 1. |
| Gervais Juliusz, Rachmistrz z Płocka . . . . .      | 1. |
| Gurski Jozef, U, klas, 5, G, Pł, . . . . .          | 1. |
| Gensch Edward U, klas, 7, G, Pł, . . . . .          | 1. |
| Grünbaum Maurycy, z Warszawy . . . . .              | 1. |
| Gołuchowski Wineen: Sędzia Ap, w Krakowie . . . . . | 1. |
| Gruszyński Konst: Sędzia T, C, w Lublinie . . . . . | 1. |
| Gutkowski Jozef, Obywatel z Płockiego, . . . . .    | 1. |
| Gotemberski Stanis: Patron T, C, w Płocku . . . . . | 1. |
| Gojski Jozef Dziedzic dobr Smiły . . . . .          | 1. |
| Grabski . . . . .                                   | 1. |
| Hebda Wincenty Asesor T. C, w Lublinie . . . . .    | 1. |
| Hawelka Karol Profes, Mat: w Sandomierzu . . . . .  | 1. |
| Hewelke Amalia z Płocka . . . . .                   | 1. |
| Hilczyński Wawrzeniec P, K, Z, z Płocka . . . . .   | 1. |
| Hejnrich Jozef Radca K, J, . . . . .                | 1. |
| Hejdenbruch z Warszawy . . . . .                    | 1. |
| Jedrzejewicz Jan z Warszawy . . . . .               | 1. |
| X Juszyński Inspektor S, O, w Sandomierzu . . . . . | 1. |
| Jonscher Karol Pastor z Włocławka . . . . .         | 1. |
| Jakob Maturyn Prof. G, w Płocku . . . . .           | 1. |
| Jurkowski Jozef Archiwista w Płocku . . . . .       | 1. |

|                                                       |    |
|-------------------------------------------------------|----|
| Jezierski Stanisław U, klas, 6, G, Pł, . . . . .      | 1. |
| Jurowski Józef Rachmistrz z Płocka . . . . .          | 1. |
| Janowski Franciszek Wojt z Miączyna . . . . .         | 1. |
| Jarański Karol Obro, P, J, przy T, C, w Lubli         | 1. |
| Jakacki Wincenty Patron T, C, w Płocku                | 1. |
| Jaszowski Władysław U, G, w Lublinie . . . . .        | 1. |
| Jęży Fryderyk Obywatel z Płocka . . . . .             | 1. |
| Kępczowski Ludwik Obywatel . . . . .                  | 1. |
| Karszowiecki Andrzej Obywatel z Płocka . . . . .      | 1. |
| Koskowski Florjan U, klas, 6, G, Pł, . . . . .        | 1. |
| Kitliński Albert Prof, w Sandomierzu . . . . .        | 1. |
| Kłwejser Juljan z ti, J, . . . . .                    | 1. |
| Klejna Prof, S, O, w Pułtusku . . . . .               | 1. |
| Krajewski Marcelli Pisarz S, P, z Płocka . . . . .    | 1. |
| Kozłowski Felicjan Prof, G, M, . . . . .              | 1. |
| Koncewicz Łukasz Prof, Gimn, w Lublinie . . . . .     | 1. |
| Krueczaj Konstanty Obywatel z Lublina . . . . .       | 1. |
| Kleszczyński Karol U, G, w Lublinie . . . . .         | 1. |
| Kossowski Obywatel z Wojszyc . . . . .                | 1. |
| Krzywicki Jan Jusp, Gimnazjum w Kielcach . . . . .    | 1. |
| Korytowski Leon Pisarz S, A, w Krakowie . . . . .     | 1. |
| Koziobrodzka Ludwika . . . . .                        | 1. |
| Kossowicz Andrzej Pisarz K, Z, w Lublinie . . . . .   | 1. |
| Kiński w Kaliszu . . . . .                            | 1. |
| Kuczyński Jan Naucz, J, R, S, O, w Mławie . . . . .   | 1. |
| Kanigowski Ignacy Obywatel z Płockiego . . . . .      | 1. |
| Kanigowski Włodzimierz 7 letni . . . . .              | 1. |
| Kleniewski Emil Obywatel z Kujaw . . . . .            | 1. |
| Kleniewski Bolesław Obywatel z Kujaw . . . . .        | 1. |
| Kuniewicz Izidor U, klas, 8, Gi, na L, . . . . .      | 1. |
| X, Litaczyński Kaź, Prof, Zgrom, XX, Pijarów          | 1. |
| Kondratowicz Naucz, S, Ob, w Sand, . . . . .          | 1. |
| Kwapiszewski Józef Lek, wolno prak, w Rado, . . . . . | 1. |
| Krauze Juliusz Pastor i Prof, Gimn, w Rado, . . . . . | 1. |
| Rasprowica Jan Prof, Gimn, w Radomiu . . . . .        | 1. |
| Kosiński Józef Dziedzie z Szerkowa . . . . .          | 1. |
| Ledochowski Józef Hrabia z Gorek . . . . .            | 2. |
| Ludwik Juliusz Pastor w Warszawie . . . . .           | 1. |
| Liebkind Henryk z Warszawy . . . . .                  | 1. |
| Lubelski Filip Doktor z Płocka . . . . .              | 1. |
| Lipski Ferdynand z Płocka . . . . .                   | 1. |

|                                                        |    |
|--------------------------------------------------------|----|
| Lubinkowski Jozef Ko, Tr, Cyw, w Płocku . . . . .      | 1. |
| Luchocki z Lublina . . . . .                           | 1. |
| Magana Fiatarzyna . . . . .                            | 1. |
| Mastowiecki Klem, Ad, S, Ap, w Lublinie . . . . .      | 1. |
| Mopczyński Naucz, S, O, w Pultusku . . . . .           | 1. |
| Mukomski Adam Prof, Gim, w Lublinie . . . . .          | 1. |
| Mebkowiec Wacenty Rządca ko, w Płocku . . . . .        | 1. |
| Żempicki Jozef U, klas, 5, G, Pł, . . . . .            | 1. |
| Żempicki Ludwik U, klas, 5, G, Pł, . . . . .           | 1. |
| Żempicki Jozef U, klas, 6, G, Pł, . . . . .            | 1. |
| Żopczyński Konstanty U, klas, 5, Gim, W, . . . . .     | 1. |
| Markowski Jan Prof, Liter, Ros, przy G, Pł, . . . . .  | 1. |
| X, Mączewski Jakob Pisarz ki, w Płocku . . . . .       | 1. |
| Maleszewski Wojciech . . . . .                         | 1. |
| Machnicki Sędzia w Sand, . . . . .                     | 1. |
| Merecki Prezyd, miasta Sandomierza . . . . .           | 1. |
| Maskiewicz Jozef . . . . .                             | 1. |
| Markow Alexy Prof, Lit, Ros, w Radomiu . . . . .       | 1. |
| Mankowski Jozef Prof, Ginn, w Radomiu . . . . .        | 1. |
| Mars Fran, P, T, C, Prof, Prawa przy G, Pł, . . . . .  | 1. |
| Muczkowski Jozef Prof, Uniw, Jag, . . . . .            | 1. |
| Milkowski Kon, Na, Lia, i Ry, S, O, w Mławie . . . . . | 1. |
| Makaj Demetry Adj, R, G, w Płocku . . . . .            | 1. |
| Milewski Stani, Sekret, Ob, w Płocku . . . . .         | 1. |
| Matkiewicz Jakob Rejent w Płocku . . . . .             | 1. |
| Mesner Karol Kontroler z Płocka . . . . .              | 1. |
| Makulski Dziedzic Dzierzgowia . . . . .                | 1. |
| Mochczyński Książ: Oby, z Borowa w Płockiem . . . . .  | 1. |
| Murzynowski Obywatel z Płockiego . . . . .             | 1. |
| Moszczyński Stanisław, . . . . .                       | 1. |
| Małowieski Michał Obywatel . . . . .                   | 1. |
| Małowieski Konstanty Referendarz . . . . .             | 1. |
| Małowieski August U, klas, 7, G, Pł, . . . . .         | 1. |
| Mejer Juljan U, klas, 6, G, Pł, . . . . .              | 1. |
| Motyliński Piotr U, klas, 6, G, Pł, . . . . .          | 1. |
| Mojorkiewicz Jon U, klas, 6, G, Pł, . . . . .          | 1. |
| Milewski Jan U, klas, 6, G, Pł, . . . . .              | 1. |
| Miskiewicz Michał U, klas, 7, G, Pł, . . . . .         | 1. |
| Matkowski Konstanty U, G, L, . . . . .                 | 1. |
| Mleczko Aleksandra z Żukowa . . . . .                  | 1. |
| Nakwaski Kasztelan . . . . .                           | 1. |

|                                                |    |
|------------------------------------------------|----|
| Nahajewicz K, Dyr, G, w Lu, Ra, O, S, A, 3 kl, | 2. |
| Nisimirowski Adam Prof. Gim, w Płocku . . .    | 1. |
| Nowakowski Stanisław Typog: w Płocka . . .     | 1. |
| N . . . . . N . . . . . w Kielcach . . . . .   | 1. |
| Niemojewski Stanisław Kostka . . . . .         | 1. |
| Nowiński Jan Prof. S, T, w Krakowie . . .      | 1. |
| Nowacki Michał Dok, Med, i Chir, . . . . .     | 1. |
| Nowiński Kajetan . . . . .                     | 2. |
| Okoń Marcin Prof. Gim, w Płocku . . . . .      | 1. |
| Oppmann Adolf N, S, P, w Warszawie . . .       | 1. |
| Olechowski Paweł Urzę, kl, 8, Jnsp, Mag, Płoc, | 1. |
| Osińska Dziedziczka dobr Mroccki . . . . .     | 1. |
| Piorunowski Urzę, Kom. Rzq, Przy, i Skarbu     | 1. |
| Podolski Jozef Prof, S, T, i Prof. Z, U, J, .  | 1. |
| Polczycki Tytus Inkwirent S, P, P Pł, . . .    | 1. |
| Pestugia Piotr Obywatel z Płocka . . . . .     | 1. |
| Pilz Jozef Prof, Gim, na Lesznie . . . . .     | 1. |
| Palicki Jozef Naucz, Gim, na Lesznie . . .     | 1. |
| Piotrowicz Kaz, Naucz. Gim, w Płocku . . .     | 1. |
| Przedpełski Wiktor Kan. Rzqd. Gub, w Płocku    | 1. |
| Piwkowski Adolf As, Trybunatu Cywil, Pł, .     | 1. |
| Pryliński Tom, Jnk. S, Po, W, Brzesko Kajaw, . | 1. |
| Podgorski Karol Rad, Prok, Jen, Kro, Pols, .   | 1. |
| Przybylski Kazim, Obyw, Kupiec w Radomiu .     | 1. |
| Pilkiewicz Jerzy Obr, S, P, P, Lipn, . . . .   | 2. |
| Paprocki Jan Obywatel z Płockiego . . . . .    | 1. |
| Paprocki Jozef U, klas, 3, G, Pł, . . . . .    | 1. |
| Popławski Aleksander U, klas, 8, G, Pł, . . .  | 1. |
| Przyborowski Władysław U, klas, 4, G, Pł, .    | 1. |
| Preszel Alfons U, Gim, w Lublinie . . . . .    | 1. |
| Pruszkowa Seweryna z Leszyna . . . . .         | 1. |
| Posner Markus w Warszawie . . . . .            | 1. |
| X, Rejnowicz Jan Naucz, Rel, G, w Kielcach .   | 1. |
| Rogiński Kazimierz Prof Gim, na Lesznie . .    | 1. |
| Rothwand Jakob Naucz, w Warszawie . . . .      | 1. |
| Rostkowski Leopold Naucz, w Płocku . . . .     | 1. |
| Rutkowski Archiwista w Płocku . . . . .        | 1. |
| Rokitnicki Michał Adjunkt Kasy Ob, Płoc, ,     | 1. |
| Rokosowski Piotr Obywatel z Płockiego , , ,    | 1. |
| Rajszel Obywatel z Sandomierza . . . . .       | 1. |
| Rzeczycki Tadeusz Ases, T, C, w Lublinie , ,   | 1. |

|                                             |    |
|---------------------------------------------|----|
| Rukasa Tzofil U, klas, 6, G, Pł.            | 1. |
| Radgowski Antoni U, klas, 7, G, Pł.         | 1. |
| Rehfeldt Wilhelm z Płocka                   | 1. |
| Rojewski Ignacy U, G, w Lublinie            | 1. |
| Rozkoski Romu, Sekr, Jen, R, G, w Radomiu   | 1. |
| Rudnicki Jozef                              | 1. |
| Xiąże Sackadiew Piotr Pr, Gim, w Lublinie   | 1. |
| Sawin Aleks, Prof, Literat, Ross, w Sejnach | 1. |
| Szyszko Andrzej Prof, Gim, w Płocku         | 1. |
| Sawiczewski Florjan Prof, Uni, Jagielon     | 1. |
| Swiderski Wincen. Na. Ję. Ła, S, O, w Mta.  | 1. |
| Szultz Juliusz Nauczyciel w Kalissu         | 1. |
| Sobolewski Karol Naucz, Gim, w Lublinie     | 1. |
| Smoleński Jan Aptekarz z Płocka             | 1. |
| Solarski Ignacy Kapitan b, w, p.            | 1. |
| X, Stomczyński Proku, kapi, Sandomierskiej  | 1. |
| Siennicki Stanisław L, P, b, w, p.          | 1. |
| Szuster Jan N. S, O, przy Ul, Krol, w War.  | 1. |
| Soczyński Marcin Sę. Apel, w Krakowie       | 1. |
| Sonnenberg Edward Pisarz S, P, P, Pł.       | 1. |
| Sokołowski Franciszek Ases, Eko, w Płocku   | 1. |
| Stegman Aleksan, Kontroler z Płocka         | 1. |
| Stupecki Antoni Urzędnik z Płocka           | 1. |
| Stupecki Kazmierz U, klas 6, w Płocku       | 1. |
| Skorupski Sekr, Pocz, w Lipnie              | 1. |
| Staniszewski Walenty Prof, Gim, w Radomiu   | 1. |
| Strzałecki Just, Prof, Gim, w Radomiu       | 1. |
| Sułkowski Naucz, Gim, w Kielcach            | 1. |
| Sojecki Piotr Obywatel z Rybna              | 1. |
| Swierczyński Feliks Obywatel z Kujaw        | 1. |
| Stochel Andrzej Prof, Gim, w Radomiu        | 1. |
| Sokołowski Kajetan Adwokat w Radomiu        | 1. |
| Strzeszewski Stanisław U, klas, 8, G, Pł.   | 1. |
| Siemiętkowski Walenty U, klas, 8, G, Pł.    | 1. |
| Struś Jozef U, klas, 7, G, Pł.              | 1. |
| Strużyński Leonard U, klas, 7, G, Pł.       | 1. |
| Swięcki Kajetan Obywatel                    | 1. |
| Silbersztejn Karol z Płocka                 | 1. |
| X Teliga Karol Rejens Seminar, w Sandom.    | 1. |
| Teplicki Juliusz Prof, Gim, w Płocku        | 1. |
| Tchorzewski Stanisław U, klas, 8, G, Pł.    | 1. |

|                                                |    |
|------------------------------------------------|----|
| Turski Kazimierz Obywatel z Pł, , , , ,        | 1. |
| Tensiorowski Jozef Prof, Gimn, w Radomiu ,     | 1. |
| Urbański Prof, Gim, w Krakowie , , , , ,       | 1. |
| Ujazdowski Karol U, klas, 6, G, Pł, , , , ,    | 1. |
| Unierzyski Jan z Żychlina , , , , ,            | 1. |
| X, Wydrychiewicz Stani, Naucz, Rel, w Sando,   | 1. |
| X, Wielecki Paweł Prof, G, w Lublinie , , ,    | 1. |
| X, Wiszniewski Marjan Dziekan z Sanik , ,      | 1. |
| Wnorowski Prof, Gim, w Kielcach , , , ,        | 1. |
| Wroński Klemens Poberca kasy Głow, z Płocka    | 1. |
| Wotowski Franciszek z Płocka , , , , ,         | 1. |
| Wilczyński Florjan Obywatel w Płocku , , ,     | 1. |
| Wóźnicki Michał Obywatel z Płockiego , , ,     | 1. |
| Wóźnicki Maksymilian U, klas, 7, G, Pł, , , ,  | 1. |
| Wiewiorowski Leon U, klas, 7, G, Pł, , , ,     | 1. |
| Wysiekierski Władysław U, klas, 6, G, Pł, , ,  | 1. |
| Wojcicki Alexy Insp, S. O, przy Ul, P, w Wa,   | 1. |
| Wąsowicz Stefan Asc, Tryb. Cyw, w Płocku ,     | 1. |
| Wrecki Fr, Archiwista R. G, w Płocku , , ,     | 1. |
| Wotowski Alfons Sęd, Tr. Cy, w Radomiu ,       | 3. |
| Watson Edward Zast, Gub. Cy. w Radomiu .       | 1. |
| Wyżycy Karol Gerald Dyr, Gim, w Radomiu        | 1. |
| Wrześniewski Wincent, Prof, Gim, w Radomiu     | 1. |
| Zubelewicz Florjan Prof, Gim, w Płocku , , ,   | 1. |
| Zawodziński Julian Naucz, Gim, w Płocku , , ,  | 1. |
| Zaremba Teofil Naucz, Gim, w Płocku , , ,      | 1. |
| Zednik Antoni Naucz, Gim, w Płocku , , , ,     | 1. |
| Zednik Jozefa Ochmistrzyńi Szkoły wyż: pł: Zm: | 1. |
| Zeuschner Lu Fil, Dok, h, Pr, Un, Jag, w Kra,  | 1. |
| Zimmerman Jozef Prof, Gim, w Lublinie , ,      | 1. |
| Zaleszczyński August Prezyd. miasta Płocka .   | 1. |
| Zgliczyński Karol Assesor Tryb, Cyw, w Płocku  | 2. |
| Zatoziecki Karol Pod, Po, Lub P, P, w Gi, Lu,  | 1. |
| Ziemiński Wincenty Rach, R. G, w Płocku ,      | 1. |
| Zambrzycki Leon U, klas, 4, G, Pł, , , , ,     | 1. |
| Zaborowski Ludwik Obyw. w Sand, , , , ,        | 1. |
| Żyliński Aleks, Rad, Dwo, Dyr, Gim, Płockiego  | 1. |
| Żychowicz Łukasz Insp, Gimn, w Radomiu .       | 1. |
| Zochowski Antoni Patron Tryb. Cyw, w Płocku    | 1. |
| Łukaszewski Stani, Rach. R, G, w Płocku , ,    | 1. |





56

Wyższa Szkoła Pedagogiczna  
w Kielcach  
Biblioteka Główna

272030

Biblioteka WSP Kielce



0037634